

A woman with long, light-colored hair is shown in profile, looking intently to the left. She is holding a handgun with both hands, ready to fire. The background is a dark, urban street scene at night, with some blurred lights and buildings. The overall color palette is dominated by dark reds and purples, creating a moody and intense atmosphere.

ELIZA KORPALSKA

**NIEWINNOŚĆ
LUKRECJI**

Oficynka

ELIZA KORPALSKA

**NIEWINNOŚĆ
LUKRECJI**



Oficynka

Copyright © Oficynka & Eliza Korpalska, Gdańsk 2019

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Książka ani jej część nie może być przedrukowywana ani w żaden inny sposób reprodukowana lub odczytywana w środkach masowego przekazu bez pisemnej zgody Oficynki.

Wydanie pierwsze w języku polskim, Gdańsk 2019

Opracowanie redakcyjne: zespół

Skład: Piotr Geisler

Konwersja do EPUB/MOBI: InkPad.pl

Projekt okładki: Anna M. Damasiewicz

Zdjęcia na okładce: © Ekaterina Yudina | Depositphotos.com,

© Juan Aunion | Depositphotos.com

978-83-65891-96-9



Oficynka

www.oficynka.pl

email: oficynka@oficynka.pl

Moim Dzieciom

*Wszystkie postacie i wydarzenia przedstawione
w niniejszej książce są wytworem wyobraźni autorki.*

Spis treści

[Rozdział 1. ZŁE ZAMIARY](#)

[Rozdział 2 DECYZJA](#)

[Rozdział 3 DOWÓD NA NIEWINNOŚĆ](#)

[Rozdział 4 MIŁOŚĆ](#)

[Rozdział 5 WESELE](#)

[Rozdział 6 WŁADZA](#)

[Rozdział 7 RESZTA](#)

Rozdział 1

ZŁE ZAMIARY

Biuro szefa Specjalnej Agencji Wywiadowczej generała Petera Twigga było urządzone chłodno i luksusowo. Wejścia strzegły dwie absolutnie mu oddane, bezbarwne sekretarki. Panująca tu atmosfera, a nade wszystko dominująca i zdająca się wypełniać całą przestrzeń osobowość generała, powodowały, że przebywające w nim osoby zazwyczaj czuły się nieswojo. A byli to przeważnie silni, nieskłonni do poddawania się emocjom, doskonale wyszkoleni i wysoko ulokowani na drabinie społecznej mężczyźni. Chyba że miejsce naprzeciwko ogromnego, nowoczesnego biurka zajmował któryś z młodych wilków - nowego pokolenia agentów, niezwykle ambitnych, cynicznych, naładowanych testosteronem i adrenaliną, grających do własnej bramki. Takich jak Paul Horn, trzydziestojednoletni oficer wywiadu, wyróżniający się błyskotliwą inteligencją, sprawnością fizyczną i oddaniem tak zwanej sprawie, jaka by ona aktualnie nie była, co - jak mniemał - miało go w krótkim czasie doprowadzić na sam szczyt korporacyjnej hierarchii. Kapitan Horn, przy całym zawodowym szacunku dla dokonań generała, z których, jak przypuszczał, nie mała część obrosła PR-ową legendą, był zwolennikiem zmiany pokoleniowej, z czego z kolei Twigg doskonale zdawał sobie sprawę. Od zawsze otaczała go konkurencja, jednak stojące za nim potężne układy oraz przyjaźnie z wpływowymi ludźmi połączone z wiedzą o ich skrzętnie skrywanych tajemnicach, od lat pozwalały mu na swobodne manipulowanie młodzieńcami pokroju Paula i wykorzystywanie ich umiejętności i talentów do celów, które - w co święcie wierzył - miały zawsze służyć interesom kraju. Generał Twigg był bowiem gorącym patriotą, swego czasu brał czynny udział w działaniach wojennych. Ranny na polu bitwy, kolejne lata spędził w służbie publicznej, ciesząc się - mimo systematycznie przypuszczanych

ataków, z którymi sprawnie sobie radził - powszechną estymą, jaką otacza się męża stanu.

Już samo zaproszenie do jego gabinetu na rozmowę w cztery oczy było dla młodego agenta dużym wyróżnieniem, które Horn - nie wiedząc jeszcze, o co chodzi - doceniał. Paul przy całym swoim cynizmie i dystansie był obdarzony silnie rozwiniętą inteligencją emocjonalną, która nakazywała mu korzystanie ze wszystkich okazji oraz w miarę przyzwoite postępowanie z kolegami z branży, tak aby nie narobić sobie bez potrzeby wewnętrznych przeciwników. Potrafił też wywrzeć bardzo dobre wrażenie na przełożonych, dzięki czemu w młodym wieku zdobył stopień oficerski - nie miał jednak wątpliwości, że przełożeni pokroju Twigg'a nie dopuszczą go o wiele dalej i dopóki nie wymrze - lub nie odejdzie na emeryturę - poprzednie pokolenie, młodzi, zdolni, doskonale wyszkoleni agenci będą skazani na wieczne „wykazywanie się”, co zresztą chętnie czynił, uwielbiał bowiem wyzwania i mało co kręciło go tak, jak perspektywa niestandardowego działania, przełamania funkcjonujących układów, błyskawicznego awansu i zaprowadzenia nowych porządków, zgodnych z własnymi koncepcjami. Dla dobra kraju. Agent Horn również był patriotą. Twigg czytał w nim jak w otwartej książce.

- Panie kapitanie - powitał go generał - mam dla pana niezwykle ważną i delikatną misję. Właściwie jest to finał sprawy, nad którą pracujemy od kilku lat. Finał niezwykle trudny, nie możemy sobie pozwolić na błąd. Mamy do czynienia z wyjątkowo podejrzliwymi przeciwnikami - jest ich wielu, nie wszystkich znamy. To pierwszy kłopot. Istnieje obawa przypadkowego spalenia akcji. Przyjaciół może okazać się wrogiem. To proszę mieć na uwadze przede wszystkim.

- Tak jest, sir.

- Jeszcze pan nie wie, na co się decyduje. Sprawa dotyczy działalności mafii i niestety nie tylko. Handel, że tak to ujęmę, specjalistyczną bronią w konkretnym celu. Doszło do skutecznego zaszantażowania kilku osób ze świecznika. Musimy to przeciąć, zdobyć dowody. Sprawa zatrzęsie sceną polityczną. Przemyt, narkotyki i inne drobiazgi, które mogą przy okazji wypłynąć, to niezła pożywka dla mediów - tych ostatnich unikamy. Może zdarzyć się kilka spektakularnych, głośnych akcji, na których nie będziemy się koncentrować. Utniemy łeb hydrze.

Generał wyglądał na podekscytowanego. Powszechnie wiadomo było, że hydra nazywa się Tao Gun i jest lokalnym szefem mafii. Twigg polował na niego od wielu lat, jak dotąd nieskutecznie. Pościg ten stał się jego *idée fixe*.

- Dowodzę bezpośrednio. Zależy mi na współpracy z najlepszymi ludźmi, których można obdarzyć pełnym zaufaniem.

Horn uśmiechnął się w duchu. Wiedział, że podobnie jak on sam, dowódca nie ufa nikomu.

- Nie zawiodę pana, sir.

- Podkreślam słowo: współpraca. Poza działalnością operacyjną w pewnych kwestiach będzie mi zależało na pana opinii. Proszę mówić otwarcie i z każdym elementem zwracać się wyłącznie bezpośrednio do mnie, nawet gdyby wydawał się drobny. Czy to jest jasne?

- Tak jest, sir.

- Będę pana wtajemniczał modułowo. Po pierwsze zajmie się pan senatorem Albertem McKenzie. Umoczony po uszy, bardzo nieufny.

- Na czym ma polegać moje zadanie?

- Podsunie pan senatorowi kobietę. Właściwie ona sama to robi. Pan będzie czuwał nad całością.

Kapitan poczuł lekkie rozczarowanie. Taki banał. Generał czytał mu w myślach.

- Co pan na to?

- Spodziewałem się czegoś bardziej skomplikowanego.

- Dziękuję za szczerość. Operacja nie jest tak idiotyczna, jak się panu wydaje. Nie chodzi o „tego rodzaju towarzystwo”, ale o partnerkę, z którą senator zechce się ożenić.

To było jeszcze głębsze.

- A teraz przejdźmy do szczegółów. Chodzi o bliską osobę, żonę, która pozyska od McKenziego informacje, jakich nie możemy zdobyć w żaden inny sposób. Zależy nam, żeby się jej zwierzał. - Horn nie przypuszczał, że strategia Twigga może być tak naiwna. Albert McKenzie był znany z tego, że otacza się - zawsze na krótko - pięknymi, młodymi kobietami. Faktycznie przez lata podejrzewano go o kontakty z gangsterami, w tym z samym Tao Gunem. Nigdy niczego mu nie udowodniono, po drodze zatuszowano kilka skandali, związanych między innymi z czerpaniem osobistych profitów z handlu ludźmi - konkretnie korzyściach polegających na prawie codziennej dostawie nowych prostytutek. Raczej im się nie zwierzał. To była kompletna bzdura.

- Samo zadanie wydaje się proste, sir. Jednak senator nie bez powodu cieszy się taką, a nie inną opinią, i skłonienie go do opowiedzenia o swoich przestępczych powiązaniach wydaje się niewykonalne. McKenzie jest bardzo ostrożny, policja i media polują na niego od dawna, z premedytacją co noc zmienia towarzystwo, jestem przekonany, że również ze względów bezpieczeństwa.

Twigg nie słuchał.

- Agentka jest już wybrana. To osoba, która od pewnego czasu przebywa w tak zwanym uśpieniu. Właściwie nie pracuje już dla nas. Pana zadaniem będzie przekonać ją, aby wkroczyła do akcji. Proszę użyć wszelkich argumentów, zapewne będą musiały być niestandardowe. Liczę na pana wielką inteligencję i empatię. Może pan powołać się na jej zobowiązania wobec firmy, ale proszę nie przesadzać. Od tego elementu zależy powodzenie całej akcji. Proszę działać szybko. Nasza przyszła para zostanie sobie przedstawiona na balu dobroczynnym za pięć tygodni. Pseudonim kobiety - Lukrecja. Prawdziwe nazwisko Anna Litewski. To wszystko. Słucham pytań.

- Dlaczego senator miałby chcieć się z nią ożenić, sir?

- Zobacz pan. Dziękuję.

- To ja dziękuję za zaufanie i szansę.

Horn odwrócił się w stronę drzwi.

- Kapitanie? - mruknął Twigg.

- Tak, sir?

- To jest bardzo trudne zadanie. Nie muszę dodawać, że na tej sprawie można wypłynąć lub polec.

Horn sam już to wiedział.

Wychodząc, pod gabinetem spotkał Hermana. Jedna z sekretarek tłumaczyła mu, że szef nie może go przyjąć. Jej nieprzyjemny ton zdradzał zniecierpliwienie i lekceważenie.

- Proszę, a dla pana Horna znalazł czas - gorączkował się Herman.

- Był wcześniej umówiony - nie ustępowała asystentka.

- Paul - młodszy agent zwrócił się do niego ze źle skrywaną agresją. - Co u ciebie słychać?

- Wszystko w porządku - uśmiechnął się Horn, ściskając mu dłoń. - A ty jak się miewasz?

- Byłoby OK, ale jak sobie pewnie zdajesz sprawę, podebrałeś mi robotę.

- Ja? - zdziwił się kapitan. - Nie wiem, o czym mówisz.

- Panowie, nie tutaj, przeszkadzacie nam pracować - wtrąciła starsza sekretarka.

- Już uciekamy, do widzenia! - wycofywał się Paul, podczas gdy Herman najwyraźniej nadal nie zamierzał ruszyć się z miejsca.

Przez drzwi do pokoju zajrzał generał.

- Pani Erdo - zwrócił się do nobliwie wyglądającej urzędniczki - poproszę o akta N-30. - Kapitanie, jeszcze tu pan jest? - uśmiechnął się.

- Przepraszam, panie generale... - zaczął Herman, nie

zwracając uwagi na groźne spojrzenia obu pań. - Czy mógłbym zająć panu chwilę?

- Proszę przyjść pojutrze, poruczniku - uciał Twigg. - Pani Erda wpisze pana w grafik.

Asystentka posłusznie zaczęła wertować kalendarz. Szef uśmiechnął się do niej ciepło i zniknął w swoim gabinecie.

Paul Horn jechał wiejską drogą do posiadłości Anny Litewski. Lukrecja. Takiego pseudonimu używała najczęściej. Podobno pochodził od słodczy i Lukrecji Borgii. Niezła kombinacja. W służbie czynnej w latach 1987-2001. Data urodzenia nieznana. Dziwne. Sierota, rodzice NN? Extra agentka do zadań specjalnych, której pełne dane znajdują się w tajnym archiwum firmy? Wsławiła się kilkoma spektakularnymi operacjami. Podobno swego czasu była wysoko ceniona przez przełożonych, chociaż jej działania bywały odbierane jako kontrowersyjne. Na zdjęciach występowała jako brunetka, blondynka, ruda, z krótkimi i długimi włosami, szczupła lub z wyraźną nadwagą - plastyczny typ urody, podatna na charakteryzację. W grudniu dwa tysiące pierwszego roku odeszła z SAW. Odznaczona krzyżem zasługi i orderem państwowym drugiego stopnia.

Paul Horn w głębi duszy nie cenił wysoko kobiet w tej branży. Wiedział, że są niezbędne i nie kwestionował ich kwalifikacji, jednak podświadomie sądził, że w żadnym wywiadzie nie zajdą daleko - świat krzyżujących się ze sobą męskich rozgrywek skutecznie zablokuje ich ambicje - pojedyncze przypadki tylko potwierdzały regułę. Nie mówiło się o tym głośno, ale przecież wiadomo było, że w wielu przypadkach ich działania nosiły znamiona prostytutki. Hornowi to oczywiście nie przeszkadzało, ale uważał, że na innych polach też są trochę gorsze niż funkcjonariusze - mężczyźni. Jednak bardzo użyteczne. Płeć piękna w jego życiu w ogóle była użyteczna. Nie wiązał się głęboko emocjonalnie, nie miał na to czasu ani ochoty. Nie zamierzał również sam tworzyć swoich słabych punktów, a za taki uważał każdy poważniejszy związek. Dążył raczej do doskonałości. Wysokie noty na studiach, w tym z zakresu informatyki i psychologii, krótka przygoda z medycyną, ostry, wszechstronny trening fizyczny, w końcu wielostopniowe szkolenie w firmie. Wytrzymałość, szybkość reakcji, odporność na stres. Wiedział, że w swoim elitarnym wydziale jest najlepszy. Koleżanki traktował szarmancko, trochę w stylu Bonda - bawił się tym, jednak odnosił wrażenie, że za

nim nie przepadają. Co ciekawe, pięćdziesięciosześcioletni Twigg cieszył się większą sympatią i zainteresowaniem pań – stosując podobną strategię, wydawał się bardziej przekonujący, darzący kobiety autentycznym, nieco staroświeckim szacunkiem. Widocznie był lepszym aktorem. Paul doskonale wiedział, że to, czy generał kogoś szanował, nie było uzależnione od jego płci, i tak naprawdę darzył uznaniem niewielu. Lata skutecznego manipulowania ludźmi wytworzyły w nim swoiste poczucie wyższości, którego nawet nie zawsze chciał mu się kamuflować.

Oficer dojechał do starego, niewielkiego parku, wyglądającego na nieco zapuszczony. Pośrodku stał piękny, wiekowy dom z solidnymi drzwiami i ciężkimi, drewnianymi okiennicami. Okna były nieproporcjonalnie małe, przez co zaburzały trochę harmonię budynku. Jedna rynna odpadała, frontowe drzwi pomalowano zieloną, łuszczącą się farbą.

Zbliżał się wieczór, chciał szybko załatwić sprawę. Wbrew temu, co mówił generał, podsuniecie komuś kobiety wydawało się zadaniem uwłaczająco prostym, stosownym dla początkującego, szeregowego funkcjonariusza i gdyby nie stanowiło elementu wyjątkowego kalibru operacji, uznałby je za ujmę. Odwrotnie niż Herman, dla którego, jak się zdaje, miała to być nobilitacja. Kapitan uśmiechnął się pod nosem. Podejrzał, że kryje się za tym coś więcej. Może Twigg testował ich obu? Nakłanianie senatora do ożenku było zbyt idiotyczne, zresztą ta babka musiała być stara.

Długo dzwonił do drzwi, chociaż w domu paliło się światło. Wreszcie otworzyła mu zaniedbana, podchmielona kobieta, którą w pierwszej chwili wziął za gosposię popijającą pod nieobecność właścicielki. Absurdalność tej sytuacji cholernie go zirytowała. Oto dla czego potrzebna jest zmiana pokoleniowa. Twigg, stary wyga, w tak poważnej akcji nie dokonał podstawowego rozpoznania. Stała przed nim gruba kobieta w bardzo brudnym dresie. Miała przetłuszczone włosy pełne siwych nitek i wyraźny problem z alkoholem. Przekrwione oczy, sporo zmarszczek i zaskakująco młode i zadbane dłonie. Za mało, żeby Albert Mckenzie, król życia, złoty chłopiec bawiący w towarzystwie topowych modelek, zechciał się oświadczyć. Była też wyraźnie starsza od czterdziestodwuletniego senatora gustującego w dziewczynach ledwie pełnoletnich, świeżych i pięknych. Sam kongresman, również niezwykle przystojny, przywiązywał aż przesadną wagę do stroju i wyglądu. Trzeba jednak było zacząć rozmowę i przedstawić pani Litewski propozycję generała, obmyślając od razu, jak grzecznie się później wykręcić w przypadku jej przyjęcia.

- Słucham pana? - mruknęła.

- Dzień dobry, nazywam się Paul Horn - przedstawił się, pokazując legitymację. - Szukam pani Anny Litewski.

- No co tam? - mruknęła znowu.

- O złożenie pani wizyty poprosił mnie generał Peter Twigg. Czy mogę wejść?

- Peter... Jasne, niech pan wejdzie. Czego Peter ode mnie chce?

Jaka bezpośrednia. Peter i Peter. Widocznie dawna kochanka. To, że kiedyś wydawała się Twiggowi atrakcyjna, nie upoważnia go jeszcze do angażowania jej w akcję bez uprzedniego sprawdzenia. Zresztą to musiało być dwadzieścia lat temu, nawet idiota wie, jak zmieniają się w takim czasie chociażby koleżanki z klasy. Wszystkie inne umiejętności agentki również wydawały się dawno utracone.

- Generał prosił mnie, abym przekazał pani propozycję udziału w akcji. Ważnej dla kraju.

- Jak wszystkie wasze akcje. Nie pracuję już w SAW. Nie jestem zainteresowana. Proszę podziękować pryncypałowi za pamięć o mnie - skrzywiła się ironicznie.

Krótko. Bardzo dobrze.

- Pozwoli pani jednak, że przedstawię ogólny zarys. To może panią zainteresować.

- Nie.

- Szef wspominał o pani zobowiązaniach wobec firmy.

- Pet zawsze był bezczelny. Niech go pan nie słucha. Aha, pan go musi słuchać. Więc niech pan słucha. A ja, widzi pan, nie muszę.

Gadała trochę po pijacku. Może udawała, ale to nieważne.

- Powiedziałam: nie. Wiem, że się pan śpieszy, więc nie zatrzymuję, chyba że ma pan ochotę na drinka.

- Dziękuję bardzo. Prowadzę.

- No właśnie, już prawie noc. Żegnam, miło było poznać, panie Horn.

Zapamiętała nazwisko. Może rzeczywiście kiedyś była dobra.

- Generałowi bardzo zależy - spróbował jeszcze Paul z naciskiem.

- Tak, tak, cały Pet, zawsze zaangażowany. Proszę mu powtórzyć, że stanowczo odmawiam. I pozdrowić. Do widzenia, panie Horn, miłej podróży.

Paul rozejrzał się po raz ostatni. Wnętrze domu było zaniedbane, podobnie jak jego właścicielka. Jedyne salon wydawał się przytulny, może z powodu ognia płonącego w kominku. Właściwie nie było już nic do zrobienia. Lukrecja dolewała sobie drinka do pełna. Kapitan szybko ocenił, że nawet gdyby ją umalować, ubrać i przez pięć tygodni pozwolić pić wyłącznie wodę, senator nie zapragnie zostać jej mężem. Ani nie powierzy swoich

tajemnic. Trzeba szybko wybrać inną agentkę, a najlepiej zrezygnować z tego głupiego planu i przedsięwziąć jakieś skuteczne środki. Zgodnie z rozkazem musi o tym szybko zameldować Twiggowi osobiście.

Rozdział 2

DECYZJA

Tao Gun był wielkim bandziorem z dżentelmeńskimi aspiracjami. Oczywiście we własnym wydaniu, równie pokracznym, co on sam. Zbiegi szczęśliwych okoliczności połączone z przerażającą brutalnością oraz niezaprzeczalną inteligencją po latach bandyckiej działalności zapewniły mu fotel szefa lokalnej mafii. Zaczął mówić o sobie *padrino* i od czasu do czasu popadać w sztuczną egzaltację, wydającą mu się narodową cechą Włochów, w których był wpatrzony. W swoim mniemaniu Gun dorównywał klasą wielkim gangsterom z lat czterdziestych dwudziestego wieku. Jednak bez względu na te i inne drobne śmieszności Tao był silny. Autentycznie. A senator McKenzie słaby. To się czuło. Ich wzajemne relacje były oczywiste - Albert siedział w kieszeni *padrino* i wykonywał wszystkie jego polecenia, ten z kolei nim gardził i jednocześnie grzał się w słonecznej aurze eleganckiego playboya. Gun lubił pokazywać się w dobrym towarzystwie, nie bacząc na to, że przestawało być ono wtedy dobre i że jest powodem licznych niezręczności i kłopotów jego wysoko postawionych przyjaciół. Najchętniej nikt nie przyznawałby się do znajomości z Tao, nikt jednak również nie odważyłby się odmówić czy choćby uchylić od jego kompanii, nawet za cenę reputacji czy stanowiska. Owszem, w przeszłości bywali i tacy. Obecnie ich artystycznie wykonane z carrarejskiego marmuru groby stanowią ozdoby okolicznych cmentarzy. Mafioso nie obawiał się następstw swoich czynów. Plotka głosi, że pomimo niepisanego paktu o nietykalności mundurowych, w młodości znany był między innymi z tego, że przez wiele godzin rozczłonkował w garażu żyjącego jeszcze komendanta posterunku w swojej dzielnicy i nie poniósł z tego tytułu konsekwencji, pomimo głośnych zapowiedzi policyjnej zemsty. Podobnie liczne morderstwa, porwania i wymuszenia nie

spotkały się nigdy z adekwatną karą. Z czasem osiągał coraz wyższe pułapy przestępczego biznesu. Handel bronią. Klasyk. Nie byłby możliwy bez nawiązania stosunków - jak mawiał - dyplomatycznych. Osobiste poznanie Tao bywało wstrząsającym doświadczeniem dla niejednego doświadczonego, twardego gracza. Jego dwubiegunowość była powszechnie znana. Fazy łagodnej uprzejmości przeplatały się z atakami szału, ustępującymi z kolei pseudofilozoficznym wywodom, wszystko kilkakrotnie w ciągu jednej niespełna godzinnej wymiany zdań z przerażonym rozmówcą. Powszechnie znienawidzony i uważany za skrajnie niebezpiecznego wariata, równocześnie był obsypywany przez otoczenie względami, honorami oraz wyrazami głębokiego szacunku i przywiązania, które zresztą miał kompletnie gdzieś.

Sędzia Rasz Carter wpatrywał się w swoje smukłe, nienagannie zadbane zgrabne dłonie. Był blisko celu. Dowody, które udało mu się przez lata zdobyć, pogrążały niezbitcie nie tylko tego furiata Tao Guna, ale - co gorsza - wysoko postawionego funkcjonariusza, generała Petera Twigga. Budziło to w nim wstręt. Człowiek, który teoretycznie stał na straży narodowego bezpieczeństwa, według sędziego w swoich poczynaniach niewiele różnił się od pospolitego gangstera. W dodatku stała za nim potężna machina państwa. Każdy z nich, sprytny na swój sposób, długo wymykał się sprawiedliwości. Tao udało się wprawdzie przyskrzynić, ale na krótko i za sprawki lżejszego kalibru, niż w rzeczywistości miał na sumieniu. Był przy tym na tyle wredny, bezczelny i przewrotny, że po wyjściu chwalił się znajomością z sędzią, oświadczając wszem i wobec, że to on załatwił mu wcześniejsze zwolnienie i że pozostają w tak zażyłych stosunkach, że Rasz Carter z czystej do niego sympatii w sprawie będzie orzekał tak, jak *padrino* go poprosi. Trudno było o bardziej piramidalną bzdurę. Ktoś, kto znał prawość i niezłomny charakter sędziego, słysząc podobne rzeczy, nie chciałby się nawet popukać palcem w głowę. Tao wiele swoich działań opierał jednak na brawurowych kłamstwach, które uwiarygodniał później niespotykaną w naturze pewnością siebie.

Z Twiggiem sprawy miały się nieco inaczej. Od lat stał na czele Specjalnej Agencji Wywiadowczej, instytucji, która pierwotnie opierała się na szlachetnych założeniach, ale wraz z upływem czasu stopniowo coraz bardziej się kompromitowała. Nielegalne rozgrywki, preparowane akta, niezdrowe ambicje i zwykłe fuszerki nieraz doprowadziły do naruszenia bezpieczeństwa państwa.

W niewyjaśnionych okolicznościach spadły głowy, które mogłyby być w tych sprawach świadkami. Niektóre z nich znajdowano później na dnie rzeki czy wysypisku śmieci. Kilka realnych afer i zimnych trupów. Wypadek samochodowy, zawał, nieszczęśliwa wycieczka w góry. Przeciwnicy generała często mieli pecha. On sam o niczym nie wiedział, nie słyszał, ze świętym oburzeniem żądał, aby go z tymi sprawami nie wiązać. Odgrażał się pozwami. Potęga jego władzy uprzedzała nieśmiałe próby obnażenia nieprawidłowości, sięgała do gabinetów prokuratorów, więzień i prywatnych domów. Któż odważyłby wystąpić przeciwko wszechmocnemu dowódcy SAW? Sędzia Carter nie miał wątpliwości. Formalnie spotykali się dość często, jako przedstawiciele prawa byli skazani na współpracę. Układała się nieźle, odnosili nawet wspólne sukcesy. Na naradach w gabinecie premiera lub w monumentalnych salach wymiaru sprawiedliwości wymieniali się zwyczajowymi uprzejmościami. Obserwowali z zaciekawieniem swoje nieruchome twarze. Twigg chciał zgadnąć, czy sędzia pamięta drobny incydent sprzed lat. Miał nadzieję, że nie, szczeniackie wybryki nie mogą przecież wpływać na relację dojrzałych mężczyzn piastujących kluczowe stanowiska państwowe. Carter zaś z diaboliczną konsekwencją odliczał dni, kiedy wyda na niego skazujący wyrok.

Czy można było nie kochać Rasza Cartera? Zapytajcie jego koleżanki. Odpowiedzą, że niestety jest na to zbyt przystojny, błyskotliwy, empatyczny i prawy. Elegancki, ale nie sztywny. Ach, jak śpiewał i tańczył! A jak grał na gitarze, niejeden rockman zawstydziliby się, słuchając brzmień, które z niej wydobywał. Wspaniale prezentował się na koniu! Uwielbiał te zwierzęta z wzajemnością i jeździł tak, jakby urodził się w siodle. Zwróćcie się do prezesa sądu z pytaniem, kogo uważa za najwybitniejszego przedstawiciela podległej palestry? Porozmawiajcie z ludźmi, którym pomógł. Posłuchajcie jego zaraźliwego śmiechu. Spójrzcie, jak szczęśliwi są jego żona i dzieci. Przejrzyjcie dyplomy i tytuły honorowe. Zagadnijcie pracowników, czy mieli kiedyś lepszego szefa. Zliczcie jego datki na organizacje pozarządowe, zwłaszcza wspierające zdrowie i edukację wykluczonych społecznie. Obejrzyjcie zdjęcia z papieżem, Dalajlamą, prześladowanymi przywódcami opozycji w tyranizowanych krajach, ze zranioną podczas wojny domowej osieroconą afrykańską dziewczynką, którą z żoną adoptowali, i wdzięcznym za przysługi i rozślawianiem

romskiej legendy cygańskim królem. Sędzia przyjął go w swoim gabinecie, w którym na potężnym biurku stały dwie flagi: państwowa i narodowa, z czerwonym kołem od wozu na zielono-niebieskim tle. Ziemia, niebo i wolność. Co ciekawe, za sprawiedliwego uważali go nawet przestępcy, których skazywał. Wszyscy, którzy się z nim zetknęli, zastanawiali się po prostu, jak to możliwe, aby w jednym człowieku skumulowało się tyle zalet.

- Zawiódł mnie pan, kapitanie. - Twigg był wściekły. - Straciliśmy dwa dni.

- Proszę wybaczyć, sir...

- To, że raz zapytałem o pańską opinię, nie oznacza, że ma pan swobodnie filozofować na temat otrzymanych poleceń. Uprzedzałem, że misja jest trudna, liczyłem na pana kompetencje - wrócił pan bez Lukrecji. Zakładam, że czytał pan jej akta, tak?

- Tak jest. Jednak, proszę mi wybaczyć, sir, Anna Litewski, Lukrecja, zdaje się nie spełnić związanych z nią oczekiwań.

Na twarzy Twigga pojawił się drwiący uśmieszek.

- Nabrała pana.

- Obawiam się, że nie, sir, nie spodziewała się mojej wizyty, nie mogła się przygotować.

- Przygotowywała się od dziesięciu lat.

- Sir...

Twigg sięgnął do szuflady i rzucił na stół cienki skoroszyt.

- Proszę zerknąć.

Horn spojrział - na pierwszej stronie zdjęcie Anny - aktualne, dalej jakieś opisy, niezbyt w tej chwili ważne. Główne punkty charakterystyki osobowości: przenikliwa, charyzmatyczna, dyskretna, umiejętności snajperskie. Istotne było to, że generał posiadał pełne rozpoznanie w sprawie tej pani. Gdzie więc tkwił błąd? Zorientowała się, że jest obserwowana, zagrała dla niego scenkę? Partacze z operacyjnego. Czemu od dziesięciu lat?

- Przerwijmy to, kapitanie. Lukrecja spotka senatora na balu charytatywnym za cztery i pół tygodnia. Proszę do tego doprowadzić, a nie starać się osiągnąć efekt przeciwny. Proszę się lepiej przygotować, doczytać te akta - zamasyście podsunął mu papiery. - Wiem, że to wyzwanie, dlatego daję panu jeszcze jedną, ostatnią, szansę. - Twigg powiedział to z naciskiem. - W ostateczności proszę jej powiedzieć, że odmowa przysporzy cierpienia staremu przyjacielowi. To wrażliwa dziewczyna, powinno zadziałać.

Jednak to stary, sentymentalny dureń, pomyślał Paul, salutując na pożegnanie z kamienną twarzą.

Droga do Anny Litewski zajęła mu tym razem mniej czasu. Jeep doskonale amortyzował wybite w leśnym dukcie góry i doły. Wysokie zawieszenie ułatwiało jazdę po wertepach. Ponad trzysta koni pod maską dawało poczucie mocy, a czarna karoseria i szara, skórzana tapicerka – surowej elegancji. Duży samochód dla dużego mężczyzny. Tak lubił.

Chyba na niego czekała, trzeźwa. W każdym razie otworzyła natychmiast i gestem zaprosiła do środka. Wyglądała okropnie, gorzej niż poprzednio. Horn był zdecydowany zadziałać skutecznie. Czuł, że generałowi wyjątkowo zależy na udziale Lukrecji w operacji, i postanowił nad tym akurat aspektem chwilowo się nie zastanawiać. Zgodnie z poleceniem doczytał jej akta. Nie wynikało z nich nic szczególnego. Kilka opisów dawnych zadań wskazujących, że była bardzo dobra. To wszystko.

Paul Horn czuł się złapany w jakąś mglistą pułapkę. Przeczynał – i niezwykle go to drażniło – że od nakłonienia tej baby do zaangażowania się w sprawę zależała jego dalsza kariera. Myśl, że tak błyskotliwy oficer jak on został skierowany na podobnie żenujący odcinek, rodziła jeszcze niższą ocenę zdolności zarządzania kadrami przez swojego zwierzchnika, jednak zdecydował się w pełni dostosować do jego wymogów. Na razie.

- Pet nadal mnie zaprasza?

- Tak, pani Litewski.

- Szkoda, że znów pan jechał taki kawał drogi.

- Musi pani ze mną porozmawiać.

Uśmiechnęła się i zaczęła nalewać sobie drinka.

- Jestem kiepską gospodynią. Niczym pana nie częstuję. Szczerze mówiąc, mam nadzieję, że zaraz pan pojedzie i nie opląca mi się brudzić zastawy.

- Jeden talerz niewiele by zmienił – zauważył Paul, rozglądając się niechętnie po meblach kuchennych, na których wały się spore stosy brudnych naczyń.

- Skąd pan wie? Moja gospodyni, pani Huckelberry, liczy każdą użytą filiżankę.

- Czy poza tym również je zmywa? – dociękał Horn, który był pedantyczny i męczył się w takich miejscach.

- Nie chcesz chyba czepiać się mojej gospodyni – stała się bardziej bezpośrednia.

- Rzeczywiście, to twoja sprawa, na co wyrzucasz pieniądze w błoto, Lukrecjo. - Horn postanowił przyspieszyć.

Uśmiechnęła się.

- Opowiedz mi o szczegółach - poprosiła.

Zrobił to, prawie uznając, że się zgodziła.

- Odmawiam - powtórzyła.

- Teraz chyba nie możesz.

- Cały czas mówię: nie. Pozwoliłam ci się wygadać, żebyś miał poczucie, że coś zrobiłeś. Co dalej? Będziesz mnie torturował? Jedź do Peta i powtórz, co powiedziałam.

- Prosił, żeby przekazać, że twój sprzeciw sprawi mu ból.

Milczała, wpatrując się w szklankę.

- Jemu? - spytała drwiąco.

- Mówił o starym przyjacielu.

- Tak, Peter to dobry przyjaciel. Nie zasługuje na ból.

Miał wrażenie, że Lukrecja mówi o czymś, czego nie rozumiał.

- Odjedź stąd, Paul - powiedziała z nagłą złością. - Nie wezmę udziału w tej akcji.

Horn tym razem miał przygotowanych kilka scenariuszy. Zaczął od najłagodniejszego.

- Nie wyjadę bez ciebie, Lukrecjo, skoro już od początku wieczoru podejmujemy próby przejścia na „ty” - powiedział beznamiętnie.

- Więc zostań. I idź spać. Masz przygotowaną sypialnię na górze - odpowiedziała podobnym tonem.

Po krótkim namyśle kapitan skłonił lekko głowę na pożegnanie i spełnił jej życzenie. Wchodząc do pokoju, klął w duchu panią Huckelberry, gdyż przygotowanie pokoju nie obejmowało nawet przewietrzenia zatęchłej pościeli, nie mówiąc o jej zmianie. Przez chwilę wahał się, czy nie przenocować w samochodzie, jednak ostatecznie zrzucił z łóżka wstrętne koce i okrył się własną kurtką.

Peter i Tao pochodzili z jednej, małej wioski o nikomu nic niemówiącej nazwie Alistone. W dzieciństwie znali się doskonale. Mało tego - biegali po tych samych podwórkach i bawili się w jednej bandzie dzieciaków, może nawet w jakiś odległy, niepotwierdzony sposób byli ze sobą spokrewnieni, jak to często bywa w niewielkich miejscowościach. W każdym razie zżyli się ze sobą i uchodzili niemal za braci. Dzieci na wsiach o wiele później niż w miastach zaczynają się dzielić na mądre i głupie, bogate i biedne, spełnione i stracone. Wszyscy są po prostu swoi.

- Taosiu, nie dokuczaj Peterkowi.

- Peter, nie gniewaj się na Taosia!

Znały się ich matki, babki, niegdyś prababki oraz liczne ciotki i kuzyni. Sprawy załatwiała się między sobą. Żeby to w pełni zrozumieć, należy samemu pochodzić z dostatecznie małej miejscowości. Trzeba jako mały chłopiec kochać babcię czy ciocię, ostatnią ważną osobę z zapomnianych czasów, kiedy się jeszcze miało serce... Kuzynkę, której zagniewana twarz wiele lat temu przestała się już nawet śnić, aby napomnieć:

- Peter, przeproś Tao!

- Taosiu, nie oszukuj Petera!

Zresztą ten archaiczny i zaściankowy minikodeks honorowy od dawna w niczym ich nie ograniczał. Obaj zaszli tak wysoko, że - co oczywiste - po drodze musieli zabić wiele ciotek, dosłownie i w przenośni.

Dla zdobycia wielkiej władzy wyzbyli się słabych punktów - bardziej dotyczyło to Twigga, Tao jako rasowy psychopata właściwie nawet jako dziecko nie miał ich wiele. Niczego, na czym naprawdę zależy. Nikogo rzeczywiście bliskiego. W młodości były jeszcze jakieś kobiety, szybko jednak relacje z nimi stały się wyłącznie mechaniczne.

W okolicy przebywał jeszcze jeden chłopiec. Każdą zimę przemieszkował w obozie cygańskim stacjonującym na szerokiej polanie ukrytej w zagajniku jakieś trzy kilometry od Alistone. Tabor przybywał wraz pierwszymi chłodami, a wyjeżdżał tuż po stopnieniu śniegów, ciągnąc przed siebie nie wiadomo dokąd. Mały Raszaj Miro przeżywał w nim beztroskie chwile. Miał szczęście, że urodził się chłopcem, to zwalniało go z większości obowiązków i pozwalało robić to, na co miał ochotę. A Raszaj nade wszystko chciał się uczyć. Ani on, ani inne dzieci, ani nawet jego rodzice nie bardzo wiedzieli, jak się do tego zabrać. Matka zmęczona ustawicznymi pytaniami o literki i cyferki, na które nie za bardzo potrafiła odpowiadać, zaprowadziła go w końcu do miejscowej szkoły, mając nadzieję, że nie zostanie przyjęty, temat ostatecznie się zakończy i dociekliwy syn znajdzie sobie inne zainteresowania. Romskie dzieci do szkoły nie chodziły. Ale Raszaja na lekcje zapisano, trochę z zaskoczenia, trochę ze zdziwienia, a trochę dlatego, że i tak za kilka miesięcy miał wyjechać. Ten przejściowy dla wszystkich kłopot okazał się trwałą niedogodnością. Miro pokochał szkołę, zafascynował go ogrom wiedzy, który mógł z niej czerpać, i uczeplił

się jej tak mocno, że nikt ani nic nie mogło go odwieść od raz powziętego zamiaru. Ani to, że zderzył się tutaj z obcym, niezrozumiałym światem, ani izolacja wśród nowych kolegów, ani szykany z ich strony. W obozie dzieci żyły we wspólnocie, były akceptowane i kochane, miały dużo wolności. Rodziny i znajomi otaczali je opieką, bo dla Romów dzieci są święte. W szkole chłopcy i dziewczynki też trzymali się razem, tym bardziej zjednoczeni, im bardziej w kontrze do nich pozostawał odmienny, śniady, brudny i biedny Raszaj Miro. Tak, dzieciaki – i przecież nie tylko one – lubią mieć wspólnego wroga, a raz przypięta łątka kozła ofiarnego nieraz ciągnie się za człowiekiem przez całe życie. Jednak nowy kolega nie bardzo się nadawał na ofiarę. Cygańskie dzieci są sprytniejsze, wytrzymalsze i sprawniejsze od tych wychowywanych w bardziej ciepłarnianych warunkach. Potrafią biegać i skakać, podczas gdy ich rówieśnicy zaledwie raczkują. Są też cierpliwsze i pogodzone z losem. Choć to przecież dopiero dzieciaki. Nikt przesadnie nie chroni ich przed niebezpieczeństwem, nie zamyka pod kłosem i nie rozpieszcza. Jakby różnic było mało, ten trochę zaniedbany chłopiec okazał się najzdolniejszy ze wszystkich. Wybitnie utalentowany. Szczerze mówiąc, rozsadzający swoim intelektem prowincjonalną podstawówkę w Alistone, która nie oferowała edukacji na odpowiednim dla niego poziomie. Oczywiście nikt chętnie by się do tego nie przyznał, a zwłaszcza dyrektorka tej zacnej placówki, nauczycielka geografii, panna Margaret Clark. Tabor wyruszał wiosną, a zjeżdżał w okolice Alistone późną jesienią. Raszaj opuszczał przez to znaczną część roku szkolnego. W pozostałe dni nie miał ani jednej absencji. To wystarczyło, żeby wiedział wszystko. Znał odpowiedzi na najtrudniejsze pytania, drażył tematy z dociekliwością, odkąd nauczył się pisać i czytać, a zrobił to błyskawicznie, nadrabiał materiał samodzielnie, na zapas, interesowało go wszystko i chłonał wiedzę z zapalczywością, z jaką chłopcy w jego wieku zazwyczaj grają w piłkę nożną, polują na ptaki lub bawią się w policjantów i złodziei w założonych przez siebie „bandach”.

Dopóki przebywał wyłącznie wśród swoich, Raszaj nie czuł się nędzarzem. Dzwonił mu w uszach cygański tabor, mieszkał w całkiem bogatym wozie z oknami, jego dom na kółkach był wysłany miękkimi dywanami. Wieczorami nad ogniskiem w kociołku zawsze gotowała się kura, tłusty, złoty rosół pachniał dookoła, smakował pysznym bezpieczeństwem. Od rana do wieczora towarzyszyły mu śpiewy, żarty, dźwięki lutni i skrzypiec. Patrzył na swoje siostry, kuzynki i znajome tańczące w świetle płomieni, wielobarwne, szafirowe, cytrynowe, koralowe i fioletowe falbaniaste

spódnice rozkładały się w tańcu jak skrzydła motyli, białe szerokie rękawy nadymały się jak żagle, dłonie miękko płynęły w powietrzu. Złote blaszki, którymi obszyte były karminowe chusty, brzęczały jak monety, kolorowe szkiełka błyskotek połyskiwały w płomieniach, rzucały refleksy, mrugały jak gwiazdki.

Dopiero w szkole spostrzegł, że nie przynosi kanapek na drugie śniadanie, że brakuje mu pieniędzy na książki i że śmierzdzą mu nogi. To ostatnie bardzo przeszkadzało całej klasie i pani nauczycielce. Raszaj miał tylko jedną parę butów, dziurawą, przemoczoną i przegniłą, którą dzielił się w dodatku ze starszym bratem. Nikt nie chciał się z nim bawić ani siedzieć w jednej ławce. Dyrektorka nie mogła odżalować, że w chwili słabości zgodziła się go przyjąć, próbowała więc przynajmniej zniechęcić go na tyle, aby wrócił tam, skąd przyszedł. Liczyła na to, że chłopak wda się w bijatykę albo coś ukradnie, jak to Cygan, i będzie miała powód do wycofania się ze swojej decyzji, o którą zresztą mieli do niej pretensje rodzice innych uczniów. Po namyśle zgodziła się, że uzasadnione. Na geografii przepytывała go z nadzieją, że chłopak się pomyli albo powie coś głupiego, on jednak doskonale orientował się w czytaniu map i w ogóle w terenie, instynktownie rozpoznawał kierunki świata, znał się na położeniu gwiazd na nocnym niebie, potrafił wymienić stolice najmniejszych państweczek, liczbę ich ludności i długość granic. Nie dało się go na niczym zagiąć.

- Skoro tyle podróżujesz, Raszaj, to może widziałeś góry?

Chłopiec widział.

- A nawet jeziora i morze?

Też tam był. Zwiedził o wiele więcej miejsc niż miejscowe dzieciaki.

- Więc zechcesz nam coś o nich opowiedzieć?

I Miro mówił, jak to wszystko widział swoimi oczami.

- Wysokie góry mają przez cały rok ośnieżone szczyty, a poniżej są skaliste i niebieskie, gdzieś tak dopiero na wysokości dwóch trzecich zaczynają je porastać lasy. Woda w jeziorach jest przezroczysta i żyją w niej raki, a w morzu mętna i słona, i zmienia barwy od stalowo-szarej do jasnoblękitnej. Na plaży czasem widać śmieci. Bory są tak ogromne, że można jechać przez nie tygodniami i nie spotkać żadnego człowieka, a drogi grząskie i piaszczyste.

- A jak się nazywały miejsca, które opisujesz? W jakim kraju było morze, jeziora, góry i las?

Raszaj nie wiedział. Nikt nigdy mu nie powiedział. Może ojciec i matka sami tego nie wiedzieli, na duktach, którymi poruszały się wozy, nie pozaznaczano granic. Słońce świeciło podobnie i w Rumunii, i w Ameryce, i w Persji.

- Kłamiesz - zawyrokowała nauczycielka. - Wymyślasz bajki. Jesteś beznadziejny. Nigdy nic z ciebie nie będzie. Tacy jak ty tylko marnują czas innych.

Miro się nie obraził, bo wiedział, że to nieprawda. Od dziecka nie można go było dotknąć niczym, do czego sam nie był przekonany. Głęboko zakorzenione, naturalne poczucie sprawiedliwości dawało mu siłę nietypową u tak małego dziecka. I odwagę.

- Ty śmierzający kundlu - zaczepiał go Tao - wynoś się do swoich brudasów. - Dziewczynki zachichotały. Tao podbudowany reakcją koleżanek, ciągnął dalej: - Precz stąd! Bo ci zaoram tę cygańską gębę! - Tracił panowanie nad sobą, w końcu z całej siły walnął Raszaja pięścią w twarz. Kiedy zamachnął się po raz drugi, ten uskoczył. Spojrzał na stojącego nieopodal Petera, kolegę, który śmiał się z niego najmniej. Miro mówił o nim „Mój najlepszy kumpel ze szkoły” i choć było to określenie na wyrost, czuł, że Pet docenia jego charakter i mądrość i nie przyjaźni się z nim tylko dlatego, że nie chce narazić się pozostałym dzieciom z klasy. Nie wymagał od niego aż takiej odwagi, sam tolerancyjny, wyczuwał w Twigggu bratnią duszę. To mu wystarczało, bo w tym wrogim świecie to było bardzo dużo.

Tymczasem Tao kopnął go z całej siły w udo. Miro stracił cierpliwość. Nadpobudliwy napastnik był tylko tępo agresywny, młody Rom silny, zwinny i zdeterminowany. Szybko oddał ciosy, pod którymi jego dręczyciel zachwiał się i stracił całą pewność siebie. I kiedy bójka była już właściwie rozstrzygnięta, niespodziewanie do akcji wkroczył Peter.

- Zostaw mojego kuzyna w spokoju, brudny Cyganie! - wrzasnął i wymierzył uderzenie w zaskoczoną twarz chłopca. - To ośmieliło innych. Rzucili się na niego całą grupą. Skrywana pogarda eksplodowała z dziką siłą. Tłukli, kopali i pluli, aż stracił przytomność.

- Cholerny kłopot z tym bachorem - złościła się dyrektorka zmuszona poinformować tabor, żeby ktoś po niego przyszedł i zabrał do swoich. - Teraz ci będą mieli pretensje.

Ale smagły wuj, który wziął zemdlonego Raszaja na ręce, nie powiedział ani słowa, tylko szybko odszedł z nim w stronę obozowiska. Wyglądająca za nimi nauczycielka geografii widziała tylko opartą na szerokim ramieniu, oddalającą się zapuchniętą i skrwawioną twarz dziecka.

Po tym wydarzeniu Miro nie wrócił już do szkoły. Ojciec mu zabronił. Panna Clark złapała się na tym, że od wielu tygodni bezskutecznie wypatruje swojego najzdolniejszego ucznia. Ukarła

chłopców, niezbyt surowo, w końcu to dzieci. Z czasem jednak jej wyrzuty sumienia narastały. Czy Raszaj wyzdrowiał? A może stała mu się jakaś krzywda? Dlaczego nie przychodzi? Przecież tak kochał się uczyć? Romowie nie zaglądali do wsi, nie było kogo podpytać. Przecież chyba nic się takiego nie stało. W końcu, po wielu wahaniach, wybrała się osobiście do cygańskiego obozu, od początku klnąc się w duchu za ten pomysł. Och, jakże wiele miała obaw! Czy ją tam wpuszczą? I czy ją stamtąd wypuszczą? Na wszelki wypadek zostawiła w domu zegarek, pierścionek i portfel, była pewna, że nawet jeżeli uda jej się wydostać z tego okropnego miejsca, to na pewno wróci z niego ogołocoła. Zbliżając się do obozowiska, czuła, jak uginają się pod nią nogi, szła coraz wolniej i wolniej, ale przemogła się, bo niosła dla małego, pobitego chłopca zadośćuczynienie. Od tej pory będą kwita. Nikt nie śmie zarzucić jej, dyrektorce szkoły podstawowej w Alistone, że nie dostrzegła wybitnych talentów ucznia i nie zrobiła wszystkiego, aby je rozwinąć. A potyczki pomiędzy chłopakami zdarzają się wszędzie, nie można jej za to winić.

W obozowisku zobaczyła wywieszane na sznurach prześcieradła i bosych malców, mimo zimy. Mnóstwo obszarpanych dzieci, których gołe stopy nigdy nie przekroczyły progu jej klasy. Mijała domki z blachy, prowizoryczne namioty i dziurawe okienka. Chude psy biegały swobodnie, niektóre łąsiły się do nóg, inne poszczekiwały ostrzegawczo. Ktoś wskazał jej wóz państwa Miro. Było w nim bardzo zimno. Na legowisku, przykryty najgrubszą w domu kołdrą, leżał chłopczyk, który nie mógł chodzić. Kiedy było trzeba, bracia wynosili go na dwór. Jego matka, zaskoczona nagłą wizytą, była dla Margaret bardzo uprzejma, częstowała ją herbatą i uśmiechała się przez łzy.

- Bardzo mi przykro - wyjąkała panna Clark. - Jak się czujesz, Raszaj, dlaczego nie chodzisz do szkoły? - Sama wiedziała, jak głupie było to pytanie. - Przyniosłam ci coś. Taki prezent. Naszej szkole oddano do dyspozycji jedno stypendium. Przyznałam je tobie.

- Co to znaczy stypendium?

- Pieniądze, które rząd przekazuje najlepszym uczniom na to, żeby mogli wybrać sobie szkołę, do której chcą uczęszczać. Wystarczą, żeby zapłacić za internat, czyli taki dom dla młodzieży, książki i jedzenie. Starczy na wszystko, nawet jeśli ta szkoła jest bardzo daleko. Ale ty się nie boisz podróży, prawda, Raszaj?

Dziecko spojrzało na nią ufnie.

Wracając, połykała łzy. Gdyby nauczycielce wypadało szlochać i krzyczeć, panna Margaret Clark wyłaby do tego mokrego śniegu, do błotnistej drogi i zapadającego zmroku. Kolczyki. Złote kolczyki.

Przed wyjściem zapomniała o ich zdjęciu, a mimo to nadal miała je w uszach.

Nie minęły dwa tygodnie, kiedy Raszaj Miro, chwiejąc się i kulejąc, podpierając krzywym, drewnianym kosturem, nieśmiało przekroczył w swoich rozpadających się butach progi szkoły, zgłaszając się po odbiór stypendium. Uczepił się go pazurami i już nigdy nie wypuścił z rąk. Było przepustką do nowego, fascynującego życia. Inni narzekali, że to mało, ale przecież dostał więcej pieniędzy, niż jego dziadek zarabiał na kowalstwie, a ojciec wyciągał z handlu złomem. Tych w gruncie rzeczy kilka groszy wystarczyło na przeprowadzkę do nieznanego miasta, nowe buty, podręczniki i skromne pożywienie. Oprócz tajników historii, matematyki i chemii w internacie nauczył się, że musi sam po sobie zmywać i sprzątać i że nie robi tego za niego żadna dziewczynka. Że trzeba samemu dbać o siebie. Co to jest prysznic i teatr. Że kiedy ubierze się elegancko, ludzie zwracają się do niego z większym szacunkiem, niż gdy przywdzieje niedoprane łachmany. Szybko zdobył nowe stypendium i ukończył kolejną szkołę. Później jeszcze jedną. W końcu dostał się na prestiżowy wydział prawa na elitarnym uniwersytecie. Tam okazało się, że jest nie tylko najzdolniejszy, ale i najprzystojniejszy na uczelni. Odnosił sportowe sukcesy, szybko stał się gwiazdą uniwersyteckiej drużyny koszykówki. Dziewczyny kochały się w nim masowo, nawet kostyczne profesorki zdawały się ulegać jego łobuzerskiemu czarowi. Ale Raszaj nie bardzo potrafił korzystać z powodzenia, którym nagle obficie sypnęło na niego życie. Wciąż namiętnie się uczył. Był urzekająco skromny, jakby nie zdawał sobie sprawy z mnogości swoich atutów. W trudnych sytuacjach zawsze postępował etycznie, miał odwagę stawać w obronie pokrzywdzonych, dzięki czemu zyskał zaufanie i szacunek. Wybrano go starostą roku. Ożenił się z koleżanką ze studiów, w późniejszych latach wziętą adwokatką, i przyjął jej nazwisko: Carter. Dla wygody skrócił też imię. Czy gdyby stanął przed romskim sądem, uznano by to za skalenie? Na pewno tak. W jego społeczności mężczyzna nie mógł być w żadnym wymiarze podporządkowany kobiecie, to go hańbiło. Ale Rasz Carter od dawna już się mijał ze swoim taborem. Zanim skończył się rok szkolny, oni wyruszyli w drogę, a kiedy się zaczynał, jeszcze nie przybywali do obozowiska. W długie, puste wakacje, kiedy inne dzieci wyjeżdżały z rodzicami w góry lub nad morze, mały Rom całymi godzinami stał przylepiony do szyby opustoszałego internatu, wypatrując w oddali białych bud, nasłuchując rżenia koni, skupiając wzrok na kolorowych, dalekich punktach, modląc się w duchu, aby to była karminowa chusta jego

matki. Tym bardziej nienawidził wtedy dwóch gadziów, przez których znalazł się w przypadkowym, dalekim mieście, na uboczu i w osamotnieniu. Był gotów wbić im nóż w serca, chociaż wiedział, że i za to groziłby mu sąd swoich, diaspora zabraniała bowiem używania w bójkach metalowych narzędzi, także zamachnięcie się na Peta i Tao nożem lub siekierą oznaczałoby dla niego małe skalanie. Nie godził się z tym. Wrodzone poczucie sprawiedliwości podpowiadało mu, że są gdzieś sprawiedliwsze sądy. Po błyskawicznym pokonaniu licznych szczebli prawniczej kariery sam stał się czołowym przedstawicielem jednego z nich.

Generał owdowiał dość dawno temu, nie mieli z żoną dzieci. Nieodżałowana pani Twigg zmarła nieoczekiwanie podczas prostego zabiegu medycyny estetycznej. Złośliwi dopatrują się w tym tragicznym zdarzeniu wpływu Petera, który ponoć wiedział wystarczająco dużo, aby znanego chirurga z zaprzyjaźnionej kliniki wsadzić na wiele lat za kratki.

Żonie zawdzięczał wiele, jeszcze więcej niechętnemu sobie teściowi. Wysoka pozycja towarzyska i materialna nie osłodziła pogardy, którą madame Twigg nieopatrznie zaczęła mu okazywać niedługo po tym, jak wygasł pomiędzy nimi żar, który przywiódł ich do tego głośnego w swoim czasie mezaliansu.

Chłodne relacje małżonków były powszechnie znane, jednak po śmierci żony Peter raz do roku pojawiał się przy jej grobie z bukietem kwiatów tak pięknym, jakiego zapewne nigdy nie wręczył jej za życia. Przychodził zawsze bez okazji, o innej porze przypadkowo wybranego dnia, aby nie powiełać zachowań, tak jak go wytresowano. Gdyby ktoś tam na niego czekał, musiałby się uzbroić w cierpliwość i tkwić na cmentarzu przez cały rok.

Plotki głoszą, że w przeciwieństwie do Twigga Tao Gun był ojcem liczego potomstwa, nigdy jednak nie uznał żadnego z dzieci, co nie spotykało się z oporem ich matek, gdyż żadnej pozostającej przy zdrowych zmysłach kobiecie nie przyszłoby do głowy, aby się tego od niego domagać. Żonaty krótko, we wczesnej młodości. Rodzina narzeczonej przyjęła go z wielką radością, podobnie jak cała nadmorska wioska, dla której ślub dziewczyny z bogatym mężczyzną z Zachodu był przepustką do lepszego życia, losem wygranym na loterii. Niestety jego egzotyczna, przywieziona z Azji żona, córka poławiacza pereł, często towarzysząca ojcu w jego podwodnej pracy, utopiła się, nieszczęśliwie skacząc z jachtu, gdy chciała rekreacyjnie popływać w orzeźwiającej wodzie w świetle

księżycu.

I choć drogi obydwu panów bezpowrotnie rozeszły się kilka dekad temu, ich dawna znajomość była tajemnicą poliszynela, chętnie wykorzystywaną przez licznych nieprzyjaciół z ich środowisk. Cóż to za szef SAW, który przyjaźnił się z gangsterem? Może nadal ulega jego wpływom? Siedzi w kieszeni?

W drugą stronę działało to jeszcze gorzej. Szczere relacje z Wielkim Psem, jak pogardliwie ochrzcił Twigga światek przestępczy, były niezmywalną hańbą i rodziły wprost podejrzenia o bycie kapusiem. Tylko wrodzona bezwzględność Tao pozwalała mu utrzymać pozycję. Z wściekłością eliminował wszystkich, którzy chociażby zająknęli się na temat jego kumpla z dzieciństwa.

Kapitan zacisnął dłoń na pistolecie, zanim zdążyły skrzyknąć drzwi. Był środek nocy, do pokoju weszła Lukrecja, trzymając w ręku butelkę i dwie szklanki. Jedna była pusta, z drugiej piła.

- Przyszłam pogadać.

- Cieszę się, zapraszam. - Jego płytki sen prysnął już dawno.

Rozsiadła się w fotelu poplamionym podobnie jak szlafrok, który miała na sobie.

- Przyjechałeś mnie zabić, Paul? - bardziej stwierdziła, niż spytała.

- Skądże - zachnął się. - Przyjechałem w sprawie, o której rozmawialiśmy.

- Nie rozmawialiśmy o żadnej sprawie. Teraz porozmawiamy - uśmiechnęła się lekko. - Będziesz musiał.

- Co takiego?

- Będziesz musiał mnie zabić, jeśli do rana się nie dogadamy.

Horn spojrział na nią z opanowaniem.

- Nie dramatyzuj, Anno. Masz tylko uczestniczyć w balu. To chyba nie jest aż takie straszne?

Nie wiedział, czy trafnie zareagował, trudno było rozgryźć tą kobietę i cała sytuacja wydawała mu się nieprzyjemna.

Postawiła butelkę i szklanki na stole, z kieszeni szlafrocka wyjęła kostkę cukru. Do pustego naczynia wlała alkohol i trzymając cukier między palcami, zaczęła przelewać go wodą z karafki stojącej na nocnej szafce Paula. W końcu wyciągnęła rękę i podała mu szklankę.

- Napijmy się - uśmiechnęła się zalotnie. - To absynt - wyjaśniła. - Ma sto lat. W Stanach jest zakazany, w Europie można go produkować, ale tylko według współczesnych receptur. Ta

butelka pochodzi z Francji, nawet tam jest nielegalna. Ten stary, oryginalny, był oskarżany o powodowanie obłądu i upadku pijących. Umierali lub co najmniej chorowali na padaczkę. Świetny trunek.

- Musi być koszmarnie drogi.

- Owszem.

Widząc jego wahanie, upiła łyk z jego szklanki. To nic nie znaczyło. Mogła wcześniej połknąć odtrutkę. Historię absyntu znał i chętnie skosztowałby wiekowego trunku - wiedział, że po jednej szklaneczce nie dostaje się obłądu.

Horn lubił ryzyko. Fantastyczny płyn rozlał mu się po gardle. Lukrecja znów się uśmiechnęła. Pewnie wydawało się jej, że właśnie zawarli pakt. Wyglądała jak obłąkana czarownica i Paula zmartwiło przypuszczenie, że - pomimo iż skłonny był poświęcać się dla agencji - ta niechlujna kobieta za chwilę wejdzie mu do łóżka. Senatorowa, psia krew!

- Obstawiałam, że przyśle ciebie, Storna lub Montgomery'ego.

Dolewała absyntu.

- Jesteście najlepsi w wydziale, któremuś z was postanowi dać szansę - wybrał ciebie. Zdam się na jego nos i również ciebie wybiorę. Pet jest w tym naprawdę dobry, niesłusznie tak nisko go cenisz.

Horn maskował zaskoczenie. Nazwiska agentów nie były podawane do publicznej wiadomości.

- Musimy porozumieć się do rana, więc proponuję, abyśmy obydwójce złamali zasady i byli szczerzy.

- Czemu do rana?

- Później będziemy musieli się zabić.

- Więc dogadujmy się! - Wzniósł trzecią szklaneczkę absyntu.

Anna Litewski przypuszczałnie piątą. Rozgrywała karty. Jeszcze.

- Jak wysoko mierzysz, Paul? - zapytała znienacka.

Nie odpowiedział.

- Dajmy sobie szansę - szepnęła, gryząc go w ucho, a kapitan pomyślał, że jest beznadziejna, jednak pieśczośliwie przesunął wargami po jej szyi, licząc na bardziej owocny rozwój rozmowy.

Lukrecja wyprostowała się nagle i zaczęła szybko wyrzucać z siebie suche słowa.

- Widzę cię na stanowisku szefa Specjalnej Agencji Wywiadu. Oczywiście nikt ci na to nie pozwoli, przede wszystkim Pet ci na to nie pozwoli. Musisz wślawić się akcją łamiącą wszystkie układy. Są potężne. Polityczne, gospodarcze, mafijne, towarzyskie. Oczywiście, trzeba ją odpowiednio sprzedać, inaczej zginiesz. Musisz przechytryć stare wygi, które w swojej obecnej głupocie lekceważysz. Być szybszy. Nikt nie może się domyślić. Niczyja

intuicja nie może wydać sygnału. Potem poczekasz jakieś pięć lat i nie dasz się w tym czasie zabić. Następnie zostaniesz szefem SAW. Będziesz miał trzydzieści sześć lat.

Pociągnęła łyk absyntu.

- Mówiąc, że musimy się dogadać do rana, mam na myśli dwie rzeczy. Chcę ustalić, co jest dla nas obydwójga najważniejsze oraz czy do osiągnięcia tego wystarczy ci charakteru. Szczegóły zajmą więcej czasu.

Wzniosła szklanke.

- Odhaczamy pierwszy punkt. Nie zaprotestowałeś. Ustaliliśmy, co jest najważniejsze dla ciebie, Paul. Teraz moja kolej.

Położyła Hornowi rękę na karku i zaczęła przebierać palcami.

- Nie wiem, czemu łączysz mnie z Petem - zdawała się przeglądać go na wylot. - On nigdy się mną nie interesował - byłam dla niego za szczupła. - Paul grzecznie przemilczał tę uwagę. - Zawsze wolałam Phila.

To wyznanie zelektryzowało kapitana. Phila, Philipa Sandersa, zastępcę szefa agencji, skazanego za zdradę stanu na karę śmierci z późniejszą zamianą na dożywocie?

- Tak, skarbie - odpowiedziała na jego myśli pozornie mocno już wstawiona agentka specjalna.

- Wypijmy za zdrowie Phila, należy mu się. - W butelce pokazało się dno. - Mam tu następną. - Sięgnęła pod łóżko.

- Kazałam pani Huckelberry dobrze zaopatrzyć barek.

- Szkoda, że nie kazałaś jej zmienić pościeli - wyrwało mu się.

- Jaki małostkowy - spojrzała z dezaprobatą. - Phil siedzi w więzieniu o zaostrzonym rygorze już dziesięć lat. Myślisz, że jak często zmieniają tam pościel? Chciałam ci choć trochę przybliżyć jego sytuację. Jest niewinny, a przywykł do wyższych standardów niż ty. Mnie również do nich przyzwyczaiał.

- I rezygnujesz z nich w imię miłości?

- Czemu rezygnuję? Nie byłeś w mojej sypialni.

Horn skojarzył fakty. Odeszła ze służby pod koniec dwa tysiące pierwszego roku w czasie największej podanej do wiadomości publicznej afery w dziejach SAW. Po raz pierwszy pomyślał, że jeżeli Anna Litewski jest z nią w jakikolwiek sposób związana, to musi być naprawdę niezwykła. Skoro żyje.

- Pomogę ci - stwierdziła nagle. - Zatańczę dla ciebie na balu charytatywnym. Z senatorem McKenziem. Swoją drogą zawsze muszą mi naraić jakiegoś dupka. Odmeldujesz sukces.

Horn powinien poczuć ulgę. Jednak było wręcz przeciwnie.

- Przez chwilę będzie potrzebne zaufanie Twigga. Zdobądź je, skoro tak ci na nim zależy. Ale coś za coś - oznajmiła.

- Jasne.

- Zrobisz to dla mnie. Będiesz jednocześnie uczestniczył w moim planie. Pomożesz mi uwolnić Phila.

- Chcesz się włamać do twierdzy? - zakpił.

- W ostateczności. Myślę, że nie będzie takiej potrzeby. Zresztą w razie czego zwolnię cię wtedy z obowiązków. To nie twoja liga.

- Czy dobrze słyszę, że ustalasz dla mnie obowiązki? Może nie będą takie straszne, patrząc na to, co jesteś w stanie narzucić swojej gospodyni.

- Moja gospodyni jest nieoceniona. Jest dla mnie jak matka.

- Jesteście wszyscy bardzo sentymentalni - skrzywił się Paul. Rozbolała go głowa.

- Wręcz przeciwnie. Załatwimy wzajemnie swoje sprawy. Zdobędziemy dowody na niewinność Phila i przestawimy je komu trzeba. Wiem, gdzie są. Legalnie oczyścisz z zarzutów zastępcę szefa Specjalnej Agencji Wywiadowczej. Zyskasz cały splendor.

- A ty co będziesz z tego miała?

- Ja? - roześmiała się. - Powiedzmy, że wreszcie znów pójdę z nim do łóżka. - Horn wiedział, że nie mówi prawdy.

- Myślałem, że pójdziesz do łóżka ze mną - zdobył się na uprzejmość.

- Ja z tobą? - Lukrecja spojrzała na niego wyniośle. - Musisz się jeszcze wiele nauczyć, chłopcze.

Wyszła szybko i pewnie, jakby zielony płyn, który pili ze wspólnych butelek, jednak nie był absyntem.

O świcie Horn wyjrzał przez okno. Było mgliście i zimno. Do jego uszu dochodziło donośne stukanie dzięcioła. Uśmiechnął się bezwiednie. Ten niewielki ptak bywa czasami bardzo zdesperowany. Aby oznajmić innym samcom zajęcie terytorium i przywabić samicę, celowo bębni w spróchniałą korę, pod którą znajduje się pusta przestrzeń. Gdy nie ma takiej w okolicy, potrafi uderzać nawet w blaszane dachy, latarnie uliczne i anteny satelitarne. Prawdziwy PR-owiec. Dudnienie nagle ustało. Spłoszony dzięcioł poderwał się do lotu. Ktoś biegał po lesie. Bardzo sprawnie i szybko, w oddali mignęła Paulowi próba przeskoczenia przeszkody, korzenia lub zwalonego pnia. Udana. Z pozoru wielka, ocieżała, zwalista postać. To nie Anna. Jest tu ktoś jeszcze? Na pewno.

Kapitan sam chętnie by pobiegał. Sprawność fizyczna zawsze była dla niego niesłychanie ważna. We wczesnej młodości odnosił

niemałe sukcesy w rzucie oszczepem, zdarzyło mu się wygrać kilka całkiem poważnych zawodów w swojej kategorii wiekowej. Fascynowała go postać Erica Lemminga, szwedzkiego lekkoatlety, czynnego zawodnika olimpijskiego w latach 1900–1912, zdobywcy złotych medali w rzucie oszczepem oraz rzucie oszczepem stylem dowolnym na olimpiadzie w 1908 roku w Londynie, kiedy ta dyscyplina sportu pojawiła się po raz pierwszy w programie nowożytnych igrzysk, po długiej przerwie sięgającej czasów antycznych. Lemming startował też z wielkim powodzeniem w innych konkurencjach – skoku wzwyż, o tyczce i w dal, trójskoku, rzucie młotem i dyskiem, przeciąganiu liny i pięcioboju, w którego skład wchodziły między innymi bieg na sto dziewięćdziesiąt dwa metry i zapasy. Ta wszechstronność poparta licznymi trofeami bardzo imponowała Hornowi, wierzył, że siła woli, charakteru i ciała jest koniecznym atrybutem zwycięzców, do których grona sam się we własnym przekonaniu zaliczał.

O bieganiu jednak nie mogło być mowy. Należało jak najszybciej opuścić to dziwne miejsce, zameldować generałowi, że tym razem się udało, i szybko zająć się czymś innym.

- Nie czekałaś na odpowiedź - przywitał ją Paul, wchodząc o szóstej rano do salonu.

W kuchni ktoś niemiłosiernie głośno walił garnkami, zapewne osławiony skarb, pani Huckelberry.

- Przecież się zgodziłeś.

- Absurd. Odpowiem tak jak ty: odmawiam.

Lukrecja zdawała się tym zupełnie nie przejmować.

- Ależ przed świtem pan się zgodził. Dlatego pan żyje, sir - rzuciła prześmiewczo.

Miała rację. Paul potrafił błyskawicznie ocenić sytuację i zanim za Anną zamknęły się drzwi jego tymczasowej, obskurnej sypialni, wiedział już, że w tym siedzi. I że ta kobieta nie jest wariatką. Podniecała go myśl o karkołomnym, niewykonalnym zadaniu i perspektywach, jakie ze sobą niosło. Najpewniejszą z nich była śmierć. Drugą jakaś połowiczna realizacja, która niczego pozytywnego nie wniesie. Trzecią awans na stanowisko szefa SAW. W wieku trzydziestu sześciu lat. Trzecie miejsce na liście wydawało się warte ryzyka. Potęga i władza tym większa, im dyskretniejsza. Intuicja podpowiadała mu, że nie ma odwrotu. Lukrecja zaczerpnęła pseudonim bardziej od Borgii niż od cukierka. I że jeśli wyczuje, że on się nie zgadza, to stąd nie wyjedzie. I że wcale nie pił absyntu.

- Zapraszam na śniadanie - zachęciła Lukrecja. - Pani Huckelberry była tak dobra, że zgodziła się przyjść dziś wcześniej. Ja, jak już ci wspomniałam, nie potrafię przyrzucić niczego

treściwego, a ty na pewno nie będziesz zatrzymywał się po drodze, żeby jak najszybciej udobruchać generała informacją, że już szyję sobie suknię na bal. Pomaga mi oczywiście pani Huckelberry, nawet sobie nie wyobrażasz, ona ma taki zmysł estetyczny...

Paul słuchał tych bzdur z rosnącą fascynacją.

- Jestem, przekonany, że będziesz wspaniale wyglądać, Anno. Śniadanie pachnie przepysznie, jednak muszę już przeprosić, i tak nadużyłem twojej gościnności.

Lukrecja piła coś w rodzaju kakao. Nagle podeszła i pocałowała go w usta, wlewając w nie czekoladową ciecz. Ukąsiła w język do krwi. Smakowała strasznie dziwnie. Nadal źle się czuł.

- Nie zatrzymuję więc. Do zobaczenia na imprezie, kapitanie.

Przeprowadził małe śledztwo w sprawie Lukrecji. Kim naprawdę jest, na czym opiera się jej związek z Philem Sandersem i dlaczego tak bardzo nienawidzi generała? Horn dysponował sprzecznymi danymi. Od dłuższego czasu do wiadomości opinii publicznej przemycano zawołowane informacje, z których wynikało, że Anna Litewski i pułkownik są rodzeństwem. W gruncie rzeczy nikogo to nie interesowało. Podobnego rodzaju newsy stanowiły mało istotne tło dla coraz radszych wspomnień o marnym losie wiceszefa SAW czy reportaży na temat kłopotów z dostosowaniem się do normalnego życia zdegradowanych, usuniętych ze służby funkcjonariuszy. Nie zwróciły na nie uwagi, gdyby nie dotarła do niego plotka o gorącym, tajemnym romansie Lukrecji i Philipa. Ponoć przez pewien czas funkcjonowali nawet w związku. Kapitan zbyt dobrze znał się na inżynierii informacji, żeby nie zacząć zadawać sobie pytań, kto i jakim celu sący je do mediów, trzeba przyznać fachowo, nienachalnie i w stosownie długich odstępach czasu. Wątpliwości dotyczących Anny Litewski było więcej. Czy jest zdrowa psychicznie? Jako osoba uzależniona od alkoholu ma poważne ograniczenia, jednak nie ujawniły się one w ostatnim czasie, pomimo tylu stresujących sytuacji. Co i dlaczego udaje? Czemu Twiggowi zależało właśnie na niej? Zagadka goniła zagadkę. Ma ładne włosy. I usta. Może coś więcej opowie o niej pani Huckelberry? A zresztą, Paul nie był aż taki ciekawy.

Podjechał tam któregoś dnia. Chciał ją zobaczyć. Samochód stał na podjeździe, wokół panowała cisza, z wyjątkiem świergotu w egzotycznym drzewku z koroną przyciętą w kształcie kuli.

Gromada małych ptaszków ukryta wśród liści głośno klóciła się, śpiewała, trzepotała skrzydłami i buszowała wśród splątanych gałązek. Nie sposób było je dostrzec w gęstej zieleni.

- Cwaniaki - uśmiechnął się Horn - znalazły sobie niezłą kryjówkę.

Podszedł na palcach, zajrzał przez okno do salonu i osłupiał. Lukrecja siedziała na podłodze oparta plecami o sofę. Obok klęczała pani Huckeleberry i starała się ukołysać ją w ramionach. Obie płakały. Głowa Anny zwisała bezwładnie, gospodyni podnosiła ją raz po raz i próbowała tulić. Nagle jej wzrok powędrował na szybę i spotkał się z oczami Horna. W mgnieniu oka poderwała się i rzuciła do drzwi. Kapitan zrobił to samo. Pani Huckelberry dotarła do przedpokoju z prędkością żbika, zanim zdążył dotknąć klamki, stanęła przed nim ze szczotką w dłoni i długą ścierką przewieszoną przez ramię. Na pewno wcześniej nie zamiatała ani nie ścierała kurzy.

- Dzień dobry - przywitał się pewnym, wesołym tonem. - Chciałbym zobaczyć się z Anną.

- Przyszedł pan w złym momencie, pani Litewski pracuje.

- Zajmę jej tylko chwilkę.

- To niestety niemożliwe. Pani nie spodziewa się gości.

- Nalegam, pani Huckelberry.

- Ja również nalegam - wyciągnęła przed siebie wyprostowane ręce, trzymając pomiędzy nimi rozpiętą sztywno szmatę, jakby chciała okręcić mu ją wokół szyi. Zrobiła krok do przodu, potem drugi. Nie chciał się cofać, ale widział, że go staranuje.

Z salonu dobiegły odgłosy wymiotów. Oboje zerknęli w tę stronę, Huckeleberry nerwowo zamrugowała oczami.

- Spokojnie, chciałem tylko porozmawiać.

- Nie teraz.

- A kiedy?

- Niech pan najpierw zadzwoni. - Chwyciła kij od szczotki i próbowała go nim dźgnąć. Agent nie zamierzał się wycofywać, ale była absurdalnie wielka i agresywna. Kobieta panczerfaust. Nie miał ochoty wdawać się w przepychanki.

- Do widzenia, niech pani pozdrowi panią Litewski - skapitulował.

Bez pożegnania z hukiem zatrzęsnęła drzwi. Odchodząc, czuł na plecach jej wzrok pilnujący, żeby na pewno wsiadł do samochodu. Zza drzewa wyłonił się nagle szary, czarno-pręgowany kot niosący w pysku upolowanego ptaszka. Był duży, dobrze odżywiony i zadbany, lśniąca sierść i gruby brzuch świadczyły, że dobrze mu się powodzi. Nie musiał tego robić. Głębokim tonem donośnie

zamruczał do Paula, przechwalając się zdobyczą.

- Masz charakter jak twoje panie - westchnął niechętnie w jego kierunku kapitan.

Wracał zły i kompletnie zniesmaczony tym incydentem. Prawdziwy dom wariatów. Za bramą czekała na niego kolejna niespodzianka. Kilkanaście metrów od wyjazdu drogę tarasował samochód. Zapaliło mu się czerwone światło. Przy samochodzie stała znajoma postać - agent Herman. Tylko jego tu brakowało. Zatrzymał się i ściskając w dłoni pistolet, uchylił szybę.

- Co tu robisz? Cześć, tak w ogóle.

- Jechałem za tobą. Cześć.

- Po co? Śledzisz mnie? - Był zły, że wcześniej go nie zauważył.

- Chciałem się upewnić, że przejąłeś moją robotę.

To był obłąd, a Horn miał na dziś już dość szaleństwa. Herman był jeszcze bardziej wkurzony od niego.

- Może mogę ci w czym pomóc? - rzucił młodszy agent poirytowanym głosem i jasne było, że pomagać wcale nie zamierza. Dobra, wystarczy.

- Spierdalaj, Herman. Nie ma tu dla ciebie żadnej roboty. Jak masz jakieś pretensje, to zgłoś się z nimi do starego. Nie depcz mi po piętach, bo rozpieprzysz całą akcję.

- Ty już się zgłosiłeś do starego, co? Jak go przekonałeś, żeby odebrał mi zadanie?

- Jakie zadanie, walnij się w łeb, idioto. Jeśli ci coś odebrał, to widocznie byłeś słaby, jak widać zresztą. Straszysz mi obiekt, odwal się. - Paul uznał dyskusję za skończoną, chociaż czuł, że porucznik do końca wytrącił go z równowagi. Zamknął szybę i spróbował ominąć jego samochód. Herman, wściekły, wałnął pięścią w karoserię, Horn cofnął gwałtownie i zahaczył... Kurwa! Co on wyprawia? Marny grajek, chce mnie wyciągać z samochodu i dać w mordę, zaraz sam mu przypieprzę - pomyślał. Nie rusza się. Począł, obserwując uważnie młodszego kolegę.

- Dobra, wysiadam - mruknął pod nosem - Chce zabawy, będzie ją miał.

Herman upadł na pobocze i zastygł bez ruchu. Na kamieniach w okolicach jego potylicy powiększała się plamka krwi. Kapitan podbiegł i spostrzegł niewielką ranę na głowie.

- Boże! Herman! Jak to się stało? - Sprawdził puls. Był ledwie wyczuwalny.

- Odsuń się. - Lukrecja dotknęła jego ramienia krótkim, stanowczym gestem. Pochyliła się i delikatnie oglądała rozciętą skórę. - Trzeba natychmiast zawieźć go do szpitala.

- Pomóż mi go ułożyć w samochodzie - poprosił. I daj coś. masz

jakiś bandaż, gazę? trzeba przyłożyć do rany, zatamować krew.

- Odjedź, Paul, trudno ci to będzie wytłumaczyć. My go zabierzemy do lekarza - wydawała się zupełnie trzeźwa i opanowana.

- Jest ledwo ciepły - dobiegł z bliskiej odległości głos pani Huckelberry. - Potrącił go pan.

Prowizorycznie, ale sprawnie opatrywała głowę Hermana. Kapitan dopiero teraz zdał sobie sprawę, że obie obserwowały całe zajście. Tracił formę. Anna już nie płakała ani nie omdlewała ze smutku. Huckelberry była na tyle przytomna, żeby przybiec tu z podręczną apteczką. Szacunek.

- Tobie też to będzie trudno wytłumaczyć, Lukrecjo.

- Nie ma czasu, odjedź, Paul. Wezwałam już policję, za chwilę tu będą. My się wszystkim zajmujemy, Kornelia zna się na ranach.

- Już po nim - wtrąciła fachowo Huckelberry.

- Powiem, że znalazłam go zakrwawionego i nieprzytomnego przy drodze, zgodnie z prawdą - ciągnęła Anna. - Źle z nim. Zaprzepaścisz karierę, zastanów się, dopóki nikt cię nie widział.

Miała rację. Kapitan bił się z myślami. Hermanowi już nie pomoże, co dla niego za różnica, kto go zawiezie na pogotowie. O ile go znał, wolały odbyć tę przejażdżkę w towarzystwie kobiet niż znienawidzonego rywala.

- Dlaczego chcesz mnie wyręczyć?

- Robię to dla siebie i dla niego, nie dla ciebie. - Anna z niepokojem zerknęła na nieprzytomnego mężczyznę.

- Słyszę gliny - warknęła ponuro gospodyni.

Impuls. Horn wsiadł do auta i odjechał leśną drogą w kierunku przeciwnym, niż pierwotnie zamierzał. Kiedy zamykał drzwi, usłyszał jeszcze rzucony w stronę swoich pleców komentarz Kornelii Huckelberry:

- Załatwił kumpla.

Tak oto nieoczekiwanie Paul stał się zakładnikiem Lukrecji, a co gorsza również jej gospodyni, kimkolwiek była. Ich milczenie stało się gwarantem jego przyszłości, co doprowadzało go do furii. Od tej chwili rozmyślał głównie o tym, jak wywinąć się z pułapki, w którą w tak głupi sposób wpadł. Na razie postanowił odczekać. Twigg nie wierzył w przypadki, a co dopiero takie, gdy obok miejsca zamieszkania kobiety, mającej być kluczowym elementem w misternej grze, na pustej drodze jeden agent potraça śmiertelnie drugiego agenta. Fatalnie to wyglądało. Co mogło wydarzyć się

gorszego? Nic, nawet gdyby Herman się ocknął i mimo rozwalonej głowy, nie stracił pamięci, po prostu będzie go tym szantażował i każdy z nich otrzyma swoje pięć minut. Ta wersja była jednak wyjątkowo mało prawdopodobna. Kapitan Horn również znalazł się na ranach.

Rozdział 3

DOWÓD NA NIEWINNOŚĆ

Imprezy organizowane przez Alberta „Albiego” McKenziego w pewnych kręgach cieszyły się zasłużoną sławą. Senator unikał wprawdzie sytuacji, w których mógłby zostać przyłapany przez dziennikarzy w niewygodnych okolicznościach, nie zamierzał być jednak niewolnikiem konwenansów. W kilku stanowiących jego własność hotelach lubił urządzić „przyjęcia dla grupki najbliższych, zaufanych przyjaciół”, co zazwyczaj oznaczało tłum – często przypadkowych, przebywających akurat w danym kurorcie gości. Nie specjalizował się nawet w jakichś bardzo wymyślnych orgiach, wystarczyły mu klasyczne wielokąty. Zaczynał zwykle rzeczywiście w mniejszym gronie, aby po utracie kontroli – która następowała dość szybko – spontanicznie spraszać nieznane osoby, upijać się z własnymi ochroniarzami, którzy już w połowie wieczoru przestawali pełnić funkcje pracowników, a zaczynali kolegów, po to tylko, aby z samego rana zostać wyrzuconymi na pysk przez skacowanego, chorego i wściekłego Albiego.

- Nie ma polotu ten chłopak – narzekał Tao. - Z kim ja pracuję! Czy porządny biznesmen taki jak ja może przejść na emeryturę? No nie może! Nie może, bo nie ma współpracowników na poziomie. Godnych. Stale muszę sam robić wszystko. Wszystko! Nigdy nie odpocznę, bo nie mogę po prostu przez tych debili, nie mogę! – rozkręcał się Tao.

McKenzie z całego serca życzył Gunowi emerytury, nieco bardziej życzył mu tylko śmierci. Czując się przez niego jak zdeptany i odarty z poczucia własnej wartości degenerat, snuł sadystyczne wizje męczarni *padrina*. Na razie miał własne.

Tao, ostrożniejszy w przyjmowaniu używek, aczkolwiek od nich niestroniący, wychodził na tle tego towarzystwa na kostycznego abstynenta. Nie ufając nikomu, wystrzegał się pogłębianych zmian

świadomości. Odczuwał przymus zachowania czujności, chociażby połowicznej, a utracone w związku z tym przyjemności rekompensował sobie, poniżając, terroryzując i wymuszając na otoczeniu realizację swoich, jak twierdził, interesów, a w rzeczywistości nierzadko fanaberii. Do perfekcji wyszlifował umiejętność wyszukiwania, gromadzenia i przetrzymywania w ukryciu oraz produkcji „haków” na osoby, od których cokolwiek w tym kraju zależało. Wykazywał się w tej dziedzinie - o dziwo! - niezwykłą subtelnością, wycuciem i znajomością psychologii. Każdego, kim się interesował, potrafił uderzyć w jego intymny, pieczołowicie skrywany, najczulszy punkt. Nie stosował przy tym nadmiernych środków, ot, w sam raz tyle, żeby delikwent w żaden sposób nie widział możliwości wyjścia z klinczu. Wpadał czasem do Albiego, aby się trochę rozerwać, coś przy okazji załatwić, no i przypomnieć mu się na gruncie towarzyskim. Dbał, aby senator, podobnie jak inne jego ofiary, nie mógł zbyt daleko uciec.

Pojawienie się Tao jakoś nigdy nie sprzyjało budowaniu imprezowej atmosfery. Gościom rzedyły miny, niektórzy nagle zaczęli źle się czuć, nawet najwytrwalsze prostytutki wołały zmienić lokal. Zostawały tylko te, które musiały. Tak było i tym razem. *Padrino* ze swoimi goryłami pojawił się niespodziewanie, nie wiadomo skąd dowiedział się o przyjęciu. Przywitał się z Albertem z wylewną serdecznością, uściskał go gorąco i zażyczył sobie ekstazy. Pokiwał się trochę nad basenem, rozdając uśmiechy i obserwując, jak nawet najbardziej odurzeni imprezowicze powoli po angielsku się wykruszają. W końcu nieco znudzony skierował się do prywatnych apartamentów Alberta, który podążył za nim z miną zbitego psa i z przyklepionym na ustach uśmiechem. Od razu było widać, kto tu jest u siebie. Tao zachowywał się tak zawsze i wszędzie, nawet przebywając kilkakrotnie - na krótko - w areszcie, sprawiał wrażenie, że jest jego dyrektorem. Było w jego postawie coś trudnego do wytłumaczenia, nachalnie nieodpartego, natarczywie bezdyskusyjnego, nawet kiedy stał cicho z boku, otoczenie wyczuwało w nim osobnika, który weźmie wszystko, czego zapagnie, bo ma w pogardzie cały świat, na czele z własnym życiem.

- Miło cię widzieć, stary przyjacielu - wydukał lekko splątany językiem Albie, usiłując kordialnie uścisnąć łokieć gangstera, ten jednak, znany ze zmienności nastrojów, odepchnął go brutalnie.

Ludzie zawsze najbardziej bali się dobrego humoru Tao, wiedzieli bowiem, że zwiastuje on nagły i niczym niezapowiedziany zwrot akcji - wybuch wściekłości, okrucieństwa, niepohamowanego gniewu. Nie trzeba było do tego żadnego powodu. Gun był po

prostu mocno niezrównoważony, zachowując przy tym - co stanowiło jego unikatową cechę - trzeźwy osąd sytuacji i granic, do jakich opłaca się posunąć.

I tym razem zabawa z Tao dopiero się zaczynała. Albert już popadł w niezdarnie maskowane rozedrganie, nie pomagała liczba i różnorodność substancji psychoaktywnych, które zdążył przyjąć tego wieczoru.

- Widzę, że nie można z tobą poważnie pogadać, senatorze. Ciągłe tylko kurwy i balangi, a interesy zaniedbane.

- Nie wiedziałem, że będziesz chciał rozmawiać teraz o biznesie, Tao. Wszystko załatwiłem, tak jak się umawialiśmy. Nie mogę tylko dotrzeć do Wielkiego Psa, próbowałem podstawić mu Hermana i Sisi. Pamiętasz? Znałeś ją kiedyś. Nie pamiętasz? Mała blondynka. Nie szkodzi. To by była kompromitacja obyczajowa, więc jej nie trzeba.

- Idiota! Myślisz, że on jest taki durny? Czyli pan senator jak zwykle nie zrobił najważniejszego. Twój lobbing mogę zastąpić w każdej chwili innym, zresztą jest nieskuteczny. Masz przecież jakieś znajomości w policji, w SAW, chyba ja się nie muszę wszędzie osobiście angażować. Zresztą pokazywanie się w twoim towarzystwie to ujma dla mnie.

Albert popatrzył tępo. Ujma dla tego bydlaka? Spotkanie się z nim, przedstawicielem starej i zacnej rodziny? Wpływowym kongresmanem? Jakże w głębi duszy gardził tym prostackim, nieobliczalnym wariatem. *Padrino* - padlino, przezywał go w myślach. I jednocześnie panicznie się go bał.

Tao nagle złagodniał.

- Dobrze jest się czasem spotkać na neutralnym gruncie i spokojnie omówić sprawę.

- Jesteśmy u mnie - odważył się Albie.

- O tak, i wiadomo, że u starego towarzysza broni grunt jest zawsze bezpieczny - wyszczerzył zęby *padrino*. Senatorowi wwierciło się nagle w głowę absurdalne spostrzeżenie, jak nienaturalnie są białe, równe i porcelanowe. Wydawało mu się, że słyszy zgrzyt i odgłosy tłuczonego szkła na podłodze, kiedy oczyma wyobraźni ujrzał, jak wybija je po kolei swoim ciężkim, rodowym, szesnastowiecznym sygnetem.

- Wiadomo, dzięki komu jesteś teraz u siebie, Albi, i kto ci może ten uroczy hotelik odebrać. - McKenzie ocknął się z marzeń. Gun ciągnął z zadowoleniem, zęby połyskiwały w słońcu. - Ten basenik. Dziewczynki. Przecież to nie spadek po szanownym dziadziusiu. O ile pamiętam, przegrał wszystko w karty. Źródło pochodzenia! To dopiero gratka dla polityka! Wystarczy jakiś marny dziennikarzyna

- i po karierze! Samo podejrzenie straszne! No ale od czego masz mnie? Wiesz dobrze, z kim się zadawać, Albie, ja też mam do ciebie słabość, jak do syna. Przecież sam rozumiesz. Masz jakąś porządną whisky? Co tu tak smutno, napijmy się! - Tao się rozochocił. - A i powiedz mi, co tam u tych twoich, jak im tam...

- Herman miał wypadek. Leży w szpitalu, stan krytyczny.

- Stary pies - powiedział spokojnie Tao. - On jest większym przestępcą niż ja.

- Tym razem chyba nic nie wiedział.

- A dziewczyna?

- Nie ma z nią kontaktu, zaginęła.

Na czole gangstera zaczęła pulsować żyła.

Tamtego dnia sędzia jak zwykle zaczął pracę o szóstej trzydzieści rano. Przygotował się do rozprawy, zapoznał z aktami, wydał kilka poleceń. Zjadł służbowy lunch w towarzystwie Twigga i jednego ze swoich asystentów. Żeby nie tracić czasu, wyskoczyli do skromnego baru U Ricka, położonego w pobliżu gmachu sądu. Po południu uczestniczył w kilku spotkaniach. Wracając do domu, wstąpił na chwilę do kasy teatru, chciał sprawić żonie niespodziankę, dawno nie wychodzili nigdzie razem. Wieczorem pobawił się z dziećmi i pomógł odrabiać im lekcje.

Rano nagłówki wszystkich gazet w kraju krzyczały: „Nie żyje sędzia Carter! Zmarł wybitny obrońca pokrzywdzonych! Nagłe odejście wielkiego prawnika!“. Miał tylko czterdzieści dwa lata. Bogowie umierają młodo.

- O ho, ho, hooo! - cieszył się *padrino*. - Zdechł cygański kundel! Panowie - zwrócił się do przybocznych. - Odpalajcie szampana. Mój kolega nie żyje. Jedzie właśnie budą na kółkach do świętego Piotra. Wznieśmy toast, żeby nie zawrócił! No co? - spytał, widząc zdziwione miny ochroniarzy. - O ile pamiętam, to on i jego banda wierzyli w takie bzdury.

Wyprawiono mu pogrzeb na koszt państwa. Zrodziły się pewne wątpliwości, ponieważ na pochówek zdecydowano się dopiero po tygodniu. Odkrytą trumnę wystawiono na publiczny widok w cmentarnej kaplicy, zachowując stosowną odległość od żalobnej publiki. Pełniła przed nią wartę wojskowa straż honorowa. Żegnali go wszyscy ważniejsi oficjele. Każdy czuł się w obowiązku opowiedzieć prasie, że się z nim przyjaźnił, licząc, że i na niego

padnie jeden z ostatnich promieni chwały sędziego. Przed gmachem zgromadził się smutny tłum. Ściągnęły tabory. Przerzedzone z biegiem lat, coraz mniej liczni Romowie wiedli tradycyjny styl życia. Nie wpuszczono ich do środka, żeby swoim hałaśliwym zachowaniem i pstrokatymi strojami nie zakłócili powagi ceremonii.

- Wstrząsające - skwitował Twigg. - Niedawno rozmawialiśmy. Wydawał się absolutnie zdrowy.

- Zawał nie wybiera, za dużo stresu. Mało wypoczywał - stwierdził Phil Sanders. - Popatrz tylko, ilu ludzi. Rasz zrobił wiele dobrego. Swoją drogą nie wiedziałem, że był Cyganem.

- Ja też nie - odpowiedział generał.

Kiedy wychodzili z kaplicy, jakaś babina w kraciastej chuście podeszła do Twigga, wbiła w niego czarcio wściekły wzrok i napluła na lśniące wypolerowane buty. Ten pobladł i przez chwilę sprawiał wrażenie, że chce się jej ukłonić. Błyskawicznie jednak się opanował i przeklinając pod nosem wariatów, pospieszył za trumną.

Pułkownik dyplomatycznie udał, że nie zauważył tej nieprzyjemnej scenki. Ale był zbyt wytrawnym graczem, żeby nie zacząć węszyć.

Phil Sanders był ważnym człowiekiem. Szarą eminencją w agencji. Zastępca szefa, skromny w obyciu, niebezpiecznie przenikliwy. Znacznie mniej efektowny i charyzmatyczny niż Twigg, świadomie wolał się trzymać w jego cieniu, wyznając starą rosyjską zasadę: *tisze jedziesz, dalsze budziesz*. W agencji odrobinę go nie doceniano, co było zresztą zgodne z jego zamysłem, ale wszyscy się z nim liczyli. Również dowódca, któremu zdołał delikatnie i dwuznacznie zasugerować, że ma na niego haki i kilka spraw, o których generał wolałby zapomnieć, znajduje swoje dowody w skompletowanych przez niego teczkach. Twigg potrafił doskonale zacierać ślady, na tyle skutecznie, aby stały się niedostępne dla dociekliwych prokuratorów chcących wypłynąć na jakiejś grubej sprawie, dziennikarzy poszukujących głośnych afer, plotkarzy goniących za sensacją, jawnych przeciwników i skrytych wrogów, i choć nie była mu obca żadna metoda, okazało się to niewystarczające dla umiejętności śledczych Sandersa.

Współpraca obu panów przebiegała wzorcowo. Odnosili liczne sukcesy, które miały twarz Petera Twigga, chociaż trzeba uczciwie przyznać, że na konferencjach prasowych występowali ramię w ramię. Zwyczajowo Phil nie ogłaszał dobrych nowin, odpowiadał ewentualnie na szczegółowe pytania dziennikarzy. W przypadku

niepowodzeń sytuacja się odwracała. Tu frontmanem był Sanders, jego intelekt i wyjątkowa odporność na trudne sytuacje dawały niezwykle efekty w postaci skutecznego zamiatania pod dywan, obracania w niwecz, w ostateczności, w przypadkach szczególnie beznadziejnych dla Firmy, organizowania takiego PR-u, dzięki któremu ewidentna klęska wydawała się co najmniej wieloznaczna. Publika angażowała się wtedy w gorące dyskusje na tyle rozmydlające sedno wydarzeń, że nie wiadomo było, o co chodzi, a część opinii publicznej zaczynała je nawet uważać za zwycięstwo lub zmanipulowaną przez zewnętrzne siły krzywdę SAW. Tę ostatnią cechę generał cenił u swojego zastępcy najwyżej. Między innymi dzięki niej przez kilka dekad nie tylko utrzymywał się na szczycie, zakulisowo trząsł wielką polityką i stanowił absolutnie niezbędny „zasób personalny” dla następujących po sobie różnych ekip rządzących, ale – niejako w bonusie – świecił jasnym światłem prawości i sprawiedliwości. A że obaj WIEDZIELI? Cóż w tym niezwykłego, nawet na najniższych szczeblach władzy? Czyż tak oczywisty i powszechnie przyjęty jako norma drobiazg mógłby im zakłócić comiesięczną partyjkę golfa? Przyjęcie urodzinowe? Wspólne – w świetle kamer – pakowanie paczek dla ubogich dzieci przed bożonarodzeniową kolacją?

Problem polegał na tym, że Phil przy całej nadludzkiej pragmatyczności bywał czasami nieobliczalny. Nieobce mu były porywy serca, fantazji i ryzyka, niemożliwe do dostrzeżenia na pierwszy, piąty, a nawet piętnasty rzut oka skierowany na jego nienaganny, absurdalnie drogi, szary garnitur. Cieszył się milczącą przewagą, nieużywaną i zakurzoną. Bawił się otoczeniem, przeczuwającym jego ukrytą moc, chwilami się jej obawiającym, a czasem z nadzieją w nią wątpiącym. To podobieństwo łączyło go z Lukrecją, jedną z najlepszych agentek w historii SAW, z którą kilkuletni, aczkolwiek niezobowiązujący romans wykraczał poza oficjalnie przyjęte zasady etyczne wyznawane i egzekwowane w Firmie. Oboje chorobliwie dyskretni, skrupulatnie przestrzegali niepisanego układu w punkcie pierwszym, mówiącego o tym, żeby wzajemnie nie narobić sobie kłopotów. To poczucie skrytej sprawczości, a także chęć i wrażenie możliwości przejęcia kontroli nad całym życiem szefa, popchnęło go w kierunku nieco podstarzałej madame Twigg, z którą kilka niezbyt ekscytujących nocy okupionych jej późniejszą histerią i żądaniem deklaracji zmuszony był definitywnie przerwać, zanim koszty okazałyby się zbyt wysokie. Niefortunna kochanka odeszła w narkozie, nie cierpiała. Odium spadło na generała. Tym lepiej. Ze swej strony nie pozostało nic innego, jak wykazanie szczerego, przyjacielskiego

zaangażowania w odpieranie w imieniu dowódcy krzywdzących pomówień w jego jakże tragicznej osobistej sytuacji. Peter potrafił to właściwie docenić i okazać wdzięczność. Umieszczenie w więzieniu Sandersa zajęło mu jedynie kilka następnych lat.

Wywiad Tao Guna działał bez zarzutu. Umieścił swoje wtyki, gdzie trzeba, i nie żałował pieniędzy na utrzymanie siatki informatorów w najważniejszych urzędach, więzieniach, służbach i firmach prywatnych. Był to jego swoisty znak rozpoznawczy. Niewiele spaw interesowało go bardziej niż te ściśle związane z kumplem z dzieciństwa. Zwłaszcza jeśli mogłyby odsłonić przed nim słabą stronę Peta. Miał na jego punkcie prawdziwą obsesję. Gdy do jego drzwi zaczęła dobijać się agentka powiązana ze sprawą oskarżenia i uwięzienia zastępcy generała, odrzucił kilkakrotnie możliwość widzenia się z nią dla podtrzymania własnej wiarygodności. W rzeczywistości sam nie mógł się doczekać spotkania, niech lalunia wie jednak, jak jest elitarne. *Padrino* był człowiekiem wyzutym z uczuć, również tych prostych, od których uzależnione jest codzienne samopoczucie. Wspomagał więc zasięg swoich doznań lekkimi narkotykami, ciężką przemocą, granicznym ryzykiem i nieprzebrany morzem pieniędzy, jednak - jak każdy - cenił sobie proste, dziecięce przyjemności, tym bardziej że niewielu z nich był w stanie naprawdę doświadczyć. Historia Petera i jego dystygowanej baby zdradzającej go z podwładnym była czymś, czego wspomnienie w najmroczniejszych chwilach poprawiało mu humor. Słodka satysfakcja. A tak się przeżył, chłopak ze wsi i wielka pani. Dała mu ostatecznego prztyczka w nos i Tao żałował tylko, że nie może opowiedzieć tej historii na przyjęciu świątecznym u wujka Zacharego i cioci Sofii, zmarłych wiele lat temu, a jednak wciąż zajmujących poczesne miejsce w pamięci małego, nie lubianego łobuziaka z prowincjonalnego Alistone.

- Pani Anna Litewski, co za zaszczyt.

Mafioso najwyraźniej bardzo się starał. Agentka od dwudziestu minut kreśliła przed nim swój plan.

- Nakłoni go pan, żeby się ze mną ożenił - zakończyła kluczową kwestią.

- Droga przyjaciółko, rozumiem, że tragedia rodzinna pomieszała pani zmysły, tak się kończy praca na usługach psów, cóż, mogła pani pracować dla mnie w porządnym biznesie. Jednak

prosić mnie, żebym został pani swatem – Tao dusił się ze śmiechu. – No, tego jeszcze nie robiłem. Jest z panią gorzej, niż mówią – spojrzał na nią z nagłym wstrętem. – Wariatka, do tego stara. Gdybym chciał ukarać naszego senatora, to owszem, przystawiłbym mu pistolet do głowy i powiedziałbym: „Mój Albie, masz do wyboru: śmierć lub żoneczka”. To tchórzliwa gnida, ale może być, że wybrałby kulkę, może tak być.... – Tao rozżłościł się nagle. Jego słynne napady gniewu budziły przerażenie. Anna drżała. To była jej ostatnia szansa. – Po co tu przylazłaś? Zawracasz mi dupę, nie wzięłaś tabletek? Zaraz chłopcy cię poczęstują.

– To małżeństwo wymyślił Peter Twigg – powtórzyła z naciskiem – Chcę go załatwić. Z panem.

Tao popatrzył na nią z przesadnym zdumieniem.

– Peter Twigg? Nasz wspólny przyjaciel?

– Bardziej pana niż mój.

Padrino nie znosił takich tekstów. Roześmiał się nieszczerze.

– Podejrzewają mnie o koneksje, o których prosty biznesmen nie może nawet śnić. Co innego siostrunia szychy z SAW. Siostrunia, dobrze mówię, tak? Bo różnie ludzie gadają... – świdrował ją wzrokiem.

– Cóż to, przestały wam smakować z Twiggim wspólne herbatki?

Nagle zgniótł jej ramię w uścisku, z którego mogłaby się odruchowo łatwo wyswobodzić, co jednak zapewne skończyłoby się kulką w głowie posłaną przez czatującą pod drzwiami ochronę.

– Wyłumaczysz mi to jasno albo stąd nie wyjdiesz. Podpuszczasz mnie, głupia suko?

Anna zachowała kamienną twarz.

– Chcę zabić Petera. Albo go skompromitować.

– Po co? Przecież pozwolił ci żyć?

– Na razie.

– Chcesz uwolnić braciszka? Zdobyłaś dowody? Stary zabije was oboje, i co z tego? Nie myśli chyba szanowna pani, że będę uwalniał z pierdła waszego wicebossa?

Tao zsiniał ze śmiechu.

– Ale jaja! Dziewczyno, daruję ci życie. – Gun parskła, ledwo łapiąc oddech. – Dawno nikt mnie tak nie rozśmieszył. Ślub naszego Albiego i wyciąganie z opresji monsieur Philipa. O to mnie prosisz, dziewczyno. Nic dziwnego, że ta śmieszna organizacja się kończy.

– Mam coś dla pana. Będzie pan zadowolony.

– Co ty możesz dla mnie mieć?

– Dowody w sprawach Killingtona, Osmana i Wara.

– Nie znam tych spraw.

- Nikt nie będzie ich znał. Zginą. Odciski palców, ekspertyzy, narzędzia zbrodni. Lista klientów. Zginą z archiwum.

- Nie wiem, o czym mówisz, złotko, ale jak widzisz siedzę tu przed tobą. Nieprzyskrzyniony. Sprawy, które wymieniłaś, nie mają ze mną nic wspólnego, jak zdaje się sugerujesz. Cóż, nie pierwszy raz organy państwa rzucają kłody pod nogi uczciwym przedsiębiorcom. Za to myślę sobie, że jesteś za krótka i możesz tylko narobić kłopotów.

- W samochodzie na dole jest pierwsza teczka. Tu są kluczyki.

Tao popatrzył na nią z uwagą.

- Kris! - W drzwiach pojawił się osiłek. - Zejdiesz na dół i przyniesiesz tu teczkę z samochodu tej pani. Szary ford, tak? Mike pójdzie z tobą.

- Leży w bocznym schowku.

- Chłopcy znajdują.

Gangster uważnie przeglądał zawartość skórzanej aktówki.

- Wracają wspomnienia?

Spojrzał na nią z ukosa. Odważna. Podobały mu się bezczelne kobiety. Chwilami.

- Nie wiem, po co pani przyniosła mi tu te śmieci.

- Opinia grafologa, oryginał listu Killingtona, nóż z pana odciskami palców. Te sprawy się kumulują, dowody pana pogrążą, ma ich pan już na plecach.

- Jakie dowody, jakie dowody, dziecino? Nie wiem, w co się bawisz, ale jak zaczniesz wynosić te ich odpadki, złapią cię i wtedy dopiero będzie afera.

- Proszę się nie obawiać. Już to zrobiłam.

- A gdyby teraz Mike i Kris połamali ci nogi?

- Nawet gdybym chciała oddać te materiały, nie mogłabym. Pomyślałam, że mógłby pan mieć taki pomysł i zabezpieczyłam się przed Mikiem, Krisem, panem i samą sobą.

Tao uśmiechnął się.

- Zabezpieczenia... zabezpieczenia nie istnieją, pani Litewski. W przeciwnym razie tak wielu ludzi nie znajdowałoby się ciągle w niebezpieczeństwie. - Delektował się swoimi słowami, badając, jak oddziałują na Lukrecję. Wydały mu się głębokie i trafne. Wpadło mu do głowy, że mógłby zostać wziętym filozofem i wykładać na znanej uczelni, wieczorami przechadzać się po miasteczku akademickim ze skórzaną teczką pod pachą, w okularach w szylkretowej oprawie, wzbudzając podziw studentek, gdyby oczywiście interesy zabierały mu nieco mniej czasu. Przyjął inteligentny i nieprzenikniony - w swoim mniemaniu - wyraz twarzy, to znaczy przymrużył oczy, zmarszczył nos i wyeksponował

górne dziąsło. Agentka udawała, że jest pod wrażeniem. Tao szybko się znużył przybieraniem póz.

- Pan już nie będzie się w nim znajdował. Poza tym założę się, że dawno nie bawił się pan na weselu. No i mina Twigga... - argumentowała Lukrecja, starając się zachować spokój.

- Nie interesują mnie miny tego mięczaka. Ale, rzeczywiście, dawno nie miałem porządnej rozrywki. - Tao rechotał rubaszenie i nagle przybrał pozę angielskiego lorda. - Droga Anno, proszę wybaczyć mi początkową szorstkość, rozumie pani, przeprocowanie, tak, to będzie dla mnie zaszczyt zostać drużbą pani i naszego kochanego senatora. Ileż on dobrego zrobił dla społeczeństwa! Tak się cieszę, mówiłem mu już dawno: „Albie, czas się ustatkować!”. Proszę przyjąć moje najszczerze gratulacje z okazji zaręczyn!

W samochodzie Lukrecja poczuła, że za chwilę straci przytomność.

Panowało przekonanie, że *padrino* lubił Sisi. Było ono błędne, tak jak i przypisywanie mu na siłę wrażliwości. Fakt, że czasem przebywał w jej towarzystwie i jeszcze nie skrzył jej karku, ponoć nawet nie zaliczył w jej obecności żadnego ze swoich słynnych wybuchów gniewu, świadczył jedynie o tym, że na razie się nią nie znudził. I choć nikt o tym nie wiedział, było w tym coś jeszcze. Tao lubił patrzeć na jej nos i usta. Podobne miała jego matka. Sisi posługiwała się charakterystycznym, miękkim gestem, przy odgarnianiu grzywki niechętnie zasłaniała oczy. Wtedy widać było tylko nos i usta, a kiedy akurat była zwrócona bokiem, Gunowi przez ułamek sekundy wydawało się, że widzi mamę. Nie oznaczało to jednak, że przejałby się jej zniknięciem czy je zauważył, gdyby nie to, że - jak wszystko na to wskazuje - zabrał mu ją Twigg. Co z niej wyciągnie? I czy nie zmasakruje jej twarzy?

- Kris, Mike - *padrino* przywołał przybocznych. - Ten skurwiel zrobił coś małej Sisi.

- Co takiego, szefie? - dopytywał Mike.

- Masz się tego dowiedzieć. Porwał, zabił, zgwałcił, zamknął do pierdła, zmusił do współpracy - nie wiadomo co. Niewinną dziewczynę, wyobrażacie sobie?

- To się po prostu w głowie nie mieści, panie Gun - przyznał Mike. - Gdzie tu sprawiedliwość? Zbiry chodzą po ulicach, a niewinna kobieta...

- Zawsze powtarzam, że oficjalne instytucje to banda

najgorszych przestępców. Wszystko, do czego dążą, to nachapać się forsę i utracić rzetelny biznes. Ja ułożyłbym to inaczej.

- Jest pan anarchista, szefie - Mike pozwolił sobie na przewrotny komentarz.

- Jestem demokratą, zapamiętaj - DEMOKRATA! - pinił się Tao.

- Wiemy, szefie, tylko żartowałem - wycofał się ochroniarz.

- Nie gadajcie tyle, macie ją znaleźć żywą lub martwą.

- Tak jest. Biedna.

- Skąd wiesz, że biedna? - Boss wwiercił się wzrokiem w twarz Krisa.

- Sam pan powiedział.

- Nie bądź taki litościwy, bo to zaburza logiczne myślenie - pouczył go Tao.

- Ma pan jakieś poszlaki, panie Gun? - zapytał szybko Kris.

- Gdybym miał, nie posyłałbym was. Twiggowi nie ujdzie to na sucho. Do roboty, panowie!

Tao lubił mówić o sobie, że jest dla chłopaków jak ojciec. Jego najemnicy nie zaznali w rodzinnych domach wiele ciepła. Pomimo to gloryfikowali matki pijaczki, babki sutenerki i tłukących ich ojczymów. Musieli być źli, żeby przeżyć. Gangster szanował tę zasadę. I nie zamierzał jej zmieniać. Bez niego byłiby nikim, a tak, proszę! Jak od synów wymagał od nich wierności. Lub raczej jak od niewolników, którymi w istocie byli. Zanim jednak to do nich dotarło, niejeden się wykończył. W przyływach dobrego humoru boss sugerował, że ma do nich słabość jak do baraszkujących urwisów.

- Wychodźcie z inicjatywą, chłopcy, rozwijajcie się. Jestem umysłem otwartym, potrafię docenić dobre pomysły na biznes i zabawę - zapewniał.

Kris był jednym z tych, którzy mu uwierzyli i nad którym czuwała ręka opatrności.

- Szefie, załóżmy kopalnię - zaproponował kiedyś.

- Chyba cię pogięło, idioto, słyszałeś kiedyś, żeby ktoś zarobił na kopalni? Wszystkie są dotowane, ledwo przędą. Liczysz na subsydia z budżetu państwa? Dla nas? - Tao zakrztusił się śmiechem.

- Zarobimy, szefie, zobaczy pan. To nie taka kopalnia. Będziemy wytwarzać elektroniczną walutę.

- Popierdoliło ci się z mennicą, głąbie. Nie mieszamy się w państwowy biznes.

- Nie o to chodzi. Będziemy kopać bitcoiny. Kupimy odpowiednie komputery, o dużej mocy obliczeniowej, ustawimy je

w specjalnej hali i dzień i noc będą kopały. Po wykonaniu odpowiednich algorytmów wytwarza się wirtualny pieniądz, sporo warty w realu. Możemy grać na giełdzie albo sprzedawać udziały w kopalni. Zero kosztów, czysty zysk. Sporo tylko ciągną prądu, ale przecież pan, szefie, zna dyrektora elektrowni?

Pewnie, że znał. Szybko doszli w swoim czasie do porozumienia. Tao nawet nie musiał połamać mu wszystkich kości. O rachunkach za prąd nie warto było nawet wspominać. Pomimo to Gun nie dawał się przekonać.

- Przecież to jest... nic. Chcesz powiedzieć, że ludzie zapłacą żywą gotówkę za jakiś sztuczny wytwór, który nic nie znaczy?

- I to sporą. Mało to razy ludzie płacili za nic? Wystarczy przepytac bankierów. To po prostu nowoczesny rodzaj hazardu. Ruletka, Black Jack, jednoręcy bandyci, karty - to przecież takie samo nic.

Głupi młody. Porównywać tępe maszyny do blasku kasyna. Sztynnego, białego kołnierzyka uwierającego w szyję. Głębokich dekoltów dziwek. Pokrzykiwania krupierów. Wstrzymanego oddechu, kiedy kulka ruletki turkoce po kolejnych polach. Zielonych karcianych stolików. Miękkości aksamitu, dymu cygar. Misternej gry toczącej się pomiędzy pokerzystami. Słodczy oszustwa. Tak, Gun widział wielką różnicę. Konkret warty stosownych sum. Rozmarzył się.

- Dobra, zorganizuj coś na próbę.

Po trzech miesiącach przychody z kopalni rozkręciły się do takiej skali, że postanowił ją zwizytować ją osobiście. Podeksytowany Kris oprowadzał go po wielkim hangarze, w którym pomimo wentylacji gorąco było jak diabli, i z dumą relacjonował dotychczasowe wyniki kopania. Perspektywy zysków, które kreślił przed coraz bardziej wkurzonym gangsterem, były tak piękne, że aż mało wiarygodne. Zniecierpliwiony Tao co jakiś ocierał pot z czoła i pomimo szczegółowych wyjaśnień nadal nie mógł się dopatrzeć sensu w tym, za co płacili jego nowi odbiorcy. A kiedy czegoś nie rozumiał, nie wiedział, jak oszacować związane z tym ryzyko.

- Ale za co, za co oni płacą? - Gun rozróżniał oczywiście dobra materialne i niematerialne. Potrafił handlować złotem i prochami równie zręcznie jak pożądaniem i nadzieją, ale to było... nic.

Liczy go nie przekonały. Ku wielkiemu rozczarowaniu nowatorskiego pomysłodawcy po krótkim namyśle kazał zamknąć kopalnię. Uznał prowadzoną w niej działalność za nieetyczną.

Trzy tygodnie później kursy kryptowalut poleciały na łeb na szyję, a Kris ocalał życie.

Kapitan pojechał do swojego młodszego kolegi wieczorem. Nie był pewien, czy szpital dopuszcza wizyty u chorych o tak późnej porze. Jeśli nie, trudno. Trochę na to liczył. Ranny leżał na OIOM-ie. Pielęgniarki pozwoliły Paulowi zajrzeć, myśląc, że jest kimś z rodziny. Widok był przykry. Porucznik leżał na wznak, nieprzytomny, w nosie miał kolorowe rurki, z ust wystawała gruba tuba. Na monitorach widać było migające wykresy i cyfry. Sporą część z nich Horn potrafił zinterpretować, tak jak i widoczne symptomy nadciągającego końca. Za niską temperaturę. Blade, spocone czoło. Siną obwódkę wokół ust. Organizm przerzucił siły na krążenie wewnętrzne, aby chronić najważniejsze organy kosztem mniej istotnych. Z czasem poszerzy krąg tych ostatnich. Słabo z nim. Tym lepiej. Niczego nie powie.

- Kurwa, Herman, sorry.

- Kuzyn czuje się źle. Nie będzie pan miał z nim kontaktu - głos lekarza wyrwał go z zamyślenia.

- W jakim jest stanie? - zapytał.

- Krytycznym, ale stabilnym. Proszę mieć nadzieję.

- Jakie są szanse?

- Znikome. Walczymy.

Horn zabił już paru ludzi, kilku próbował. Gdy mu się nie udawało, był wściekły, obwiniał się, że spartaczył robotę. Uśmiercenie kogoś wcale nie jest proste, po drodze może wyniknąć wiele niespodziewanych zdarzeń. A tutaj... taki idiotyczny wypadek, zbieg okoliczności, niezamierzona głupota. Herman miał - ciągle ma - dwa metry wzrostu, popisywał się, zginając w dłoniach metalowe gwoździe, należał do klubu morsów i szokował śmiesznymi filmikami z pływania nago w przereźblach. Był silny i radosny, odporny na wszystko, poza ciśnieniem na awans.

- Czy nas słyszy?

- Możliwości mózgu są niezbadane, ale osobiście wątpię.

- Jeżeli się obudzi, czy będzie pełnosprawny?

- Kto wie? Czas wizyt już się skończył, zapraszamy jutro, zaraz zacznie się obchód.

- Dziękuję doktorze i przepraszam - uściśnął bezwładną dłoń leżącą na szpitalnej kołdrze. Ciekawe, czy gdyby mógł o tym decydować, podałyby mi rękę - przemknęło Hornowi przez głowę. Naprawdę mi głupio. Wybacz, Herman.

Tao Gun miał swoją małą tajemnicę. Dla ścisłości - głębokich,

brudnych i plugawych sekretów skrywał przed światem całą masę. Ale ten jeden, najzwyczajniejszy ze wszystkich odbierał mu spokój i sen. Nie budziły go w nocy krzyki ofiar, ręce wystające ze zbyt płytkich, niechlujnie przysypanych grobów ani nigdy niewysłuchane błagania o litość, tylko ta jedna, krótka rozmowa. Kilkanaście lat temu, kiedy jeszcze nie był tak ważną postacią jak dziś, wybrał się do lekarza na zwykłe badania kontrolne. Były mu potrzebne, żeby dołączyć do klubu strzeleckiego, który podstępnie zamierzał przejąć, zachowując pozory zwykłego członkostwa i poddając się oficjalnie wszystkim wymaganym statutem formalnościom. Nachalnie podrywał pobierającą mu krew pielęgniarkę, pozwolił zbadać sobie ciśnienie.

- Za wysokie! - orzekła.

- A jakie mogłoby być przy pani?

Z rozbawieniem poddał się EKG i tomografii głowy, zniósł nawet bez złości dotyk zimnego metalu podczas prześwietlenia płuc. Nie zgodził się jedynie na przyniesienie w słoiczku próbki moczu, to już bez przesady. Wrogo przejęty klub strzelecki zbliżał się wielkimi krokami! A policja niech się wali, niech prześledzą wszystko do końca, do najmniejszej kropelki jego utoczony w przychodni krwi!

Kiedy wylądował z wynikami w gabinecie lekarza, czekało go zaskoczenie.

- Proszę pana - zaczął doktor. - Mam niedobłą wiadomość. - Tomografia wykazała zmiany ogniskowe w mózgu, w tym jedną o dużej średnicy.

- Może pan jaśniej? - zapytał zdezorientowany Tao.

- Guz. Ma pan guza mózgu. Nie wiemy, czy jest złośliwy ani czy się powiększa. Musimy go obserwować.

- Jeszcze i wy chcecie mnie obserwować? - zapytał Gun wcale niezmartwiony, nawet mu się to wydawało śmieszne. Przez chwilę.

- Musimy działać szybko, to nie są żarty. Jeszcze dziś skieruję pana do kliniki onkologicznej.

To już gorzej.

- Nigdzie się nie wybieram, doktorku. Jakie są rokowania?

Lekko urażony lekarz odpowiedział z dystansem:

- Teraz nie mogę panu niczego powiedzieć na pewno. Trzeba zrobić dodatkowe badania, oddać się w ręce specjalistów. Oni zaordynują sposób leczenia, może potrzebna będzie chemia, może radioterapia, w najgorszym razie operacja i połączenie dwóch wcześniejszych.

- A od czego ty jesteś? - warknął Gun, czując, jak zalewa go fala wściekłości.

Padrino bardzo, ale to bardzo nie lubił otrzymywać złych wiadomości. Nie zamierzał się też hamować, mając przed oczami wizję rzygania, słabości, cierpienia, pieluch i wypadającej resztki włosów. Z całej siły kopnął stojak na kroplówki, który z hukiem walnął w przeszkloną szafkę z lekami. Szyba posypała się z brzękiem, część pudełeczek i fiolek wypadła na podłogę.

- Proszę stąd natychmiast wyjść! - wrzeszczał bordowy ze złości lekarz. - Bo wezwę portiera! Co to ma znaczyć?!

Wbiegli ochroniarze Tao. Lekarz rzucał się jeszcze przez moment, dopóki nie poczuł na skroni zimnej lufy pistoletu.

- Gadaj do rzeczy, człowieku. A wy wypad stąd! - szczechnął do swoich chłopaków.

Nie zamierzali nie posłuchać. Nawet lepiej - pomyślał Tao. Niech wiedzą, że mam porachunki z doktorkiem, opóźnia się z oddaniem długu czy coś. Boss nie mógł pozwolić sobie na słabość. Z chorób najwyżej katar, a jeszcze lepiej kac. O wizycie w klinice onkologicznej nie mogło być mowy, gdyby coś zwęszyli, rozwaliliby go przed pierwszą chemią jak szpitalnego karalucha. I tak już go śledzą i knują. *Padrino* stać było na to, aby urządzić sobie najwyższej klasy gabinet medyczny na zapleczu własnej willi, ale tego nie dałoby się zrobić w tajemnicy. Zawsze ktoś puści parę, choćby pod groźbą śmierci. Toż to by była gratka dla jego wrogów! A jaka dla przyjaciół! Nie, trudno, musi wysłuchać, co ma do powiedzenia siedzący przed nim poblądły jak trup lekarz. Drugiej okazji nie będzie.

- Niech pan postawi swoją diagnozę, doktorze. I naświetli moje perspektywy, że tak powiem. Wszystko szczerze. Rozumiemy się?

Doktor skinął głową, ale nie okazało się to takie proste. Ręce trzęsły mu się tak bardzo, że kilka razy wypadały z nich wyniki badań Tao, jego karta pacjenta. Upuścił na podłogę długopis, pieczętkę i wydawał się bliski płaczu.

- Ależ niechże się pan opanuje, doktorze - złagodził Tao. - Jesteśmy przecież kulturalnymi ludźmi. Nie może się pan aż tak przejmować zdrowiem pacjentów, bo sam się pan wykończy - doradził szczerze.

Mężczyzna z trudem łapał niespokojny oddech.

- A więc - zaczął - tak jak powiedziałem, ma pan guza mózgu. Nie wiemy od kiedy, ponieważ wcześniej się pan nie badał. Zaobserwowałem też drobne nacieki w płucach, to może być banalna sprawa, ale też początek przerzutów. Zalecenia już panu przedstawiłem. Nie radzę ich lekceważyć.

- Dziękuję uprzejmie za troskę. A ile według pana pociągnę?

- Nie jestem Bogiem.

- Widzę - odpowiedział Gun już mniej uprzejmie.

Lekarz szybko się zreflektował.

- Może pan żyć bardzo długo, jeżeli zmiany nie są złośliwe. Albo jeszcze kilka tygodni w przeciwnym przypadku. Naprawdę niczego pan nie odczuwał? Dlaczego wcześniej nie zgłosił się pan do lekarza?

Tao zbył te pytania.

- No i po kiego kończyłeś studia? - zdziwił się. - widać, że głównie wiesz.

Dalsze przeciągnię wizyty niczego by nie wniosło. Mafioso pobierał wyniki swoich badań i kartę pacjenta, złożył je starannie i schował do kieszeni. Potem ruszył do drzwi i pożegnał się grzecznie.

- Do widzenia, panie doktorze, dziękuję za konsultację. Jeżeli mogę zauważyć, to wprowadza tu pan nieco nerwową atmosferę, a nie powinien pan tego robić, przecież tu przychodzą chorzy ludzie - rzekł z przyganą w głosie i delikatnie zamknął za sobą drzwi.

Na chwilę do gabinetu zajrzeli jeszcze jego chłopcy, rozbili komputer, wyjęli z niego dysk i karty pamięci. Uzyskali też gorliwe zapewnienie medyka, że niczego nie widział.

Padrino podejmował decyzje szybko i nieodwołalnie. Tu także sprawa była jasna. Oto zakończyła się ostatnia w jego życiu wizyta w gabinecie lekarskim. Perspektywa długiego i bolesnego leczenia, zwieńczona niepewnym efektem, nawet przez chwilę go nie skusiła. Wolał zdechnąć. Co ciekawe, przez wiele następnych lat choroba się nie rozwijała. Tak jakby nawet rak przestraszył się swojego właściciela. Tao wyczuwał wprawdzie pod palcami powoli rosnącą, twardą gulę na potylicy. Znalazła ujście pod skórą i wypelzała na zewnątrz czaszki, powoli nie dając się już zamaskować. Właściwie boss nie zamierzał pozostać w ogóle bez leczenia. Pamiętał, że bóle głowy nękały go od dziecka, ale nie chciał mówić tego pierwszemu z brzegu konowałowi. W ostatnich latach nasilały się, mącąc oczy, skraplając się na całym ciele zimnym potem i wciągając go w czarną otchłań przerażającej bezsilności.

- Migrena - mówiła współczująco Sisi.

- Kac - twierdzili z niemym podziwem współtowarzysze.

- Zmęczenie - diagnozowała matuszka Wasylisa.

Mówili o niej, że potrafi przejrzeć człowieka na wylot. To do niej, znachorki z Alistone, Tao udawał się potajemnie przy okazji sentymentalnych wizyt w rodzinnych stronach. Pamiętał, że jeszcze

jako młody chłopak był do niej prowadzany ze swoimi dolegliwościami. Zawsze mu pomagała. Nie była miejscowa, nie wiadomo, skąd się wzięła, mieszkała w chatynce pod lasem otoczona przez lokalną społeczność mieszanką strachu i szacunku. Choć nie pochodziła stąd, była swoja. Nie oznacza to, że sąsiedzi Tao nie korzystali z dobrodziejstw medycyny konwencjonalnej. Przeważnie to robili, ale gdy zawodziła, pielgrzymowali po cichu do skromnej, krzywej chatki. Wasylisa żyła sobie spokojnie i nie wiadomo jak długo na świeżym powietrzu, jadła prosto i skromnie, nie martwiła na zapas, ubierała się ciepło w kilka warstw długich spódnic i fartuchów, głowę bez względu na porę roku opatulala kraciatą, wełnianą chustą. Była trochę na bakier z higieną, co dawało się wyczuć w niewielkiej izdebce. Jako małemu chłopcu Tao to nie przeszkadzało, ale z czasem, w miarę nabywanego obycia i bogactwa, stawało się najtrudniejszym do zniesienia elementem jej niecodziennych sesji terapeutycznych. W pewnych dziedzinach, takich jak odbieranie trudnych porodów czy wrywanie zębów, Wasylisa była genialna, w innych improwizowała. Gun otaczał ją nabożną czcią i zwracał się do niej: „Matko!”.

Tego dnia ucałował pomarszczoną dłoń matuszki, a ta przeżegnała go znakiem prawosławnego krzyża. Usiadł smutny na archaicznym, krzywym, drewnianym zydelku, zupełnie nie zwracając uwagi na to, że pobrudzi sobie nowy garnitur od Armaniego. Omiótł wzrokiem kulawy stół, osmalone belki, prymitywne palenisko i wiszące nad nim pękate bukiety ziół i sznury grzybów.

- Za każdym razem ten dom wydaje mi się mniejszy, matko - powiedział.

- Bo ty rośniesz, dziecko - uśmiechnęła się bezzębnymi dłońmi.

- Nie potrzeba wam czegoś, matko?

- Tylko pana Boga!

- Może wam kupić lepsze mieszkanie? Ciężko tu chyba zimą. - Gangster rozglądał się z dezaprobatą.

- A co to moje złe? - oburzyła się staruszka. - Jak chcesz pomóc, żebym nie marzła, to narąb drzewa.

I Tao rąbał. Jedwabna koszula spłynęła potem. Elegancka marynarka leżała na pieńku utytłana w trocinach. Poskładał szczapy w zgrabny stosik.

- Dobrze z ciebie dziecko, uczynne - chwaliła Wasylisa.

- Powiedzieli, że mam raka.

- A to durnie! - skwitowała.

Krążyła wokół niego, głęboko wciągała w nozdrza powietrze,

machala mu ręką wokół uszu, nosa i piersi.

- Nie oddycha ci się ciężko, synoczku? - spytała. - Sypiasz dobrze?

- Czasami, matko. Nieraz coś dusi. I budzę się w nocy zlany potem.

- Masz za dużo kłopotów, dziecko. Obsiadły cię jak wrony.

Tao chciał coś dodać, ale uzdrawianie już się zaczęło. Pomimo że dobrze znał ceremoniał, oglądał go zawsze z wytrzeszczonymi oczami. Znachorka dysponowała szerokim repertuarem ozdrowieńczych praktyk - przelewała nad głową jajko, okadzała żrącymi dymami, zamiatała podłogę skrzydłem kruka, obracała się wokół własnej osi, wypowiadając niezrozumiałe słowa, splotowała na czubek głowy, paliła trawy i gałęzie, a powstały popiół serwowowała do picia w szklance tak brudnej, że napicie się z niej rzeczywiście uodparniało na wszystkie choroby. Przy tym naprawdę znała się na ziołach i niejednemu dobrze doradziła. Rdest ptasi zwany świnią trawą na trądzik i miażdżycę, glistnik jaskółcze ziele na brodawki, prawoślaz na kaszel, nawłóć „złota miotła” na odtrucie, jasnota biała na krwotoki i spirytus na nerwy. Opowieści znachorki o tym, jak o północy były doprawiane i wzmacniane sproszkowanymi mysimi zębami i skórą ropuchy, należy odłożyć między pikantne bajki. Wasylisa nie wyglądała na osobę, która skrzywdziłaby jakiegokolwiek stworzenie.

Finałem i gwarancją powodzenia całej akcji było złożenie w ofierze czarnej kury. Tao miał ją sobie sam wybrać z kurnika, co nie było trudne, gdyż czarna kura była tylko jedna. Zadowolona i tłusta nad wyraz spokojnie zniosła wymachiwanie nią w prawo i w lewo nad głową pacjenta i wypuszczona z godnością wróciła na swoją grzędę. Wasylisa wytłumaczyła, że utnie jej łeb po zmroku i lepiej, żeby Tao na to nie patrzył. I tak nie miał czasu. Choć ufał szeptusze, przyszło mu do głowy, że ptak dziwnym trafem przetrwał już wiele egzekucji. Taka kura oczywiście nie była tania, chociaż wiedźma nie narzucała nikomu cennika. Każdy dawał tyle, ile mógł, a Gun był bardzo bogaty. Nieco przyduszony atmosferą skłonił się do wspólnego odmówienia piąte przez dziesiąte prawosławnej modlitwy.

- Przechodzi, matuszko.

- Sława Bohu! Nie będzie bolało, dziecino. Przez jakiś czas. Potem wróc do mnie.

- Co zrobię, matko, kiedy ciebie zabraknie? - zapytał z wdzięcznością gangster, który od razu poczuł się o wiele lepiej.

Znachorka popatrzyła na niego smutno.

- Nie wiadomo, kto z nas jest starszy, synoczku, nie wiadomo.

A głowa nie będzie cię już długo bolała.

Tao nie zadrwił z tego. Rozłożył szeroko ramiona, skłonił się z powagą i objął ją pod kolana.

- *Hospodzi, pomyłuj, dziecina* - pobłogosławiła go starowinka.

Poczuł się błogo i bezpiecznie. Położył na stole gruby rulon banknotów i z żalem nacisnął skrzypiącą klamkę w rozsypujących się drzwiach.

- Pozdrów Sofiję i Zacharego, Taosiu - wyszeptała za nim Wasylisa.

Generał miał skórę twardszą od nosorożca. Nie przejmował się byle czym. Umiał odróżnić ataki niosące istotne zagrożenie od kompletnie błahych. Jego pozycja była wielokrotnie podkopywana, pomimo to trzymał się świetnie. Ciągłe oskarżenia o powiązania z mafią, zupełnie nieuzasadnione, powracające artykuły w gazetach, tropiący dziennikarze. Uciszył już niejednego, zmieniało się przywództwo w państwie, a on trwał. Ostatnio dano mu jednak do zrozumienia, że sprawa staje się polityczna. Bomba z opóźnionym zapłonem. Cholerny Tao zawsze się wymykał. Jediną szansą na przecięcie spekulacji, a przy okazji wielkim sukcesem agencji, będzie jego aresztowanie. *Padrino* był sprytny. Szef SAW zaangażował sztab najlepszych ludzi, ale dowody ciągle okazywały się niewystarczające, a Twigg nie mógł sobie pozwolić na to, żeby Gun znów się wywinął. Wtedy dopiero spadłyby na niego gromy i oskarżenia o celowo niedoskonałe przygotowanie do procesu. Musiałby się pożegnać ze stanowiskiem, a tego nie zamierzał robić, nazbyt kochał potęgę, którą mu dawało. W dodatku ktoś co jakiś czas podgrzewał w prasie temat rzekomej niewinności Phila Sandersa, jego skompromitowanego zastępcy. Była to bzdura, która od lat rzucała na działalność generała wielki cień. Twigg nie miał wątpliwości, że atmosferę poprzez podstawionych, uzależnionych od siebie dziennikarzy, podkrecał właśnie jego były kumpel z Alistone. Nigdy by się do tego nie przyznał, zawsze demonstracyjnie odcinał się od pogłosek na temat rozgrywek w Agencji, ale działał w ten sposób już od dzieciństwa. Nawet jako kilkuletni szkrab był wredny i zazdrosny. Im głębiej podkopany Twigg, tym bardziej bezkarny Gun, to oczywiste. Przyszedł czas, żeby rozprawić się z nim ostatecznie, a do tego najlepiej posłużyć się najśłabszym ogniwnem w szerokim otoczeniu bandyty, kimś, kto może dostarczyć czegoś więcej niż tylko wątpliwych poszlak. Pograżenie kongresmana, jego zeznania i twarde dowody, które

musi przecież, do cholery, mieć – sam się chyba zabezpiecza przed tym potworem – będą równoznaczne z końcem jego mafijnego mocodawcy. Najlepiej i najprościej osiągnąć to przez zakochaną kobietę. Przez kobietę bezgranicznie oddaną i piekielnie mądrą. Schwytaną w pułapkę strachu o zależący od jednego słowa generała los najbliższej osoby. Przez Lukrecję, do szaleństwa zadurzoną w tej gnidzie, Philipie Sandersie.

Aresztowanie pułkownika przebiegło szybko. Zarzuty były druzgocące, jego sytuacja wydawała się beznadziejna. Sfingowane dowody na korupcję i udzielanie pomocy przestępcom w unikaniu aresztowań zaskoczyły Sandersa, nie potrafił się wybronić na czas. Cała siatka podstawionych ludzi zwróciła się nagle przeciwko niemu. Koronkowa akcja objawiająca cały kunszt Twigga. Przed procesem w jego przesłuchaniach brała udział Anna. Nie było czasu. Philip musiał komuś zaufać. To była jedyna ścieżka – przekazał jej miejsce ukrycia teczek dotyczących generała. Przy okazji znajdowało się tam kilka mniej ważnych dowodów na zbrodnie Tao – niech Anna gra nimi i w zamian go uwolni. Taki zawarli deal. Wiedział, że Lukrecja musi się na jakiś czas przyczaić, inaczej Peter siłą impetu załatwi i ją. Trzeba opracować dobry plan i czekać na okazję. Ale przez dziesięć lat? Sanders już dawno uznał, że Litewski nie chce lub nie może wywiązać się z umowy. Może sama postanowiła ją zerwać i dzięki asom, które wsunął jej do rękawa, grać wyłącznie na własny sukces.

Rozdział 4

MIŁOŚĆ

Bal filharmoników był największym wydarzeniem towarzyskim roku w tej części kraju. Najdogodniejsze miejsce do nawiązywania obficie procentujących znajomości. Horn bez przekonania zapewnił Twiggą, że Litewski wejdzie do gry. Zaproponował, że przywiezie ją limuzyną, ale odmówiła. Czekał na zewnątrz ogarnięty wątpliwościami. Najprawdopodobniej nie przyjdzie. W głębi duszy wolałby chyba to niż publiczne pokazywanie się z nią. Mogła nie wytrzymać presji i przyjechać pijana. Albo w sukience z lat siedemdziesiątych, co i tak byłoby lepsze, niż gdyby wpadła tu w dresie. Była nieobliczalna. Złamana życiem i nałogami, może nawet chora psychicznie. Mogła go zdemaskować. Nie ciągnie się takich osób na akcję. Nigdy. Pomysł generała wydawał mu się w tej chwili tak chybiony, że zaczynał wątpić nie tylko w jego osławiony, zapewne przez niego samego, szósty zmysł, ale nawet w elementarny poziom kojarzenia faktów. Trudno. Wieczór minie i zakończy raz na zawsze ten groteskowy temat. Nagle ją zobaczył. Była piękna.

Paul widział już różne metamorfozy, całkiem dobrze znał się też na charakteryzacji. Dobrze widział, że z ostatniej szkarady przy pewnych nakładach i zabiegach można zrobić małe bóstwo, ale Anna przebiła wszystkich. Wreszcie zobaczył w niej to, o czym mówił Twigg. Szyk i klasę. Miała na sobie prostą, czarną suknię od wielkiego projektanta. Bardzo drogą, podobnie jak dyskretna, ale efektowna biżuteria. To jeszcze nic takiego, tutaj wszystkie panie wydały na swoje stroje horrendalne pieniądze. Anna miała coś więcej. Wydawała się w tym barokowym otoczeniu bardzo naturalna. Miała lekko, fantazyjnie upięte włosy bez śladu siwizny, wyrazisty, wieczorowy makijaż, idealnie podkreślający walory jej wyjątkowej urody. Ogromne oczy. Niewiarygodnie długie,

rozkładające się w kształt wachlarzy rzęsy. Pełne usta. Białe, równe zęby. Na porcelanowej twarzy kilka zmarszczek. Wyraźnie zeszczupiała, chociaż nadal miała pełne kształty. Niezwykle zresztą proporcjonalne. Poruszała się z gracją, jakby tańczyła w powietrzu. Gdy przypomniał ją sobie szurającą nogami w zapyziałym pokoju na poddaszu jej domu - zresztą, czy to był jej dom? - był pełen podziwu. Oszukała go wtedy. Albo teraz.

- Dobry wieczór. - Powoli wyciągnęła dłoń, którą ucałował.
- Cieszę się. Wywiera pani wielkie wrażenie.
- Dziękuję.

Wzięli się za ręce. Pora zaczynać. Kongresman nie wie jeszcze, co go czeka.

Albert McKenzie był powszechnie uważany za miłego, skorumpowanego idiotę. Bogatego potomka wpływowej rodziny, ustosunkowanego narkomana, tchórzliwego i podatnego na wpływy. Przeciwnicy, a zwłaszcza sojusznicy partyjni zacierali ręce, czekając tylko na wielki skandal z jego udziałem, który prędzej czy później musiał wybuchnąć. Tao go na przemian rozpieszczał i zastraszał, i pomiatał nim tak, jak tylko silny może pomiatać słabym. Nie była to jednak cała prawda o Albercie, który z kolei gardził Gunem jak tylko człowiek wykształcony, o wysokim statusie społecznym i artystycznych zamiłowaniach może gardzić brutalnym prymitywem. I nienawidził go z żarliwością, z jaką tylko słaby może nienawidzić silniejszego. Mieli dotąd relacje „biznesowe”, jak lubił je nazywać *padrino*. Albie okupił je postępującą nerwicą i poczuciem osaczenia, przy mnożących się zyskach materialnych, z których nie potrafił zrezygnować.

- Coś za coś - mawiał Gun, odpalając mu szczodrobliwie milionową działkę z transportów kokainy lub dla odmiany robiąc awanturę o kilka gramów zgubionego haszu.

Albert się do tego przyzwyczaił. Coś za coś - powtarzał sobie w duszy, zasnuwając oczy dymami odurzeń, aby tylko nie dostrzec swojego rzeczywistego położenia. Teraz Gun wdarł się w jego prywatność. Wymusił ślub.

- Tylko na chwilę - zapewniał - dla picu, oszukamy tego cwaniaka z SAW. Patrz, jak chciał nas wyrolować, idiota, myślał, że podstawisz ci podstarzałą kurwę - co on sobie wyobrażał - ale my jesteśmy sprytniejsi, szybsi, udamy, że się nabraliśmy, a potem ciach! I po Twiggju.

Ostatnia akcja. Później wolność. Gun przysięga, że to koniec, niczego więcej nie będzie chciał. Albert uwolni się na zawsze. Nie miało to już większego znaczenia. Granica została przekroczona. McKenzie wiedział, że słowo gangstera nic nie jest warte. Podobnie

jak słowo jego samego, przynajmniej od czasu, kiedy po raz pierwszy poddał się szantażowi tego ciemnego typu. Tao upokorzył go ostatecznie i beztrąsko. A niebezpiecznie jest upokorzyć ostatecznie słabego.

Kolejna wizyta Anny w mrozącym krew w żyłach bunkrze Guna okazała się niestety konieczna. Miał pomóc w zorganizowaniu przepustki dla Phila, z czym niebezpiecznie się ościagał. Marzeniem każdego dyrektora więzienia było mieć *padrino* po swojej stronie kraty, póki jednak do tego nie doszło, niektórzy z nich musieli czasem iść wobec niego na ustępstwa. Tao był mistrzem kreowania i rozgrywania zależności, które budował za pomocą intryg lub przemocy, przy wykorzystaniu coraz liczniejszych koneksji i siatki szantaży.

Nikt, kto przekraczał progi jego willi, właściwie należałoby powiedzieć warowni, nie mógł być pewien, że opuści ją żywy. Determinacja Lukrecji zadziwiała czasem ją samą. Nawet się specjalnie nie bała.

- Co panią do mnie sprowadza? Troszeczkę przeszkadzała mi pani ostatnio. McKenzie całkiem stracił dla pani głowę, słyszałem, że nie może się doczekać ślubu. Nie bardzo mi to odpowiada, rozumie pani, nie chciałbym, by ktoś miał na niego znaczący wpływ, zwłaszcza agenci. On się, co prawda, boi, to tchórz i kokainista, ale taka piękna kobieta na pewno ma swoje sposoby, żeby zawrócić tej miernocie w głowie. Trochę za często tu pani bywa. Jeszcze przyłapie panią ten pani kumpel, jak mu tam...

- Myślałam, że potrafi pan wymienić jego nazwisko nawet przez sen.... - Ochrona Tao zdębiała, ale on tym razem zachował kamienną twarz i ciągnął dalej: - Całkiem cwana z pani lisica. Nie obrazi się pani na mnie, jeśli powiem, że ma już pani swoje lata, a tu młodszy mąż, bogaty, no i pewnie niedługo się przekreśli, już pani się o to postara, albo jego towarzysze z kasyna, zawsze go przed nimi ostrzegałem. No i nie oszukujmy się, to dobry chłopak, ale nie ma zdrowia. Leki, narkotyki... słabe nerki... Cóż, Anno, mam nadzieję, że Albie odda nam jeszcze niejedną przysługę, zanim organizm odmówi mu posłuszeństwa. Chociaż mógłby się leczyć w najlepszych klinikach, ale nie zmusi się go przecież. Uważa, że jest zdrowy, jak każdy chory, rozumie mnie pani? Czy suknia ślubna już wybrana? A propos, słyszała pani, że niektóre sfery mają mu za złe to narzeczeństwo? Uważają, że podstarzała pijaczka i nieudana agentka nie jest dla niego wystarczająco dobrą partią, ale ja wtedy

powtarzam: „Nie znacie jej, to urocza kobieta, wspaniała, nasz Albie jest szczęściarzem” – Tao plótł swój monolog, Anna czekała.

- Musimy przyspieszyć. – rzucił, nagle zmieniając ton na rzeczowy.

- Oddałam panu wszystko.

- Wszystko?! – ryknął – Wszystko?! Tych kilka świstków?! Ile masz ich jeszcze?!

- Niczego już nie mam! – odpowiedziała głośno Lukrecja. – Mieliśmy coś razem zrobić. Mija czas. Ja się wywiązałam.

- Wariatka! Jak krzyczy! To ja decyduję o tym, co robię z kobietą. A z tobą bym się nie zdecydował. Słowo dane waszej formacji nie obowiązuje, senatorowo. – Chwycił ją brutalnie za podbródek i obrócił twarz w swoją stronę. – Szkoda mi tego Albiego, zmarnuje się chłopak. – Nagle złagodniał. – Zdziwiłbym się, gdyby pani senatorowa oddała mi wszystkie dokumenty, to niezgodne z zasadami sztuki biznesu. Nie mam żalu, tylko znudziła mnie ta zabawa.

Phil Sanders, niesłusznie oskarżony, niewinnie skazany. Jej kochanek lub brat. Raczej brat. Dla mężczyzny nie ryzykowałaby aż tyle. Przecież nie ucieknie i nie będzie się ukrywał. Taki facet musi zostać oczyszczony, wrócić w glorii. Do czego dąży Anna? Chce zrehabilitować Phila, doprowadzić do powtórnego procesu? Pograć Twigga? Jest w tej kobiecie coś, co sprawia, że chciałoby się jej wierzyć. Horn instynktownie czuł jednak, że sprawa ma drugie i trzecie dno. Jeżeli Sanders jest niewinny, oznaczałoby to, że Twigg zniszczył mu życie i karierę. Na mieście dużo się mówi o jego niewyjaśnionych powiązaniach z mafią, niemal rodzinnych. Generał zawsze konsekwentnie się od nich odcinał. Ale podobno w każdej plotce tkwi ziarno prawdy.

Pułkownik siedzi w więzieniu już dziesięć lat. Odrzucono wszystkie jego wnioski o przedterminowe zwolnienie. Były wice SAW musi przechodzić tam piekło. Dziwne, że w ogóle jeszcze żyje. Podobno prezentuje nienaganną postawę.

Trzeba zorganizować wesele. I załatwić Philowi przepustkę na ślub siostry.

Podczas balu się rozdzielili. Nie byłoby korzystne dla sprawy, gdyby został uznany za jej partnera. Trzymał się z boku, gotowy wkroczyć z pomocą, gdyby coś poszło nie tak. Ale właściwie cóż złego mogłoby się wydarzyć w takim miejscu? Horn przyjął postawę obserwatora, załując trochę, że nie przebywa w bezpośrednim

towarzystwie tak uroczej kobiety.

Przemawiał gubernator, siedemdziesięciosześcioletni dystyngowany pan, niezwykle dbający o swój *entourage*. Z jego ust sypały się gładkie słowa, a Paul nie bez rozbawienia zauważył, że jednocześnie kontroluje, w jaki sposób prezentuje się na tle wystawionych srebrnych tac ze stosami homarów. Krążyły plotki, że w dawnych czasach piastował posadę kierowcy poprzedniego gubernatora, po czym nagle błyskawicznie wspiął się po szczeblach kariery, aż do uzyskania swojego obecnego statusu.

Swoją drogą to dziwne, jak wielu kierowców osiąga podobnie efektowne rezultaty – uśmiechał się w duszy Horn. Tak, to dobra fucha na start. Wystarczy mieć oczy i uszy szeroko otwarte. Reszta potem toczy się sama.

Po przemówieniu gubernator emablował Lukrecję. Wyglądało, jakby byli starymi znajomymi, co mogło być mylące, gubernator bowiem bardzo dbał, żeby sprawiać wrażenie, iż jest zaprzyjaźniony ze wszystkimi, wychodząc ze słusznego założenia, że nie wiadomo, kiedy kto się do czego przyda i która znajomość zaowocuje niespodziewanym profitem, a nawet jeśli nie, to w ostateczności wszyscy są przecież jego wyborcami. Tak czy inaczej Lukrecja najwyraźniej mu się podobała.

Wszedł Albert McKenzie, spóźniony i nietrzeźwy. Błada skóra twarzy pokryta małymi kropelkami potu, rozszerzone źrenice, zaciśnięte szczęki. Poruszał się sztywno, automatycznie. Paul wzmógł czujność. Zabawa toczyła się w najlepsze, muzyka grała popularne przeboje, goście stawali się coraz bardziej rozluźnieni. Lukrecja bawiła się doskonale, jakby nie pamiętała, po co tu przyszła. Horn patrzył na wszystko z dystansu, trochę zły. Czas uciekał. Z zainteresowaniem obserwował, jak Albert wita się z gubernatorem, a ten przedstawia go Annie. Zimny, rybi wzrok senatora ledwie ją zaszczycił. Po chwili rozmowy poprosił ją do tańca, chociaż nie bardzo się do niego nadawał. Gubił rytm i wyglądał, jakby za chwilę miał zwymiotować, co nie umknęło troskliwej uwadze gospodarza przyjęcia, który nie potrzebował tu skandalu. Zabawiając rozmową kolejnych gośćmi, gubernator zerkał dyskretnie w stronę tańczącej rozpaczliwie pary – Lukrecja z wdziękiem zdawała się podtrzymywać Alberta, który był ciężki i stopniowo coraz bardziej odłączony od rzeczywistości, w końcu runął jak długi na posadzkę, mocno potrącając po drodze pewną starszą damę w srebrnej sukni. Nie minął ułamek sekundy, gdy gubernator usłużył ramieniem osamotnionej Lukrecji, a szef sali گیا się w ukłonach, przepraszając senatora i poszkodowane damy za wodę rozlaną na podłodze i polecając zdumionemu kelnerowi

natychmiast ją zetrzeć. Zanim kelner zdążył coś powiedzieć, spojrzenie gubernatora przerwało jego chęć do wygłaszania komentarza, więc posłusznie przetarł suchą podłogę jedwabną serwetą, przyłączając się do przeprosin.

Mistrz tuszowania niewygodnych sytuacji - pomyślał Horn o gubernatorze, który z sympatycznym, ciepłym uśmiechem i niekłamany zachwytem w oczach prosił właśnie do tańca starszą damę w połyskliwej sukni.

Nagle od barwnego tłumu arystokratek oderwała się jedna postać i pospiesznie podążyła w stronę, w którą oddalił się senator w asyście szefa sali i kilku dżentelmenów we frakach, udających jego kolegów, a będących zapewne członkami ochrony. Przemykała się przez chwilę wśród gości i zniknęła w jakimś zakamuflowanym przejściu, na które nikt nie zwracał uwagi.

Cholera! - zaklął w duchu Horn. Było za późno, żeby działać. Kobieta najwyraźniej doskonale orientowała się w topografii budynku. Nie zdążył zauważyć niczego więcej poza szykowną toaletą przystrojoną strusimi piórami i nieco bladą, mało charakterystyczną twarzą. Gdyby chociaż było wiadomo, kto to jest. Trzeba działać szybko.

Agent podszedł do grupy zabawiających się konwersacją dam, którym jeszcze przed chwilą towarzyszyła tajemnicza nieznajoma. Wśród tej gromadki szczególną uwagę zwracała ekscentryczna starucha na wózku inwalidzkim, chyba stuletnia, przyodziana w pozwijane sznury pereł i - o zgrozo! - bez przerwy paląca cygara przy stoliku, co było niedopuszczalne, ale w jej przypadku najwyraźniej przyjmowane z milczącą aprobatą przez całe towarzystwo. Horn wykorzystał moment, kiedy kończyła jedno z jej cygar, i pospieszył usłużyć z propozycją przypalenia kolejnego.

- Łaskawa pani zechce mi wybaczyć - zaczął, kłaniając się prawie do ziemi. - Nie zostałem pani przedstawiony.

- Nie szkodzi synu, zrób to sam - odpowiedziała chrypliwym głosem. - Zanim doczekamy się, że zrobi to ten nieudolny goguś - wskazała niechętnie na krążącego po sali gubernatora - szoferzy rozwiozą nas z powrotem do domów - roześmiała się skrzekliwie.

Kapitan zauważył, że ma trudności z utrzymaniem w dłoni cygara. Jej upierścienione palce prawie nie zginały się w stawach, chyba bardziej z powodu liczby założonych na nie szlachetnych, ozdobnych obręczy niż ze starości okraszonej chorobą reumatyczną. Za biżuterię, którą nałożyła dziś na siebie, można było kupić cały ratusz.

- Nie śmiem zapytać, pani - zaczął Horn ze skromną, nieco zawstydzoną miną - ale znajdowała się tutaj przed chwilą pewna

dama. Jej również nie zostałem przedstawiony. Nie zdecydowałem się, żeby w stosownym czasie podejść, a teraz boję się, że zniknie mi z oczu.

Starucha spojrzała na niego z rozbawieniem.

- Masz na myśli naszą biedną Theresę, synu? Pewnie pobięła ratować z kolejnej opresji swojego senatora. Już dwunasta - zerknęła na diamentowy zegarek, na pierwszy rzut oka trudny do odróżnienia od kilkunastu drogocennych bransolet chwiejących się na jej chudym przegubie. - Domyślam się, że jak zwykle zdążył już zasłać.

Okrucieństwo starej, niesprawnej fizycznie kobiety - pomyślał Paul. Złośliwa uwaga na temat kogoś, kto pomimo wszystko miałby siłę, żeby wziąć ją na ręce i wyrzucić przez okno. I dla kogo, w przeciwieństwie do niej - jest jeszcze jako taka nadzieja.

- Naprawdę wpadła ci w oko, synu? - drażyła jego rozmówczyni.

- To dobrze, Bóg wysłuchał naszych modlitw. Nieszczęsna. Myślałam, że już nigdy do tego nie dojdzie.

- Do czego, madame? Czy lady Theresa i senator są ze sobą spokrewnieni? A może łączą ich inne więzy? Czy moje pytanie nie jest zbyt śmiałe?

- Pytaj się konkretnie, synu. Dobrze robisz, że mną nie ma już czasu na owijanie w bawełnę. Gdybym teraz umarła, nie zdążyłbyś mi opowiedzieć swojej historii.

- Ależ madame... - zaprotestował gorliwie Paul.

Przerwała mu niecierpliwym, kategoriycznym gestem. Kapitan pomyślał, że jest przyzwyczajona do dawania takich krótkich znaków służbie.

- Spokrewnieni? Nie słyszałam o tym, chociaż w tych starych rodach nigdy nic nie wiadomo - odpowiedziała wiekowa dama. Perły okręcone wokół jej szyi - a może kości - grzechotały głucho.

Ma ze sto lat i jeszcze chce jej się ukrywać zmarszczki - pomyślał Paul. Natura kobiety... Kłęb wydychanego, drażniącego dymu szczelnie spowił pobrużdżoną twarz. Stojące w pobliżu młodsze panie zakaszły dyskretnie. Ukrywa zmarszczki - pomyślał znowu. Spryciara. Ta zmurszała postać, przypuszczalnie wdowa po potentacie naftowym lub potomkini słynnego magnata, wzbudziła nagle jego sympatię.

- Nasza droga Theresa von Hochstein jest przyjaciółką senatora. Od szesnastu lat co jakiś czas słyszemy zapowiedzi ich zbliżających się zaręczyn. Ruszaj, synu, i niczym się nie przejmuj - mrugnęła do niego nieapetycznie pomarszczoną, opadającą powieką. - Zanim ten nieodpowiedzialny osobnik wpędzi ją w lata.

Kapitan skłonił się głęboko i oddalając się, kilkanaście kroków

zrobił tyłem, jakby odchodził od angielskiej królowej. Jego szacownej interlokutorce najwyraźniej się to spodobało.

- Muszę powiedzieć Lukrecji, że ma konkurencję - mruknął do siebie, wypatrując jej w tłumie. Ale kiedy ją spostrzegł, chwilowo odpuścił ten pomysł. Nie, nie miała.

Wspaniała impreza, feeria świateł, fontanny trunków, piękne kobiety, nieostentacyjny przepych. Krasomówcze toasty. Wirujące suknie. Znajomości. Nowe i stare, mniej i bardziej cenne. Celebrowane, rozwijane i podkreślane tym bardziej ostentacyjnie, im mniej były głębokie. Najszerzej uśmiechali się do siebie ludzie, którzy nie pamiętali, skąd znają swoje twarze. Tak było najrozsądniej.

Z meandrów bocznego korytarza ponownie wynurzył się Albert, reanimowany dyskretnie przez kelnerów w którejś z bocznych sal, pod czujną, choć zdalną kontrolą samego gubernatora. Wezwano zaufanego lekarza, który ubrany we frak zaaplikował mu krótką kroplówkę. Kilkogodzinna drzemka też zrobiła swoje i McKenzie w wyraźnie lepszej formie wcielił się w ulubioną rolę lwa salonowego. Zaczął od dysput w męskim gronie, z czasem przesuwając się w stronę mieszanego towarzystwa zasiadającego bliżej orkiestry. Został tam powitany z radością, choć zdawał się nie przywiązywać do tego większej wagi, podobnie jak do niechętnych grymasów starszej damy w srebrnej sukni, jak się okazało, żony konsula.

Theresa von Hochstein raz po raz posyłała mu wyczekujące spojrzenia, które całkowicie ignorował. Dalej wydarzenia potoczyły się zgodnie z planem. Horn obserwował, jak jego towarzyszka zagaduje senatora, który ponownie jej się przedstawił, najwyraźniej nie pamiętając niedawnego incydentu. Śmiali się i prowadzili ożywioną wymianę zdań, trzymając w dłoniach kieliszki *Coteaux champenois*. To nie do uwierzenia, ale Albert McKenzie najwyraźniej zainteresował się Lukrecją. Jak powiedziała później Paulowi, poprosił ją o numer telefonu, czemu uległa. Teraz czeka na kontakt z jego strony. Cóż, niezbyt profesjonalnie to rozegrała, zapewne się nie doczeka.

A jednak. Zaprosił ją na kolację. Lukrecja się zgodziła. Po tej kolacji była następna. Znajomość się rozwijała. Albert się zakochał. Albert się oświadczył. Będzie ślub.

Czy ona podaje mu psychotropy?

Horn łapał się na tym, że Lukrecja coraz bardziej mu się podoba.

Dostrzegając wiele jej twarzy, również tych, których, jak przypuszczał, wcale nie zamierzała pokazywać. W myślach nazwał ją Luki, bo bardziej pasowała mu do gigancjary z podwórka niż do wytwornej damy, chociaż czasem nią bywała. Nazywała się wtedy Anna McKenzie, a w każdym razie przymierzała się do tej roli. Problem w tym, że damą nie bywa się czasami.

- Otrzymuje pan dwudniową przepustkę.

Phil objął twarz dłońmi.

- Źle się pan poczuł?

- Nie, ale to moja pierwsza przepustka od dziesięciu lat. Czy ktoś umarł?

- Przeciwnie, pańska siostra wychodzi za mąż. Gratulacje.

- Moja siostra? Dziękuję, to bardzo dobra wiadomość.

Philip Sanders nie zdradzał emocji. W myślach zastanawiał się, co to oznacza - wolność, wyrok, zdradę? Zwłaszcza gdy się nie ma siostry.

- Zaimponowałaś mi. - Horn wpatrywał się w Lukrecję. - To spore poświęcenie.

- Żadne. Nie zamierzam być jego żoną zbyt długo.

- Jestem bardzo ciekawy... wielu rzeczy. Najbardziej tego, w jaki sposób tak naprawdę uwiodłaś Alberta.

- To nie jest komplement.

- Wiem, wybacz, nie to miałem na myśli. Jesteś piękną kobietą i masz w sobie coś, co skrzętnie ukrywałaś podczas naszych pierwszych spotkań.

- Skoro tego nie zauważyłeś, to nie nadajesz się do pracy w tej branży. Szczególnie na kierowniczym stanowisku. - Lukrecja upiła łyk słabego drinka. Lekkie skrzywienie ust stanowiło kompletną recenzję spostrzegawczości Horna.

Przyciągnął ją do siebie.

- Czym szantażuje cię Twigg?

- Pomagam w sprawie. To wszystko.

- Musisz go bardzo nienawidzić. Co tak naprawdę między wami zaszło?

- Chcesz to wiedzieć, żeby również mnie szantażować? - Lukrecja uśmiechała się chłodno, grymas pogłębiał się. - I ty go nie kochasz, Paul - zaczęła się tak do niego pieszczotliwie zwracać - skoro chcesz go wysadzić z siodła. A sprawy szantażu zostaw

w spokoju. Do właściwego czasu.

- Lukrecjo. Zazdroszczę McKenziem.

- O, a ja mu nie zazdroszczę. Bierzmy się do pracy, kapitanie. Twigg ma swoje ciemne sprawy. Mam na to świadka, który będzie zeznawać. Ale na razie najważniejsze to przechwycić Phila. Trzeba to zrobić w trakcie ślubu.

- To bez sensu, Lukrecjo, każde zakłócenie ceremonii będzie zwracało uwagę. Spróbujemy tuż po, kiedy goście będą wsiadać do samochodów, w tłumie i zamieszaniu.

- Tak by było bardziej naturalnie. Tylko on tej chwili nie dożyje, Paul.

- Kto miałby go zabić?

- Ktoś od Twigga. On boi się Phila jak ognia. Nawet w krótkim momencie na wolności pułkownik mógłby udzielić wywiadu albo wykorzystać swoje wpływy do obnażenia kłamstw i fałszerstw. Przez wszystkie lata w odosobnieniu rozmyślał tylko o tym. Jestem pewna, że od dawna ma plan. My damy mu okazję.

- Jakie wpływy zachował skompromitowany Philip Sanders po dekadzie spędzonej w więzieniu?

- Zdziwiłbyś się.

Horn popatrzył na nią przeciągle.

- Ty jesteś jego jedynym wpływem, Lukrecjo, za to potężnym, prawda? I chcesz w to wciągnąć mnie.

- Sam się wciągnąłeś, grasz o dużą stawkę. Proszę cię tylko, żebyś pomógł mi wywieźć go w bezpieczne miejsce.

- Tylko wywieźć? Z wesela, na którym będę gościem i podczas którego będzie go pilnowała służba więzienna, tajni agenci, policja, dziennikarze i jeden czy drugi bandzior, który dostał na niego zlecenie?

- Proszę cię, bo jesteś dobry. Poza tym na weselu nie może się bawić zbyt wielu agentów, bo będzie nieudane. Więc jak się oddalisz, skład zostanie w sam raz. Możesz potem wrócić. O ile cię zaproszę, oczywiście, a może zaprosi cię mój mąż. Właściwie nie wiem, Paul, do kogo czujesz większy sentyment - do mnie czy do starego generała? Chyba nie masz już wyboru, pamiętaj o tym.

- Nie bądź śmieszna, Luki, nie próbuj mnie straszyć. Zawsze pozostawiam sobie wybór, dobrze o tym wiesz.

- Pobożne życzenia. Czy mogę ci ufać?

- Oczywiście, że nie możesz. Ja tobie też nie ufam.

Układ z Lukrecją denerwował Horna. Udawała łagodną, ale była zdesperowana. Właściwie w każdej chwili spodziewał się strzału w plecy. Ale to właśnie w niej go fascynowało. Plus uroda. Plus siła. Plus coś jeszcze...

- Och, Paul, nie mogę się doczekać, kiedy po tym wszystkim zaprosisz mnie na szklaneczkę whisky w swoim nowym gabinecie szefa agencji.

- Nie podchodź mnie w ten sposób, Lukrecjo, to jest tanie.

Uśmiechnęła się smutno.

- Najtańsze chwytły są zawsze najskuteczniejsze. A teraz wymyśl, jak Philip ma wejść do kościoła, a następnie niepostrzeżenie z niego wyjść.

- Może przeberzemy go za twoją ciotkę?

- Ja już nie mam ciotek, Paul. Ale mam pomysł. To ciebie przeberzemy. Sfingujesz postrzał Sandersa na początku ślubu, zanim zrobi to prawdziwy cyngiel. Następnie rzucisz się do pomocy, zatamujesz krwotok, odjedziecie do szpitala. Stamtąd ucieczka będzie już prostsza, przejmie go ktoś ode mnie. Z powodu zamieszania nie dojdzie do przysięgi małżeńskiej. Mój niedoszły małżonek uzna to pewnie za zły omen. Hazardziści bywają przesądni.

- Twoja wyobraźnia nie zna granic, Lukrecjo. Tylko że wtedy chyba za długo nie pożyczysz. Twigg nie jest idiotą.

- Ależ jest. Wierz mi, znam go dłużej niż ty.

Ta kobieta go przerażała. Nie chciał być narzędziem w jej ręku. Jej plan miał jedną poważną wadę: narażał go na prawie pewną śmierć. A zyski wcale nie były pewne.

- Obawiasz się, że zginiesz, Paul? Zanim zdążymy zrehabilitować pułkownika?

- My? Czy ty? Masz chyba coś w rękawie, skoro zamierzasz rozpętać taką burzę?

- Spokojnie. Mam wszystko, co potrzebne.

- Trochę w to wątpię.

- Pamiętaj, Paul, że zawarliśmy układ. Inaczej nie wyjechałbyś wtedy z mojego domu. Darowałam ci życie, mój drogi, choć do dzisiaj w to nie wierzysz.

Była taka ładna. I udaje, że subtelnie ze mną flirtuje - pomyślał kapitan. Szkoda.

- Lukrecjo, generujesz psychodeliczne sytuacje. Czy wszyscy mamy się pozabijać na twoim weselu?

- Nawet tak nie żartuj.

Okazało się, że łączą ich wspomnienia, jak to pracowników jednej firmy. Zatrudniano ich w różnych latach, ale spotykali tych samych ludzi, słyszeli podobne plotki, orientowali się w zakulisowych

zagrywkach i pomimo wszechobecnej klauzuli „ściśle tajne”, znali zaskakująco dużo szczegółów, które niechcący wyciekały do mediów. Bez wątpliwości typowali nawet sprawców tych przypadków. Brali też udział w oficjalnych imprezach organizowanych przez SAW, a także tych zleczanych w ramach akcji, kiedy jako agenci na służbie infiltrowali podejrzane środowiska. Rodzącą się gwiazdą w tych niezachodzących na siebie kręgach był kucharz, maestro Bertolli. Szturmem zdobywał salony – i jak głosi plotka – również spelunki, zapewniając gościom niezapomnianą oprawę i nieporównywalne z niczym doznania smakowe. Kolacje i obiady w jego towarzystwie były słynne. Maestro nie krył się bowiem na zapleczu kuchni, ale na równych prawach uczestniczył w imprezach razem z gośćmi, pełnił w nich tylko inną rolę. Bertolli był showmanem, co Horna do niego zniechęcało. Nie cenił wysoko celebryckich sztuczek i wołał po prostu zjeść porządnego hamburgera, zamiast przez cały wieczór słuchać wątpliwych dowcipów jakiegoś faceta po to, żeby na końcu zjeść upieczonego przez niego ślimaka. Okazja poznania mistrza pojawiła się podczas plenerowej imprezy charytatywnej, podczas której zbierano datki na pomoc prawną dla uboższych mieszkańców wschodniej dzielnicy i jednocześnie dobijano ciemnych targów poza jakąkolwiek kontrolą podatkową. Fiesta odbywała się pod patronatem gubernatora, który w ostatniej chwili odwołał swoje przybycie, tłumacząc się koniecznością pilnego spotkania z premierem, co dla wszystkich zgromadzonych było elegancką bujną na resorach. William McGregory wyraził przy tym głęboki żal i życzył hojnym donatorom wspaniałej zabawy.

Uczestnicy zasiedli przy ogromnych, wysoko płonących ogniskach. W obszernym, białym namiocie serwowano drinki. Grała orkiestra. Szlagiery łatwo wpadały w ucho i poprawiały nastrój. Nogi same wytupywały rytm. Odbywały się licytacje i loterie fantowe, niektórzy z gości prezentowali własne prace lub wystawiali na sprzedaż mniej lub bardziej wartościowe pamiątki. Główną atrakcję miał zapewnić maestro Bertolli. Kapitan spodziewał się grubawego, pięćdziesięcioletniego, egzaltowanego Włocha, kiedy pojawił się młody, rudowłosy, wysportowany, roześmiany chłopak. Ubrany w sportowym stylu, w wygodnych adidasach i z czarno-białą bandanką na szyi. Miał około trzydziestu lat, był Holendrem, nie Włochem, i nie ograniczał się do propagowania kuchni śródziemnomorskiej, ale z miejsca zaczął zabawiać zebranych opowieścią, jak to kosztował przepyszne oka barana na stepie w Mongolii. Byłoby to obrzydliwe, gdyby nie brzmiało tak fajnie. Opowiadał ze swadą, sam się przy tym

zaśmiewając, co wcale nie drażniło, ale zarażało otoczenie spontaniczną wesołością. Maestro zapowiedział kluczowy punkt wieczoru: pieczonego dzika. Panie skrzywiły się trochę, ale szybko okazało się, że wyczaruje coś odpowiedniego również dla stosującego dietę najdelikatniejszego damskiego podniebienia. Bertolli opiekał na ruszcie całego dzika, którego wcześniej przez cztery dni marynował w zalewie według własnego przepisu. Składała się z musztardy, rozmarynu, cząbrku, ziaren jałowca i ziela angielskiego, czosnku, liści laurowych, grubo mielonych soli i pieprzu, wytrawnego wina i spadziowego miodu z maleńkiej, zaprzyjaźnionej pasieki. Mięso było gęsto naszpikowane wędzoną słoniną. Dzik powoli obracał się na żeliwnym ruszcie umieszczonym nad płomieniami ogromnego ogniska. Wysokość rusztu można było sprytnie regulować, dzięki czemu w pierwszej fazie Holendrowi udało się szybko opiec mięso w bardzo wysokiej temperaturze, aby później, obracając je powoli już wyżej, gdzie nie dosięgały żywe płomienie, pozwalać mu przez cztery godziny dochodzić, fundując przy okazji niecodzienny spektakl gościom. W chłodnym powietrzu unosiły się kręcące w głowie aromaty, apetyty wzmagaly się z każdą wpływającą minutą.

Sekretem maestro było to, że nie bał się pracy. Własnoręcznie ukręcił musztardę w ilości potrzebnej do posmarowania grubą warstwą całego dzika, ucierając ręcznie w wielkim, mosiężnym moździerzu ziarna ciemnej i białej gorczycy, miód, białe wino, sól i otarte skórki z cytryn. Sam uwędził słoninę w jałowcowo-wiśniowym dymie, obficie nacierając ją wcześniej ususzoną przez siebie i pokruszoną papryką. Sam przydźwigał tu dzika i nadział go na ruszt. Sam go wcześniej z największą delikatnością oprawił. Pracując, dziękował zwierzęciu za jego ofiarę i jednocześnie cieszył się z tego, jak uświetni wieczór i ile błogich uśmiechów wywoła na twarzach biesiadników. Nie tracąc czasu, przygotował sałatkę dla dam, w ekspresowym tempie opiekając bakłażany i ziemniaki, krojąc pomidory, papryki i cukinie, rozłupując twardą skorupę dyni, rozrywając na spore kawałki liście cykorii i roszponki. Śmiał się do nich, gładził błyszczące skórki, z ekwilibrystyczną zręcznością wykrawał nożem zadziwiające kształty. Ostrze szurało o wielką drewnianą deskę, dojrzałe warzywa trzaskały cichutko rozdrabniane na aromatyczne, zielone, żółte, pomarańczowe i czerwone kawałeczki, sok wyciekał, brudząc blat prowizorycznego stolika. Te delikatne dźwięki było słychać, pomimo panującego wokół hałasu. Garściami dosypywał zioła, gałązki kolendry, pietruszki, bazylii i oregano, rozgniatłał w silnych palcach szpilki rozmarynu, wyciągając z nich zapach do ostatniej kropelki

eterycznego olejku, miazdzył w opuszkach listeczki tymianku. Dorzucał jadalne kwiaty nasturcji i fiołków, kiedy układał je na talerzach, pieśczośliwie muskał ich płatki, dmuchał w nie, by się w pełni rozłożyły i dopełniły fantazyjne kompozycje. Polewał świeżo wyciśniętą, mętną, nieprzefiltrowaną oliwą. Tańczył przy nich, śmiał się do nich, podziwiał je.

Kobiety były olśnione, próbowały sałatki, przewracając oczami i szepcząc:

- Wyborna! Nigdy czegoś takiego nie widziałam!

Ten szczupły, niepozorny facet o nieregularnych rysach twarzy i lśniąc białych zębach zaczarował cały tłum. Kochał życie, kochał jedzenie, ludzi, biesiadę i podróże. Doceniał smak i piękno. Celebrował życie. Na początku był zbyt biedny, aby kupować wszystkie składniki na miniprzyjęcia, które zaczął wyprawiać dla klientów za niewielkie pieniądze. Zioła i warzywa, które serwował gościom, pochodziły z ogródka jego holenderskiej niani. Klientela rosła, zagarniał więc pod swoje miniuprawy kolejne grządki. Z miłości do wychowanka starsza pani rezygnowała z kolejnych kwiatowych rabat, w końcu nawet z ukochanego klombu róż, zastąpionego buraczkami, rzodkiewką i marchewką. Nikt nie mógł uwierzyć, że tak wspaniałe, zdrowe i okazałe warzywa rosną sobie na słoneczku w babcinym ogródku bez śladu nawet chemicznych dodatków. Niania była dumna z rozwoju swojego uroczego urwisa, który przybrał groteskowy pseudonim - ciągle nie mogła go zapamiętać - aby być bardziej rozpoznawalny w świecie, do jakiego z wdziękiem i brawurą aspirował. Pod jego nieobecność podlewała grządki i pielęgnowała je, z trudem wyciągając z zagraconej ogrodowej szopki a to grabie, a to szpadle, a to sfatygowane taczki. Odsuwała przy tym niecierpliwym kopniakiem pałętające się pod nogami stare, sfatygowane, odrapane, drewniane chodaki, symbol tradycji i jej trudnej młodości. Jakoś ich jeszcze do tej pory nie spaliła. Szkoda, że nie miała wtedy odwagi się zbuntować. A teraz jest za późno. Bardzo chciała, żeby powodziło mu się lepiej niż jej. Z rozczuleniem wspominała dni, kiedy mały Daan Visser biegał tu radośnie i co chwila powtarzał, że ją kocha. Najsłoneczniejsze dziecko świata. A kiedy już stał się rozchwytywanym restauratorem i stać go było, żeby odkupić sąsiednią ziemię pod jej nowy, wielki ogród lub wynieść się z uprawami do wielohektarowego gospodarstwa, oddając jej użyczoną ziemię pod umiłowane kwiaty, odmówiła, mówiąc, że prezentów się nie odbiera.

Z czasem Daan dojrzał nawet do tego, żeby dobrowolnie usuwać się w cień, zamiast skradać show przynależne nowożeńcom, laureatom prestiżowych nagród i dostojnym jubilatam, chyba że

wyraźnie sobie tego życzyli. Tracąc nieco na indywidualności, poszerzył krąg odbiorców i z fascynującego kucharza przemienił się w sprawnego managera.

Do tej pory maestro Bertolli, właściciel prężnie się rozwijającej, elitarnej firmy cateringowej, spełniającej wszelkie oczekiwania klientów odnośnie do menu i atmosfery, kiedy wydaje kameralne przyjęcia dla bliskich, korzysta ze składników rosnących na grządkach ogródeczka swojej niani.

Horn spróbował wreszcie tego dzika. Rozpływał się w ustach.

Kapitan starał się nie tracić czujności. Jego obawy rosły, plan nakreślony przez Annę się nie kleił. Metodycznie realizowała zadanie, ale relacja narzeczonych była dziwna. Albert stał się uprzejmy i stonowany. Przestał pić i nie ćpał. Z własnej inicjatywy podarował Lukrecji gustowny naszyjnik z szafirami. Pokazali się razem na wyścigach konnych, na których wyjątkowo nie obstawiał. Dla bezpieczeństwa Lukrecja udawała idiotkę, chcąc przekierować jego frustrację choćby odrobinę dalej od siebie. Wyczuwała takie rzeczy, Horn również. Nie do końca wiedział, o co chodzi. Obserwował ich z dystansu. Coś tu nie grało. Uruchomił instynkt.

Przygotowania kapitana do akcji, a Lukrecji do ślubu trwały w najlepsze. Wydawała się nimi autentycznie pochłonięta, jakby zapomniała, co ich czeka. Jeżeli ktoś z boku obserwował jej poczynania, musiał dać się oszukać. Z zapalem biegła do renomowanej pracowni krawieckiej na kolejne przymiarki sukni. Jej model był owiany tajemnicą. Wiadomo, że projekt powstał w pracowni słynnego kreatora mody, w czasie gdy był on już bardzo chory i chciał pozostawić po sobie coś wiekopomnego. Lukrecja wybrała też ledwie zauważalny wzór na serwetkach, kształt i natężenie połysku sztućców, jakoś porcelany, z której wykonana była zastawa. Ważyła w dłoniach najmniejsze salaterki, krzywiąc się, że są za ciężkie i nie przyjmując do wiadomości argumentacji, że podnosić je będą jedynie kelnerzy, wyłonieni w drodze castingu na modelo-karateko-specjalistów od protokołu dyplomatycznego i dworskiej etykiety. Ustaliła menu, choć miała z tym największy kłopot – aż strach wgłębiać się w jakość i różnorodność potraw połączoną z maleńkością porcji. Szkoda tego wszystkiego, gdy się pomyśli, że najprawdopodobniej nikt niczego nie zdąży spróbować, cała wykwintność pójdzie do kosza, a najbardziej renomowana firma cateringowa w kraju zostanie splamiona uczestnictwem w tym jakże podejrzanym weselu i jako przynosząca pecha straci dobrą sławę na co najmniej kilka następnych lat. Żal maestro Bertolliego.

Horn uważał, że Lukrecja nie grała *fair*. Był trochę zdumiony jej

bezwzględnością, przecież tak lubiła młodego Holendra, zachwycała się jego sztuką kulinarną, po co świadomie robić mu coś takiego? Może jednak nie trzeba żałować, może przeżył chwile swojej największej chwały, ciesząc się, że to on właśnie został wybrany, dostąpił tak prestiżowego wyróżnienia? Każdy ma swoje szczyty i nic nikomu do tego, jak zapiszą się w naszej małej historii w śmiesznie łudzacy i zwodniczy, tak zwany obiektywny sposób.

Póki co Anna akceptowała detale wystroju sali, odrzucała receptury tortów oferowane przez najszynniejszych cukierników, grymasiła, analizowała z McKenzim listę gości i wydawała się szczęśliwa. Nie chciałyby, żeby Albert czuł się rozczarowany – powiedziała kiedyś Hornowi, nie licząc się zupełnie z rozczarowaniem, jakie on w owej chwili poczuł, doceniając jednakowoż jej szczerść. Nie uważał, żeby to wszystko wymagało aż takich ceregieli. Twigg wiedział, na kogo stawia, wierzył w nią na swoje nieszczęście. I być może na nieszczęście jednego z najlepiej się zapowiadających agentów w SAW.

Paul miał jej do przekazania kilka informacji, poprosił o spotkanie.

- Nie teraz, jestem zajęta.

- Czy to coś ważnego?

- Jeszcze się pytasz? Dobieram bukiety.

Odebrało mu mowę.

- Czy nie zajmuje się tym firma organizująca śluby, Lukrecjo? Chyba po coś ją wynajęłaś, koszmarnie snobistyczną i drogą zresztą.

- Och, firma, firma. Sam wiesz, że trzeba polegać na własnym guście. Najlepiej sprawdza się minimalizm, zbyt wiele pomieszanych gatunków stwarza wrażenie chaosu. No i mowa kwiatów, znasz się na niej trochę?

- Nie sądzę.

- Zastanawiam się nad motywem przewodnim. Konwalie – symbol niewinności czy dalej – symbol radości życia?

Doprowadzała go do szału.

- Wybierz dalej, Luki, z konwaliami nie ma co się wygłupiać.

- Nie musisz być chamem.

No i pięknie!

Niespodziewanie dla Lukrecji najtrudniejsze okazało się przebywanie sam na sam z nowym narzeczonym. Oczywiście dawniej uczestniczyła w podobnych akcjach, ale czym innym było

uwiedzenie kogoś, a czym innym stanięcie oko w oko z ofiarą niktężniejszej mistyfikacji, w sytuacji odartej z wszelkich pozorów. Za nic nie chciała, żeby uważał ją za współtwórczynię tej gry, tym bardziej że dostrzegała w nim niebezpieczne rysy. Był jak ranione zwierzę odziane we frak. Chwilami bała się go bardziej niż Guna. Nieraz już najmisterniej utkany plan runął przez nagłą reakcję osoby, której się pierwotnie nie doceniało, tak nie mogło się zdarzyć, nie teraz! Wolała mieć McKenzię po swojej stronie, zawrzeć z nim przymierze ofiar, ukazać niby-prawdę o własnym uwikłaniu, nijak jednak nie mogła go rozgryźć. Pozostało *va banque*, bez większej nadziei na znalezienie wspólnego mianownika.

- Albercie, postaraj się uwierzyć. Ja również zostałam do tego zmuszona.

- Ubolewam nad tym.

- Wiem, że to koszmar, aż trudno pojąć, że dzieje się naprawdę. Przykro mi, że zostałeś narażony na takie nieprzyjemności.

- Nazywasz to nieprzyjemnościami? Chyba niezbyt głęboko przeżywasz ów koszmar, Anno.

- Staram się nie poddawać. Oboje zostaliśmy wmanewrowani i przejdziemy przez to razem. Jeśli pomożesz. Pozwól mi.

- O tak, kolejny szantaż. Jak wiele ich ostatnio, prawdziwy wysyp. - Albert wykrzywił drwiąco usta.

- Żaden szantaż. Chciałam powiedzieć - jeśli się zgodzisz. Żle się wyraziłam. Spróbuj mi chociaż trochę zaufać, daj szansę tej sytuacji.

- Ależ ufam ci, moja miła, przyszła żono, i doskonale rozumiem, nie chce mi się tylko z tobą rozmawiać.

- Niepotrzebnie mnie obrażasz. I tak jest wystarczająco ciężko.

- Wybacz, proszę. Pozwól, że się pożegnam.

Był jak skała. Przezroczyta, pancerna szyba, od której się odbijała. Bardzo chciała do niego dotrzeć. Podskórnie obawiała się jego lodowatego dystansu, choć musiała przyznać, że był imponujący. Albert, urażony w swej godności, o profilu angielskiego lorda, zaskakiwał nieprzystępnością. Nie sposób było przedrzeć się przez tę maskę obojętności. Ale Lukrecja nie odpuszczała. Potrzebowała go. Intuicja podpowiadała jej, że senator jest osobą, z którą trzeba postępować najostrożniej. Na razie starała się nie narzucać, choć musieli zachowywać pozory. Upokarzające przedstawienie pod publikę.

Mieli kilka wspólnych wyjść. Przed jednym z nich dostała w prezencie naszyjnik, bardzo drogi i piękny, nie spodziewała się tego.

- Dziękuję, ale to chyba zbyt cenne.

- Skoro jesteś moja narzeczoną.
- Wystarczy, że poprzestaniemy na tym, co niezbędne.
- Zgadzam się. Tak właśnie robimy. Nie zapomnij przez cały wieczór trzymać mnie za rękę. Ostatnio tego unikałaś.
- To trochę krępujące.
- Trzymanie mężczyzny za rękę krępujące? Dla ciebie? - znów ten lekko drwiący uśmiech. Lukrecja wychwyciła go i nie pozostawiła bez reakcji.
- Krzywdzące i niegrzeczne. Może nawet prostackie, senatorze. Uniósł brwi z udawanym zainteresowaniem.
- Tak pomyślałeś teraz o mnie? Nie znasz mnie, niczego o mnie nie wiesz.

W odpowiedzi dostała kpiący grymas, tym razem ostentacyjny. Ten facet nie był idiotą, jak o nim mówili, co akurat wcale Anny nie cieszyło. Nie sprawiał też wrażenia uzależnionego degenerata, przeciwnie, zachowywał trzeźwość i nienaganne maniere. Tak naprawdę miło było spędzać czas w jego towarzystwie, choć cały kontekst pozostawiał wiele do życzenia.

- Na kilka tygodni zostawię cię samą. Nie gniewaj się, nie chcę obarczać cię wszystkimi przygotowaniami, przydzielę ci kogoś do pomocy. Kilka osób, jeśli będzie trzeba. Pozostaniemy w kontakcie.

- Oczywiście. Nie martw się o mnie, chętnie się wszystkim zajmę i tak nie mam niczego innego do roboty.

Jego niedowierzający ruch warg. Irytujące.

- Dokąd się wybierasz, jeśli to nie tajemnica? A może nie powinnam pytać?

- Do kliniki odwykowej. Krótki program terapeutyczny. Chcę się oczyścić przed weselem.

Anna osłupiała. To było jego jedyne szczere wyznanie, pierwszy głębszy kontakt. I ostatni.

- Powodzenia, Albercie. Cieszę się, że się zdecydowałeś, chociaż nie wydaje mi się, żebyś tego potrzebował. Nie widziałam nawet, żebyś palił cygara.

- Oszczędzajmy puste słowa - przerwał oschle. - Jeremi, kamerdyner, przekaże ci później mój prywatny numer telefonu, w razie jakichś kłopotów...

- Przecież znam twój numer.

- Do zobaczenia, Anno - skłonił się lekko.

Długo nie będzie okazji, żeby z nim porozmawiać. Ucieka od niej, wymyka się. Gdyby nie okoliczności, chyba naprawdę warto byłoby mieć takiego narzeczonego.

- Albercie, to nie moja wina!

Stał już w drzwiach, gdy Lukrecja zdobyła się wybuch.

Profesjonalnie wyreżyserowany, po policzkach pociekły jej łzy, zatrząsły się dłonie.

- Wiem, że masz do mnie wielki żal, ale jestem ofiarą Twigga. Masz prawo być wściekły, czuć obrzydzenie, ale nie przelewaj tego na mnie, nie pozwólmy tym kanaliom manewrować naszym życiem, to nie będzie trwało wiecznie, nie dajmy się zniszczyć! Proszę cię... Błagam... Czy potrafiłbyś się zdobyć na... czy moglibyśmy spróbować się zaprzyjaźnić? - chwyciła go za rękę. Pochylił się i z namaszczeniem ucałował jej dłoń.

- Postaraj się zapanować nad przedślubnymi emocjami, Anno. Są zupełnie normalne, podobno przeżywa je każda panna młoda. Każę Jeremiu dostarczyć ci uspokajające kropelki, zażyj je, nie więcej niż dwadzieścia pięć, inaczej otumaniają. Dbaj o siebie! - słowom tym znów towarzyszył ironiczny uśmiech.

Cholera!

- Ty też dbaj o siebie, Albercie.

Horn siedział na wysokim, barowym stołku i obracał w dłoniach prawie pełną szklankę whisky. Nie dawał mu spokoju zaobserwowany moment słabości Anny Litewski. Niósł ze sobą zbyt wysokie ryzyko. Nie pasował do niej. Ani do ich planów. Sprzeczne sygnały. Nie lubił ich. Wahał się. I tęsknił. Kątem oka obserwował uwijającą się barmankę. Ładną, około trzydziestoletnią szatynkę obdarzoną wyjątkowo obfitym biustem. Właściciel knajpy najwyraźniej wiedział, kogo zatrudnić, żeby biznes kręcił się lepiej.

- Coś panu podać? - zapytała przyjaźnie.

- Dziękuję, jeszcze mam - wskazał na niedopity alkohol.

Oddaliła się na chwilę i raz po raz zerknęła na niego spod oka. Paul rozmyślał nad swoją pogmatwaną sytuacją. Na ile wszedł w nią świadomie? Czy był jeszcze czas, żeby się wycofać? Bez względu na cenę już tego nie chciał. Musiał wyglądać na smutnego gościa, bo dziewczyna nie dawała za wygraną.

- Zły dzień? - zagadnęła zawodowo. Miała w sobie pewien nieoczywisty rodzaj ciepła niebezpiecznie skłaniającego do zwierzeń. Właściwa osoba na właściwym miejscu.

- Bywały gorsze - uśmiechnął się lekko.

Szatynka świetnie nadawała się do funkcji, którą tu pełniła. Czy była to jej wymarzona rola? Pewnie nie, ale i tak starała się za bardzo, z tym zapalem niespełnionych młodych kobiet, wiecznie odczuwających przymus udowodnienia sobie i światu, że są coś warte. Ta również chciała być najlepszą barmanką w okolicy,

choć w głębi serca marzyła pewnie o grze na wiolonczeli albo prowadzeniu w telewizji tanecznego show. Z różnych względów nie mogła tego robić, więc chciała być chociaż najwspanialszą pracownicą tego lokalu. Czekwała w nienachalnym pogotowiu, w każdej chwili gotowa wsłuchać się w opowieści Paula. A jeśli wolałby być sam, natychmiast oddałaby się na drugi koniec kontuaru. Samotność w takich przybytkach ma swój urok, z którego Horn lubił czasem korzystać. Stołki obok obsiedli młodzi maklerzy, niepotrafiący odpuścić nawet w tym miejscu, miejscowi żule, wyluzowani zawsze i wszędzie, pragnący anonimowości drobni przestępcy i szukający tego samego przedstawiciele policji. Kobieta za ladą miała pełne ręce roboty. O zwierzenia aż się prosiło, płynęły w jej kierunku zewsząd, a gdy jej i tak nad wyraz podzielna uwaga nie mogła już tego wszystkiego ogarnąć, zwracały się rwanymi strumieniami w stronę sąsiadów reprezentujących przytoczone powyżej profesje.

Agent był na to zbyt doświadczony i trzeźwy, nieraz zdarzało mu się wmieszać w ową barową ciżbę konfidentów pracujących na rzecz nie wiadomo kogo. Ale dziś zajrzał tu prywatnie i był naprawdę smutny. Zgrabne ręce dziewczyny zwinnie nalewały piwo, mieszały drinki, przyjmowały należności i chowały napiwki za stanik. Rzęsy trzepotały filmowo, aż dziwne, że chciało jej się wykonywać wszystko z takim zaangażowaniem. Widocznie sporo zarabiała. Oglądał to przedstawienie z podziwem wzmocnianym nieśpiesznie sączonymi kolejnymi szklaneczkami whisky. Zasłużoną sławę uwodziciela Paul Horn zdobył właśnie wśród tego typu kobiet: młodych, ładnych, mądrych, wartościowych i w jakże niewielkim stopniu akceptujących siebie. Ich kompleksami można by wybrukować całe piekło. Gdyby znalazł się mędrzec, który zdołałby otworzyć im oczy na to, jak głęboko same się krzywdzą, jak tracą czas i szanse, bez sensu zatruwając sobie piękne lata, stałby się feministycznym bohaterem wszech czasów. Na szczęście dla kapitana, ktoś taki jeszcze się nie znalazł i jako substytut bywał potrzebny on: młody, inteligentny, wysoki, tajemniczy i szarmancki. W jego rozumiejących oczach można się było przejrzeć, żeby choć na chwilę złapać większą równowagę, odczuć przyjemność istnienia, chwilę psychicznego oddechu. Stary, sprawdzony numer i kozacka sława. Nigdy się nie angażował. A one i tak sobie poradzą. Za kilka, kilkanaście, kilkadziesiąt lat, bogatsze o kilka kilogramów, długów i rozwodów docenią wreszcie siebie, niektóre być może nawet pokochają. Będą się dziwiły, dlaczego nie wcześniej i do czego na pewnym etapie życia był im potrzebny taki powierzchowny dupek jak Horn. Ale zanim do tego dojrzeją, upłynie jeszcze trochę

czasu, który kapitan spędzi bardzo przyjemnie. Na razie barmanka starała się przykuć jego uwagę, a on z ulgą przypomniał sobie, że świat aż roi się od atrakcyjnych kobiet, nie tak brawurowo inwazyjnych i irytująco pewnych siebie jak Lukrecja. Rzucił suty napiwek trochę rozczarowanej dziewczynie i wyszedł na zewnątrz knajpy odprężony, nieco chwiejnym krokiem. Kilka godzin osobliwej medytacji w zadymionej speluncie nie na długo, ale jednak pozwoliło mu oderwać dręczące myśli od wwierconych boleśnie w czaszkę wątpliwości piętrzących się wokół Anny Litewski.

Lukrecja uznała nadejście niespodziewanego zaproszenia za zapowiedź komplikacji. Przyjęła je z przejaskrawioną wdzięcznością, licząc na to, że dystyngowany starszy pan, wyglądający na staroświeckiego, zaufanego ochmistrza, ośmieli się zasugerować swojej mocodawczyni, lady Sarze McKenzie, jak bardzo ucieszyła się jej synowa *in spe* z możliwości wspólnego wypicia popołudniowej herbaty. Natychmiast skontaktowała się w tej sprawie z Albertem, ale jego prywatny, alarmowy numer telefonu pozostawał głuchy na próby połączeń. Lukrecja nie lekceważyła nigdy siły związków matka - syn, dodatkowo obserwacja na tym polu Kornelii Huckelberry przejmowała ją przerażeniem. Dobrze pamiętała, jak umówiły się kiedyś na śniadanie w przytulnym bistro przy metrze. Agentka przyszła wcześniej i zajęła miejsce przy szerokim oknie, skąd mogła obserwować zarówno wnętrze lokalu, jak i ruchliwą ulicę, liczyć wchodzących i wychodzących gości i zajmować się podświadomie innymi tego typu czynnościami, skutecznie wbitymi w jej głowę na branżowych szkoleniach. Przy wyjściu z metra uwagę przykuwał stojący nieruchomo chłopak. Czysty, porządnie ubrany, z tekturową tabliczką z napisem: „Jestem głodny, zbieram na bułkę”. Banał. Niespodziewanie wśród tłoczących się obok żebraków, młodych ludzi grających na gitarach i dorabiających bezrobotnych wciskających ulotki przechodniom, to on właśnie cieszył się największą popularnością. Z metra wysypywali się ludzie śpieszący się rano do pracy, biegli w pośpiechu, co chwilę jednak obok chłopaka zatrzymywała się jakaś kobieta w średnim wieku i dzieliła się z nim własnym śniadaniem lub pieniędzmi. Te, które mijały go obojętnie, zwracały, jakby po czasie uświadamiając sobie, kogo spotkały po drodze. Niektóre wskazywały na bistro, proponując, że mu postawią ciepły posiłek. Wystarczyło spojrzeć w oczy młodzieńca, żeby zorientować się, że jego zbiórka ma inny cel. Nie

czuć było od niego alkoholu, raczej drogie, męskie perfumy, które utrzymywały się na ciele pomimo długiej i ostrej balangi. Nieruchome, szerokie źrenice, blada twarz i modne ciuchy wskazywały, że jest to synek z bogatego domu, do nieprzytomności naćpany i gromadzący dla zabawy brakujące drobniaki na zakup kolejnej porcji amfy. Wyglądał dostatniej od swoich sponserek i kompletnie nie zabiegał o ich względy. Lukrecja nagle pojęła ten fenomen. Te kobiety wcale nie były idiotkami. Były matkami dzieci w podobnym wieku. Patrzyły na ładnego chłopca i w ich serca wkradała się trwoga: a gdyby tak moje dziecko było głodne? Żebrało? Czy ktoś dałby mu jeść? Może jeśli teraz, na wszelki wypadek dam mu chleb, zaczaruję rzeczywistość i kiedyś, w podobnej - tfu! tfu! - sytuacji jakaś litościwa dusza wspomóżę mojego syna lub córkę? I jak to matki, wbrew temu, co widziały, miały cichą nadzieję, że młody człowiek jest naprawdę trzeźwy i głodny.

Z pieczary przejścia podziemnego wynurzyła się potężna postać w niemodnej spódnicy. Pani Huckelberry zatrzymała się przy chłopcu i coś do niego mówiła. Nie słyszał lub nie rozumiał, pozostawił jej słowa bez reakcji. Wyciągnęła więc z torebki banknoty i wcisnęła mu do kieszeni. Starczy na obiad w Sheratonie - pomyślała Lukrecja. Kornelia wahała się przez dłuższą chwilę, obserwując narkomana, który już chyba kompletnie odleciał. W końcu wyciągnęła wielką dłoń i pogłaskała go szybko i czule po grzecznie ułożonych, falistych blond włosach, a potem skierowała się w stronę baru.

Siadła ciężko naprzeciwko przyjaciółki, jeszcze przez szybę szukając go wzrokiem. Anna nie odważyła się skomentować jej zachowania, choć miała na ten temat coś do powiedzenia. Naiwność pani Huckelberry zaskakiwała ją nieprzyjemnie w najmniej oczekiwanych momentach i warto by było nad nią popracować. Starsza kobieta była świadoma tego, że agentka widziała wszystko, ale niczego nie mówiła, bo nie chciało jej się odzywać.

Po śniadaniu wybrały się na cmentarz. Ekscentryczna forma spędzania wolnego czasu, godna tej nietuzinkowej pary. Inicjatywa leżała po stronie starszej kobiety. Wśród swoich starań nie omijała cmentarzy, błędziła po ich niezliczonych alejkach, studiowała napisy na setkach nagrobków. Nigdy nie przychodziła z pustymi rękami. Przynosiła wianki kwiatów, dźwigała w koszyku tuziny świec. Nie odwiedzała znajomych grobów.

- Czego ty tu szukasz? - odważyła się w końcu zapytać Anna, drżąc na myśl, jaką może otrzymać odpowiedź. Znała tajemnicę Kornelii, ciężką i duszącą, która zmieniła jej życie w koszmar, a ją

samą w dziwaczne monstrum owładnięte manią nieustających poszukiwań.

Czy pani Huckelberry liczyła na to, że przez przypadek trafi na miejsce spoczynku Emila, swojego zaginionego w niejasnych okolicznościach syna? Czy statystycznie było to możliwe? Czy nawet, gdyby gdzieś na świecie była jego mogiła, Kornelia naprawdę przypuszcza, że jest ona oznaczona, opisana, wymurowana? Czy nie lepiej szukać bezimiennego dołu w środku dalekiego lasu? Ale odpowiedź była całkiem inna.

- Szukam poparcia. Szukam go wszędzie.

- Wśród nieboszczyków? - po plecach Lukrecji przeszedł dreszcz. Pani Huckelberry nie zdradzała żadnych objawów choroby psychicznej, co tym bardziej mogło być niepokojące.

- Słyszałaś o obcowaniu świętych?

- Coś tam słyszałam. Lektury religii. Dawno temu.

- Mogą dla nas sporo zrobić. Więc chodzę i proszę, żeby się rozejrzeli. Z góry mają lepszą perspektywę.

- Wysłuchują cię?

- Tak. Popatrz, kim jestem. Ja, zwykła, zahukana gospodyni domowa. Mogłabym jedną ręką skrócić kark bandycie, który miałby udział wiesz w czym.... - głos uwiązał jej na chwilę w krtani.

- Tak, tak, wiem - pośpieszyła z wybawieniem Lukrecja.

- Spójrz, jaką przesłałam drogę. Ona doprowadzi mnie już wkrótce do Emilka. - Wąty ślad uśmiechu wpełzł jej na usta, gdy wypowiedziała najdroższe imię.

Od tamtej pory agentka towarzyszyła czasem przyjaciółce w jej wyprawach. Uznała, że ten dziwaczny objaw postępującego szaleństwa, dopóki nie dołączą do niego jakieś inne, nie stanowi dla niej zagrożenia. Wolą ją mieć jednak pod kontrolą i z bliska obserwować, czy znajdująca się najbliżej niej osoba nie odleci nagle w niepokojące rejony, z których zaczną sprawiać kłopoty. Pani Huckelberry była jej wdzięczna za asystę i wsparcie, wierzyła bowiem w zdwojoną moc modlitw. Wspólnie pokonywały brukowane i piaszczyste ścieżki, dolewały wodę do wazonów, ustawiały kwiaty, zapalały znicze. Nostalgiczne kolory zgaszonego fioletu, przywiedłego rózu, podgniłej bieli i ciemnej zieleni wyciszały oczy rozbiegane po ekranach tabletów i telefonów. Zapach mokrych liści, zbutwiałej ściółki, snującego się dymu, kopcących knotów, pierzastych chryzantem i topionego wosku koił rozdygotane serca. Chłodny wiatr przypominał, że żyją, dopóki - jak wszyscy - nie spotkają się tutaj, w przypadkowym towarzystwie, przy jednej z zadbanych alejek. Intymne, potężne przeświadczenie o wieczności. Zwalniały. Cichły. Tak to wyglądało, za każdym razem

nie gorzej i nie lepiej. Czyli wciąż możliwie do akceptacji.

Kornelia brała się czasem za sprzątanie jakiejś zapuszczonej mogiły, zamiatała ją wokół, obmywała płytę, wynosiła do śmietnika zeszcłe wiązanki i wypalone skorupy świec.

- Czemu to robisz? - dociekała Anna.

- Czuję, że to może być on.

- Kto? - znów robiło się nieprzyjemnie.

- Skąd mam wiedzieć? Ktoś wpływowy - odpowiadała gospodyni, a widząc nierozumiejący wzrok koleżanki, wyjaśniała: - Nigdy nie wiadomo, kto ma większe chody tam na górze. Na pewno nie ten, kto ma największy grób. Dlatego sprzątam u nich czasem, może na takiego trafię. Ktoś wreszcie mógłby mi pomóc. Przeprowadzić go tu albo mnie do niego. Emilka, znaczy się. To wszystko jedno.

- O, popatrz - Pani Huckelberry wskazała kurhan, przy którym spora grupa mężczyzn w kapeluszach i czarnowłosych kobiet w długich, kolorowych, sukniach piła wódkę i częstowała się przekąskami. - Jak go wspominają. Ten musiał mieć uznanie i tu, i tam.

- Żebyś wiedziała - potwierdziła Anna. - Wiem, kto tam leży. Ale jej przyjaciółki nie interesowały nazwiska.

- No raz dwa, oni czekają na modlitwę, nie traćmy czasu. - Kornelia szeptała pacierze. - Ty też. - Mocno szturchnęła Annę w bok. - Niecierpliwiła ją beczyność.

Lukrecja posłusznie szeptała coś pod nosem.

- Głośniej i z serca! - upominała pani Huckelberry. - Co tam mruczysz? Nie umiesz odmówić *Zdrowaś Mario*? To powiedz chociaż coś od siebie, bo się nie będzie liczyło - złościła się na trochę wypłoszoną Annę.

- Długo tak jeszcze zamierzasz?

- Do skutku. Nie musisz tu ze mną przychodzić, wiem, że cię to nudzi i nie wierzysz w nic, co ci powiedziałam.

Litewski zbyt ją szanowała, żeby zaprzeczać.

- Jesteś jeszcze bardzo młoda i niecierpliwa - ciągnęła pani Huckelberry - Trudno czerpać satysfakcję z działań długich i żmudnych, dlatego ludzie często rezygnują w połowie drogi. A jednak to przeważnie one prowadzą do sukcesu, który ma później wielu ojców. Jak się Emilek znajdzie, to też pewnie powiesz, że go ze mną wymodliłaś.

Nie tylko. Anna nie miała serca powiedzieć znękaney matce, że prowadząc poszukiwania, trafiła kiedyś na coś - ślad śladu, jakże przykry, choć zaświadcający, że po Emila Huckelberry'ego wcale nie trzeba wybierać się w zaświaty. Musiała to sprawdzić,

wymagało to gruntownego śledztwa, nie chciała rozrywać potężnego serca niesprawdzoną informacją. Chociaż ono i tak pięknie. Gdyby się bowiem potwierdziła, okazałoby się, że poszukiwany syn zatracił się w hazardzie gdzieś w Argentynie, nie czując w ogóle potrzeby skontaktowania się ze swoją matką.

Dlaczego nie pomyślała o tym wcześniej? Albert nie słyszał wprawdzie z pielęgnowania z pietyzmem więzów rodzinnych, ale ta jedna, konkretna relacja mogła zaważyć na całym przedsięwzięciu. Oddzwonił, kiedy już prawie wychodziła do taksówki.

- Co się dzieje, moja droga? - zapytał sztywno. - Czym mogę ci służyć?

- Witaj, Albercie, jak się masz? Brakuje tu ciebie.

Dystans, który wytwarzał, sprawiał, że niełatwo było prowadzić z nim błahą rozmowę.

- Dziękuję, znakomicie. Mam nadzieję, że ty również dobrze sobie radzisz. Miło mi słyszeć ciepłe słowa, ale domyślam się, że zadzwoniłaś nie tylko po to, żeby przekazać mi pozdrowienia.

- Rzeczywiście, jest pewna sprawa. Wybieram się właśnie do twojej matki, dziś rano przysłała mi zaproszenie.

Po drugiej stronie zapadła długa cisza. Senator rozważał coś, ciekawe, czy położenie Lukrecji, czy też sytuację, w której bez wyjaśnień czy choćby zdawkowego komentarza postawił swoją matkę.

- A więc już dotarła do ciebie - powiedział w końcu. - Cóż, jakoś to przetrwasz.

- Ależ nie zrozum mnie źle, Albercie, bardzo się cieszę z możliwości poznania lady McKenzie, chciałam cię tylko poprosić o wskazówki, wiesz, denerwuję się troszeczkę, chciałabym korzystnie zaprezentować się w jej oczach.

- Wybacz, moja droga, proszę mnie właśnie do brydża.

A może pokera? - pomyślała Anna, słysząc jednocześnie, że senator ucina rozmowę i rzuca zniecierpliwionym tonem:

- Życzę ci siły, moja droga. Ach, i przypominam ci, że prosiłem, żebyś dzwoniła pod ten numer, kiedy będziesz mi miała do powiedzenia coś ważnego.

W stylowych drzwiach powitał Annę kamerdyner. Oznajmił, że pani hrabina oczekuje w salonie.

Nie do uwierzenia - pomyślała agentka - jak na starych filmach.

Dalej było tak samo. Sceneria secesyjnego pałacu, ornamenty na ścianach, dzielące pokoje rzeźbione odrzwia z klamkami

umieszczonymi tak wysoko, że obecność mężczyzn w liberiach, którzy je otwierali, przestała wydawać się wielkopańską fanaberią, a zaczęła prostą koniecznością. Obrazy i gobeliny. Trochę sztuki wyglądającej na nowoczesną. Anna nie znała się na tym, ale klimat udzielił jej się natychmiast. W takim otoczeniu wychowywał się Albert. Czy Lukrecja dałaby sobie w nim radę? Czy by wytrzymała? Czy podobnie jak on, szukałaby normalności poza tym domem, popadając stopniowo w hazard i narkotyki? Zdaje się, że senator nie był jedynym członkiem tej jakże zacnej rodziny, który skręcił w drogę prowadzącą obok pałacowego ogrodu i ostatecznie skończył zagubiony w zaułku, z którego nie potrafił znaleźć wyjścia.

Hrabina czekała przy marmurowym stoliku, na widok gościa wstała i wyciągnęła dłoń, najzimniejszą, jakiej Anna kiedykolwiek dotykała. Uścisnęła ją, dbając, żeby nie zrobić tego ani za słabo, ani za mocno, nie przeciągnąć lub nadmiernie nie skrócić tego pierwszego kontaktu. Gdyby spotkanie nie było dla obu pań tak szczególne, Anna pozwoliłaby sobie chyba na złośliwą uwagę na temat krążenia krwi swojej nobliwej gospodyni. Na samą myśl uśmiechnęła się w duchu i lekko rozluźniła. Lady McKenzie gestem wskazała jej miejsce na wygodnym fotelu przy stoliku. Była jedną z tych rodowitych arystokratek, wychowanych, można powiedzieć wytresowanych, według ścisłych zasad dworskiego protokołu. Szczupła, niezwykle elegancka, skromna, choć przy tym nieco nonszalancka w gestach, o porcelanowej urodzie żywej lalki. Trudno było odgadnąć, ile miała lat, choć Anna podejrzewała ze zgrozą, że zapewne były w podobnym wieku, pani McKenzie nieco starsza oczywiście, ale nie dzieliła ich przepaść. Niewątpliwie nie umknęło to również uwadze hrabiny, choć, jak można się było spodziewać, nie okazała tego najmniejszym gestem. W ogóle jej twarz została wyćwiczona do pozwalania sobie jedynie na trzy rodzaje ekspresji: miny numer jeden - obojętnej powagi, miny numer dwa - uprzejmego uśmiechu i miny numer trzy - grymasu niezadowolenia bądź zdziwienia, a najczęściej obu naraz. Dzięki temu całe partie mięśni w obrębie przedniej części głowy i szyi przez większość czasu pozostawały nieużywane, a skóra nie ulegała nadmiernemu rozciąganiu, co w połączeniu z ekskluzywną pielęgnacją dawało efekt prawie zupełnego braku zmarszczek, ale i wielkiego chłodu, w irracjonalny sposób przenikającego osoby mające zaszczyt znajdować się w jej znakomitym towarzystwie.

- Dziękuję, że zgodziła się pani przyjąć moje zaproszenie - zwróciła się do Anny, dając znak kamerdynerowi do rozpoczęcia ceremonii napełniania porcelanowych filiżanek z ciężkiego, srebrnego imbryka. - Proszę mi wybaczyć niecierpliwość,

powinnam była zaczekać, aż przedstawi mi panią mój syn, ale on jest tak zapracowany, że pomyślałam, iż możemy obie zdjąć z niego ten obowiązek i jednocześnie same przyspieszyć tę chwilę.

- Oczywiście, pani McKenzie, to dla mnie wielki zaszczyt i radość móc panią poznać. Nie obarczajmy Alberta drobiazgami.

Lady Sara przywdziała minę numer trzy.

- Uważa pani nasze poznanie się za nic nieznaczący drobiazgi?

- Ależ skąd. - Lukrecja poczuła się jak kiedyś na egzaminie, do którego nie była zbyt dobrze przygotowana. - To honor dla mnie. Staram się po prostu dbać o wygodę Alberta.

Madame puściła tę odpowiedź mimo uszu.

- Chciałabym się dowiedzieć czegoś więcej o pani i waszej relacji, skoro mój syn zaniedbał już tak wiele. Kiedy i gdzie się poznaliście? Muszę wyznać, że wasze zaręczyny sprawiły nam ogromną niespodziankę.

- Mam nadzieję, że przyjemną - próbowała zażartować Anna, ale już w połowie tego krótkiego zdania zorientowała się w jego niestosowności. Hrabina skwitowała je uprzejmym uśmiechem. - To po prostu miłość, proszę pani. Wiem, że brzmi to banalnie, ale nie znajduję innej odpowiedzi. Poznaliśmy się na balu u gubernatora i od tamtej pory trudno jest nam bez siebie żyć. Kiedy pani syn poprosił mnie o rękę, stałam się najszczęśliwszą kobietą na świecie. Zrobię wszystko dla jego dobra i powodzenia - Lukrecja mówiła coraz szybciej, czując, że w trakcie tej tyrady odzyskuje równowagę i panowanie nad sytuacją.

Hrabina nadal się uśmiechała.

- W jakim charakterze znalazła się pani na balu?

Anna przerwała na chwilę, zaskoczona tym pytaniem.

- Byłam specjalnym gościem pana gubernatora.

- Z jakiego powodu specjalnym?

- Znamy się i przyjaźnimy od lat. - Lady Sara przyglądała jej się z obojętną, uważną powagą. - Nasza przyjaźń nigdy nie przekroczyła ram, które być może w tej chwili ma pani na myśli - pospieszyła z wyjaśnieniem Lukrecja.

- Miło mi to słyszeć. Dobrze, że pani tak uważa. Przekujmy słowa w czyn, strata czasu w pewnych przypadkach jest później nieodwracalna.

- Co pani hrabina sugeruje?

- Nie jesteśmy bogatą rodziną - odpowiedziała lady Sara, stukając leciutko opuszką wypielęgnowanego palca w pościelony łyżeczkę do herbaty. Mój papa, może wie coś pani na ten temat, miał wielkie serce i nieszczęście do ludzi, którzy potrafili to bezwzględnie wykorzystać.

Owszem, nie tylko agenci specjalni słyszeli o pijackich wyczynach i szerokim wyborze pozostałych ekscesów starego hrabiego, czołowego utracjusza i lekkomyślnego hulaki, które doprowadziły go w końcu do spektakularnego bankructwa, co przez wiele lat w licznych kręgach stanowiło temat najsmakowitszych plotek. Jak widać, ten drastycznie uszczuplony majątek pozwalał jeszcze członkom rodu na mieszkanie w pałacu, otaczanie się luksusowymi przedmiotami i zatrudnianie okazałej liczby wykwalifikowanych służących. W centralnym miejscu salonu wisiał wielki obraz przystojnego, zawadiackiego blondyna z twarzą przyozdobioną najmodniejszym w owym czasie wąsem. Madame popatrzyła na niego z uwielbieniem. Lukrecja pomyślała, że na tle reszty sztywniaków z towarzystwa musiał być fajnym, egzotycznym, kolorowym tata, takim, który w tych niezwykle rzadkich chwilach, kiedy w ogóle bywał w domu, bawił się i wygłupiał ze swoją córeczką, i mówił jej, że jest najwspanialsza na świecie. Wzrok obu pań skrzyżował się na podobiznie seniora rodu.

- Ojciec nie wie, czemu nie lubił tego portretu - wtrąciła lady Sara.

Lukrecji wystarczył jeden rzut oka, żeby wiedzieć. Pracę zamówiono u młodego, ambitnego malarza, który oprócz fizycznego podobieństwa modelu miał wydobyć coś jeszcze - aurę niepowtarzalnych cech jego charakteru i osobowości: brawury, radości życia, wielkopańskiego sznytu i szerokiego gestu. Najwyraźniej artysta był bardzo zdolny, bo mimochodem na dostojnej twarzy uchwycił jeszcze coś: głupotę.

- Nie posiadamy wiele - ciągnęła hrabina - ale mając na uwadze leżące nam wspólnie na sercu dobro mojego syna, podzielę się z panią tym, co mam. Zrobimy to dyskretnie, myślę, że będzie pani usatysfakcjonowana.

Przecież to była tylko gra, a wizyta tutaj jej niewiele znaczącym elementem. Nic nie działa się naprawdę, a test wykazywał niezbitcie, że mistyfikacja okazała się bardzo udana, dlaczego więc Lukrecja poczuła się w tym momencie tak bardzo urażona?

- Ja kocham pani syna - powiedziała z naciskiem.

- Tak, wiem - weszła jej szybko w słowo lady Sara - to już ustaliłyśmy. Kwota będzie odpowiednia i w pełni odda skalę pani miłości.

Agentka patrzyła z niedowierzaniem. Mina numer trzy ani na chwilę nie ustąpiła innemu wyrazowi porcelanowej twarzy. Pogarda. Madame nie demonstrowała jej w żaden wyraźny sposób, była na to zbyt dobrze wychowana. Jej propozycja padła od niechcienia, jakby mimochodem w nawiązaniu do słów samej

Lukrecji. A jednak taki obrót sprawy zabolął niespodziewanie jak uderzenie w twarz. Czyny. Pogardliwe, raniące, nawet w tej sztucznej, zaaranżowanej sytuacji. To zdaje się było mistrzostwo świata w wykonaniu lady Sary McKenzie.

- Jeszcze herbaty? - spytała uprzejmie. - Przejdźmy do szczegółów. Proponuję pani podpisanie umowy. Między nami dwiema. John! - zwróciła się do niewidocznego kamerdynera - przynieś mi, proszę, dokumenty. Widzi pani - ciągnęła, odkładając na stoliku okazały plik kartek - moi prawnicy zawsze przewidują wszystko. Nie chcąc jednak ranić pani uczuć, chciałabym wyjaśnić, że Albert ma już narzeczoną. Skoro bywa pani na balach u gubernatora, na pewno miała pani okazję ją poznać. To lady Theresa von Hochstein, flamandzka baronetta. Nasze rodziny przyjaźnią się od lat, porozumienie jest tak wielkie i głębokie, że podejmowaliśmy nawet próby doszukiwania się wspólnych przodków, bezskutecznie na szczęście w odniesieniu do relacji, która połączyła nasze dzieci. Znają się z moim synem od dzieciństwa i kochają miłością, która przeszła przez wiele etapów, ewoluowała od dziecięcej fascynacji aż do dojrzałego, sprawdzonego uczucia. Lekkomysłnością byłoby stawiać mu na drodze przeszkody w postaci chwilowego wybuchu namiętności. Proszę mi wybaczyć obcesowość moich słów. Zawierając umowy, wolę jednak, aby od początku do końca wszystko było jasne. W ten sposób obie unikniemy rozczarowań i nie zniweczymy szczęścia prawdziwej młodej pary.

Wyniosła postawa baronowej najwyraźniej kłóciła się z komunikatem, który zmuszona była teraz przekazać.

- Albert odziedziczył wrażliwość po moim ojcu. W przeciwieństwie do niego nie ma jednak aż tak mocnego zdrowia.

Rzeczywiście, jak słyszała Lukrecja, stary hrabia opuścił ten świat z przyczyn naturalnych w mocno podeszłym wieku, wbrew powtarzanym mu przez całe wesołe życie groźbom lekarzy, wieszczącym mu zawał, udar lub w najlepszym przypadku marskość wątroby.

- Theresa działa na niego kojąco. Jest jego nadzieją na spokój i odnalezienie swojego miejsca w życiu. Mój syn jest naturą poszukującą. Potrzebuje towarzyszkę, która by to równoważyła. Rozumiała go. I przepraszam, że to powiem: kogoś ze swojej sfery.

- Zechce mi pani wybaczyć, madame, mam jednak pewne obiekcje - Lukrecja ważyła każde słowo. - Nie mamy z Albertem przed sobą tajemnic. Niezwykle szanuję i podziwiam baronettę von Hochstein, słyszałam również o ich historii. W jego ustach brzmiała ona jednak troszeczkę inaczej. Zdaje się że traktuje on lady Therese

jak przyjaciółkę z dzieciństwa, a do ich zaręczyn nie doszło przez szesnaście lat. Czy nie świadczy to o tym, że - najmocniej proszę o wybaczenie - jednak pomiędzy nimi nie iskrzy? Czy to nie ja, którą Albert kocha naprawdę, która pobudza go do działania, do walki o siebie, jestem dla niego prawdziwą nadzieją? Albert przebywa teraz w klinice, wiedziała o tym pani? Czy kiedykolwiek skłoniła go do tego baronetta von Hochstein?

Lukrecja wpatrywała się w dystygowaną twarz lady Sary, z której ani na moment nie schodził uprzejmy uśmiech, i zorientowała się, że jej nie oszuka. Tamta nie miała chyba ochoty na dyskusje o banialukach na temat miłości. Agentce zdawało się przez krótki, nieprzyjemny moment, że lady Sara przejrzała jej prawdziwe intencje, nie potrafiła już jednak zmienić raz obranej taktyki.

- Milion dolarów - powiedziała grzecznie hrabina. - Podpiszemy dokumenty, najpierw klauzulę poufności. Później pani zniknie. - Lady sięgnęła po wieczne pióro. - Poproszę, panią o złożenie podpisu jako pierwszą.

Zabawne - pomyślała Lukrecja. Jak to możliwe, że zrujnowana rodzina McKenzich dysponuje taką kwotą? I czy wyglądam aż tak, źle, żeby przypuszczać, że mogłabym się na nią skusić? Muszę więcej zainwestować w ciuchy.

- Dziękuję za hojną propozycję, madame - odpowiedziała z satysfakcją - ale miłości nie da się kupić.

Mieli z Lukrecją lepsze dni. Kulawy plan wyprowadzenia, a właściwie odbicia Sandersa - bo będzie przecież w towarzystwie strażników - nie dawał kapitanowi spokoju. Według niego miał same wady.

- Jak Phil nie przyjedzie, to nie przyjedzie. Może go nie wypuszczą. - odpowiedziała na jego wątpliwości tonem, jakby miała na to nadzieję. - Nie przeskoczmy tego, najwyżej opóźnimy nieco nasze działania.

- Zamierzasz w krótkim czasie ponownie wyjść za mąż?

- Kto wie? - zerknęła na niego filuternie. Była niezwykle pociągająca - Skoro jesteśmy tu razem i jest wieczór...

- To co? - spytał z nadzieją.

- To zjemy razem kolację - roześmiała się.

- Niech będzie - odpowiedział z wyraźnym rozczarowaniem, co jeszcze bardziej ją rozbawiło.

- Wiesz, odprawiłam na dziś wieczór panią Huckelberry, więc...

- Co za ulga - wtrącił. - W takim razie mogę przestać się nerwowo rozglądać.

- Och, nie bądź taki. Po prostu kolację będziemy musieli przyrządzić sami.

- Całe szczęście. Co mogłaby zaserwować pani Huckelberry - muchomory?

- Ależ ty jesteś dla niej niesprawiedliwy! A ona tak cię lubi.

Przemilczał to szyte grubymi nićmi kłamstwo. Anna najwyraźniej się z niego nabijała.

- Zrobimy krewetki. Lubisz owoce morza?

- Uwielbiam. - Było mu wszystko jedno, chciał ją po prostu objąć. I zrobił to. Oddała uścisk i pocałunek, pierwszy, drugi, dziesiąty.

- To będą erotyczne krewetki - szepnęła. I były.

Wyrwijąc się, wyciągnęła z szafki patelnię i postawiła na ogniu. Całował ją w kark. Wlała oliwę. Odczekała chwilę wypełnioną pieszczotami i dosypała pokrojoną szalotkę.

- Wrzuć je.

Cisnął krewetki z miski na rozgrzaną blachę. Zaskwierczały, zagrzechotały chitynowe pancerzyki. Wtuleni w siebie co chwila ze śmiechem dodawali pokrojoną chili, czosnek i imbir. Dotknęła nim jego języka.

- Mocny. Piecze?

- Ani trochę.

Na chwilę wyswobodziła się z ramion Horna.

- Hej, Paul, otwórz wino.

Zrobił to pośpiesznie. Upiła łyk Chardonnay, kapitan drugi, potem trzeci - kolejny znakomity alkohol, jakim go poczęstowała.

- Jest do krewetek - zauważyła trzeźwo, chlustając z rozmachem na patelnię.

Podniosła się para, aromaty wypełniły kuchnię. Całowali się zapamiętale, pieścił jej ciało, była taka sensualna, pełna, była doskonałością, absolutną kobiecością, utonęli w namiętności, od której można umrzeć. Kochali się na kuchennym blacie, na podłodze, na stole... Nieprzytomnie szczęśliwi, spleceni, złączeni, sięgali dłońmi po lepkie, gorące krewetki, parzyli sobie palce i jedli wprost z patelni. Sos spływał po przedramionach aż do łokci - na wykwinność przyjdzie czas na weselu Lukrecji. Miał je ciągle z tyłu głowy i rozwścieczało go to. Pili chłodne wino z gorączkowo, przypadkowo otwieranych butelek, w szale, od którego nie było odwrotu, przez wiele najlepszych godzin.

Powoli wszystko stygło...

- O Boże, Lukrecjo.

Przycisnęła mu palec do ust. Leżeli w ciszy, długo i spokojnie. Żal było zasnąć. Gładził leciutko jej chłodne ramię. Delikatnie, prawie niezauważalnie całowała go od czasu do czasu, tam gdzie akurat sięgnęła ustami. Nadszedł świt. Został oboje z otwartymi oczami, trzeźwiejących. Zanim zrobiło się niezręcznie, w zamku zazgrzytał klucz. Kapitan drgnął.

- Kornelia wraca - oznajmiła Lukrecja, w najmniejszy sposób nie reagując.

Zanim zdążył się poderwać i czymś okryć, pani Huckelberry stała już jak duch w progu kuchni. Spiał każdy miesiąc, przygotowując się na odparcie nieuchronnego ataku. I oto wydarzył się kolejny cud tej nocy - Kornelia Huckelberry uśmiechnęła się i dyskretnie zniknęła z ich pola widzenia.

Rozdział 5

WESELE

Może Phil za mało czuł? Może jego isticie szatańska inteligencja miała istotne luki na poziomie emocjonalnym? Czy w którymś momencie poczuł się zbyt bezpiecznie i uznał, że przebrzmiały już uczucia, które skrzętnie skrywane wciąż pozostawały żywe? Jaką bronią można dysponować w stosunku do osoby, która żyje już tylko po to, żeby nas zniszczyć? Osoby gotowej strzelić sobie w kolano, żeby nas chociaż lekko zadrapać? Jak sobie radzić z tego rodzaju działaniem wbrew naturze? Czy są na to mocni? Dość przebiegli? Skoro nie okazał się takim nawet Philip Sanders?

W twierdzy szybko pokazano mu, że im większy był za murami, tym mniejszą rolę pełni teraz. Pułkownik nie byłby jednak sobą, gdyby nie potrafił się względnie korzystnie urządzić nawet w tak z pozoru wrogim i beznadziejnym położeniu. Manipulacją, niekwestionowaną siłą zajmowanej wcześniej pozycji i przekupstwem zbudował sobie stosunkowo wysoką pozycję zarówno wśród więźniów, jak i strażników, a sam naczelnik więzienia traktował go z pewną atencją dzięki umiejętnie stworzonej przez Sandersa iluzji, iż wkrótce zostanie oczyszczony z zarzutów, wróci na należne sobie stanowisko, a samego naczelnika, którego niezwykle predyspozycje i zdolności dostrzegł dzięki chwilowemu z nim spotkaniu w tym mrocznym miejscu, wywinduje na szczyty natychmiast po opuszczeniu więzienia. Ciekawe, że spośród tysięcy podobnych historii komendant ponurej placówki, człowiek przecież jak nikt inny w tych kwestiach doświadczony, uwierzył w tę jedną, jedyną wersję forsowaną przez Philipa S. Niewątpliwie sprzyjał temu fakt, że w minionych czasach, śledząc co wieczór serwisy informacyjne, jego sympatia wędrowała zawsze nie do generała, lecz w stronę jego cichego zastępcy siedzącego z boku stołu konferencyjnego.

Mimo wszystko Phil nie wierzył. Ten racjonalny, chłodny człowiek nie wierzył, że znajdzie się w więzieniu na długo. Nie pojmował, że nie będzie miał posłuchu wśród strażników. Że straci znaczenie. Że Twigg sięgnie po najprymitywniejsze metody, tak że on - dystygowany i drobnej budowy - znajdzie się którejs nocy z trzema dwumetrowymi psychopatami w celi, w której akurat wysiadł monitoring. I że dzięki tej niewierze przeżyje, gdyż odbierali ją oni podświadomie jako brak strachu, jedyną postawę, którą na swój sposób szanowali, co nie uchroniło go jednak od straszego losu... A gdy to się stało, nadal nie mógł uwierzyć, że wydarzyło się naprawdę. Dzięki temu, ku zdziwieniu i rozczarowaniu wszystkich, nie znaleziono go rankiem powieszonoego w celi, nie podejmował prób połknięcia własnego języka ani nawet nie potrzebował pomocy psychiatry. Stało się tak dlatego, że jedyną rzeczą, w którą święcie wierzył pułkownik Philips Sanders, był jego wielki powrót.

Najtrudniejsze do zniesienia okazało się oko kamery. Pracujące przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nieczynne jedynie w tych rzadkich przypadkach, kiedy było potrzebne. Przyspawanie do twarzy obojętnej maski było właściwie naturalnym odruchem. Ale kamera nie na to czekała, uzbrojona w przewagę ciągłości, niezawodności, całkowitego braku przerwy. Standardowo, w poszanowaniu intymności więźniów niemontowana jedynie w toalecie, z uwagi na wyjątkowe zagrożenie, jakie dla obronności kraju stwarzał Sanders, obecna była także i tutaj. Niemy świadek skutków paskudnego jedzenia. Przeziębień, zmian skórnych i innych niedomagań. Złamania ręki na spacerze. Przetarcenia nosa i żeber pod prysznicem. Spadków nastroju. Skutków niezarejestrowanych incydentów. Drwin i poniżenia. Do czasu. Znalazł na nią sposób. Mały pajaczek tkwił bez ruchu w rogu celi. Phil wielokrotnie policzył jego nóżki, ćwiczył wzrok, starając się wyodrębnić elementy jego głowy i tułowia. Oczy, gdzie to stworzenie ma oczy? Oceniał powtarzalność i doskonałą symetrię kątów, pod którymi mały utkał pajęczynę, przyglądał się cienkości szaro-białej nici. Delikatnie dotykał, tak aby nie zerwać, czując w palcach jej lepkość. Albo faktura ściany. Niby gładka, a jednak lekko chropawa. Fioletowe zabrudzenie w kształcie skrzywionego serca na trzech czwartych wysokości. Wywołujący dreszcze metal kraty. Nie rozgrzewał się nigdy, nawet w najbardziej upalne dni lata. Farba odpryśnięta od brzegu łóżka, odsłaniająca warstwę kolejnej, w nieco jaśniejszym odcieniu. Jeden brzeg ubytku prosty jak ucięty żyłką, drugi obły niczym wylizany. Promień słońca padający o godzinie osiemnastej dwadzieścia cztery na ścianę pod takim kątem, że zamieniał krzywe

serce w poszarpany trzciniami brzeg jeziora. Wyczekiwany od dziesiątej rano. Wiele innych drobiazgowych obserwacji i maleńkich nadziei. Trudno ocenić, kiedy człowiek staje się szalony, a kiedy po prostu chroni się, aby pozostać sobą.

Obojętna twarz. To zawsze powtarzał sobie pułkownik, kiedy trawiła go gorączka. Obojętna twarz, podkreślał, gdy ból stawał się nie do zniesienia. Obojętna twarz - ostatkiem sił, gdy dopracowywany przez lata plan zemsty osiągnął apogeum doskonałości. Kamienna twarz po latach tortur.

Kiedy strażnik oznajmił mu, że odwiedziła go siostrzenica, z trudem powstrzymywał ekscytację. Coś się wreszcie ruszyło. Przywitał się z obcą, młodą kobietą z wylewnością stęsknionego wujka. Miała blond włosy i kruchą figurę. Ubrana w dżinsy, zero makijażu, typowa studentka pierwszego roku. Wymienili serdeczności, ogólnikowe zapewnienia o pamięci i życzenia zdrowia. Dziewczyna opowiadała skrótowo najnowsze perypetie ich „bliskich”. Strażnik słuchał tuż obok. Przyniosła małą paczkę żywnościową i gazety. Na pewno wszystko zostało wcześniej przetrzepane przez służbę więzienną. Po kwadransie pożegnali się, okazując sobie nawzajem dużo czułości. Dziewczyna poszła. Zdając sobie sprawę, że teraz klawisz obserwuje go ze zdwojoną uwagą, Phil z kamienną twarzą czytał gazety, szukał ukrytego przekazu, analizował tytuły, napisy na opakowaniach czekolady, najmniejsze dodruki, nazwy jedzenia, próbował skojarzyć wszystkie wskazówki, nie znalazł niczego. Uznał to mimo wszystko za znak, że wkrótce nastąpi przełom. Sanders nie wiedział, czy oczekiwać ratunku, czy ostatecznej zemsty, pragnął tylko opuszczenia tego miejsca. Wiedział jedno - w przypadku niepowodzenia tanio nie sprzeda swojego życia. Wstąpiła w niego nadzieja, na chwilę przyćmiewając racjonalne myślenie. Lukrecja. Zaczęło się. Wzruszenie. Szczęście. Takie momenty zdarzały się Philipowi niezwykle rzadko i niestety zawsze płacił za nie wysoką cenę.

Sisi, Sylwia Braun, była młoda i ładna. Kręciła się to tu, to tam, ocierając o różne środowiska, Uparcie usiłując zrobić karierę i nie przejmując się zbyt, gdy po raz setny jej nie wychodziło. Wyglądała porządnie i skromnie. Oprócz urody posiadała kilka cech, za które lubili ją mężczyźni. Nie miała wygórowanych wymagań, była wesoła i nieskomplikowana. Nie traktowała miłości i seksu zbyt poważnie. Przy bliższym poznaniu okazywała się troszeczkę głupsza, niż się na początku wydawało. Nietrudno było

ją zachwycić jakimś bzdetem, czemu łatwo dawała żywiołowy wyraz. W rozmowie przeskakiwała lekko z tematu na temat i potrafiła zamilknąć w pierwszej chwili, gdy tylko partner wydał jej się zniecierpliwiony lub znudzony. Pomiędzy próbami aktorstwa i modelingu a realizowaniem się jako opiekunka do dzieci wpadła na pomysł zaciągnięcia się w szeregi funkcjonariuszy SAW, odpadając na testach sprawnościowych na drugim etapie rekrutacji. Anna upatrzyła ją sobie wtedy jako idealną pannę-nikt. Od tamtej pory trzymała młodą w odwodzie i czasem wykorzystywała do zadań pozornie błahych, upewniwszy się uprzednio, że gdyby Sisi przypadkowo zginęła, nikt nie będzie jej szukał. Z bliskich osób dziewczyny żyła tylko jej dziewięćdziesięcioletnia babcia, zupełnie niemobilna i dotknięta lekką demencją. Litewski nie przewidziała wtedy, że przyjdzie czas, kiedy na odnalezieniu Sylwii najbardziej będzie zależało jej samej.

Bywając sporadycznie w podejrzanych dyskotekach, Sisi natrafiła przypadkiem na towarzystwo Tao Guna, a w końcu na niego samego. Rozwiązało to sporo jej problemów, głównie natury finansowej. Co ciekawe, spodobał jej się Tao, polubiła chłopaków z jego ochrony i wbrew zdrowemu rozsądkowi czuła się w ich towarzystwie zupełnie bezpiecznie. Na tej samej zasadzie zresztą lubiła cały świat i nienękana głębszymi przemyśleniami, niepotrzebnymi wyrzutami sumienia ani pojawiającymi się znikąd lękami egzystencjalnymi, co rano uśmiechała się do niego radośnie, z nadzieją na kolejny, udany dzień.

- To porządna dziewczyna - uważał Tao. - Niewiele jest takich. Wszystko same kurwy.

- No pewnie, szefie - potakiwali ochroniarze z najgłębszym przekonaniem.

- Hej, Sisi, podwieźć cię?

Kris właśnie skończył zmianę. Na siedzeniu obok kierowcy siedział Rupert, od niedawna praktykujący na stażu, co oznaczało, że musiał zaliczyć co najmniej pięć trupów, zanim zyska wstępne zaufanie wielkiego bossa i zostanie dopuszczony do jego bezpośredniego otoczenia. Brakowało mu już tylko jednego.

- Wskakuj na tylne siedzenie. - Sisi nie dała się długo prosić. - Gdzie mieszkasz? Podrzucimy cię. - Kris odwrócił się do dziewczyny z uśmiechem.

- Cztery przecznice stąd, pokażę drogę - zaszczębiotała Sisi. - Jacy jesteście mili! Może wpadniecie do mnie na herbatę, babcia

upiekła ciasto.

- Masz fajną babcię - zauważył Rupert.

- Noo, jest kochana - zgodziła się Sisi. - Skreć w prawo, Kris. - Potrząsnęła blond grzywką.

Rupert zerkał na nią przez ramię. Podobała mu się.

- To jak, wchodzicie? - spytała, gdy zaparkowali pod drzwiami.

- Możemy - zgodził się Rupert.

Na trzecie piętro zapuszczonej kamienicy wdrapywali się po starych, krętych schodach. Obaj gapili się na Sisi, aż poczuła się nieswojo.

- To co, herbata?

- Nie masz czegoś mocniejszego? - zaproponował Rupert, bawiąc się kluczykami do samochodu. Nerwowo obracał breloczek między palcami, zwalniał i napinał łańcuszek, prawie do zerwania.

- Piwo.

- Dobra, niech będzie.

- Długo pracujecie u pana Guna? - zagadnęła ich Sisi.

- Dość - mruknął Kris.

- Ty chyba jesteś nowy? - zwróciła się do Ruperta.

- Nie taki nowy - zachnął się.

Ambicje Ruperta koncentrowały się na znalezieniu się jak najbliżej Tao. Chłonał legendy na jego temat i od dziecka pragnął być taki jak on. W międzyczasie dokonywał drobnych napadów i kradzieży - bo czym miałyby się zajmować - i marzył o dniu, kiedy nadarzy się okazja pracy dla swojego bożyszczka. Ta przyszła nieoczekiwanie, gdy dostał w mordę od chłopaków Guna, kiedy nieopatrznie okradł sklepikarza suto opłacającego się im co miesiąc z tytułu ochrony. Nawiazana w ten sposób znajomość paradoksalnie zaowocowała obecną, póki co niską jeszcze, pozycją Ruperta w szeregach *padrino*, z czego był szalenie dumny. Co innego Kris - stary, przyboczny druh szefa. Szycha. Rupert mu zazdrościł. Na nim Gun mógłby polegać bardziej i zamierzał to udowodnić.

- Dzięki za piwo, pójdziemy już. Trzymaj się, Sisi - wyrwał go z zamyślenia głos Krisa.

- O, jaka szkoda, nie zostanieie jeszcze? - zaproponowała grzecznie dziewczyna.

- Dlaczego nie? Ładnie się tu urządziłaś. - Rupert rozglądał się po skromnym pokoju. Wytarta sofa przykryta kocem, staromodna szafa, stół i trzy krzesła. Wszędzie ręcznie robione serwetki, najwyraźniej dzieło babci. - W ogóle jesteś ładna.

- Jest późno - rzucił zniecierpliwiony Kris.

- To leć stary, jak się śpieszysz. Ja mogę trochę zostać. - Rupert wpatrywał się w Sisi lepkim wzrokiem. Nie podobał się jej. Rysy

jego twarzy nosiły obciążające znamiona wielopokoleniowych, alkoholowych tradycji rodzinnych. Wysunięte do przodu łuki brwiowe budziły strach i przywoływały skojarzenia z jeszcze bardziej zamierzchłymi przodkami. Kris się wkurzył.

- Zbieraj dupę, Rupert, wychodzimy.

Sisi zamilkła. Zawsze wiedziała, kiedy przestać się odzywać.

- To spadaj. Nie gadaj, że przyszedłeś tu na herbatkę. - Cel Ruperta był jasny. - Taka laska, frajerze. - Chwył Sisi i przyciągnął ją do siebie. - Fajne z nas chłopaki, podobamy ci się, co?

Kris nie należał do tuzów intelektu, nie był jednak tak skrajnie głupi, żeby dotykać dziewczynę szefa. Jemu Sisi też się podobała, jako obiekt zainteresowań samego *padrino* nawet trochę bardziej niż inne dziewczyny. Od razu wydawała się bardziej luksusowa.

- Przestańcie! - krzyknęła. - Puszczaj! - walnęła Ruperta pięścią. Ten się wściekł. Jednym ruchem zdarł z niej bluzkę. Kris rzucił się na pomoc. Chciał żyć.

- Debilu! - ryczał Rupert. - Skurwysynu! - bronił się przed Krisem, jednocześnie wcale nie zamierzając wypuścić dziewczyny. Przyłożył jej pistolet do skroni.

- Wyjdz - powiedział do Krisa. - Wynocha!

- Kris, nie - błagała Sisi - nie zostawiaj mnie z nim.

- Opanuj się, Rupert. Zostaw ją. Gun obędzie nas ze skóry - próbował mediować, przymierzając się jednocześnie do niepozornego oddania strzału przez kieszeń w łeb nowego adepta sztuki gangsterskiej.

- Chyba ciebie. To ty mnie tu przywiozłeś. Spierdalaj stąd, bo ją zabiję. Zostaw nas samych - uśmiechnął się Rupert. Jego neandertalska twarz nie pozostawiała wątpliwości co do dalszego rozwoju wypadków. - Strzelam - zawiesił głos w krótkiej pauzie. Nie było szans. Zdążył pociągnąć za cyngiel.

Kris wyszedł. Przez drzwi słyszał płacz i odgłosy uderzeń. Pod klatką od pół godziny stał jego samochód, widziało go przez ten czas co najmniej kilka osób. Rupert po wszystkim na pewno dokładnie posprząta, na tym się znał. Trzeba uciekać.

Wieczór przed ślubem Anna i Paul spędzili w zapierających dech w piersiach pałacowych wnętrzach. To tu ostatecznie Lukrecja zdecydowała się urządzić wesele. Tradycyjnie i ze smakiem. Oglądała wszystko jeszcze raz, wyciszona, w wielkim napięciu. Taka próba generalna. Horn patrzył na nią z zachwytem.

- Nie martw się. Jutro nasz dzień.

- Tak... tak czy inaczej.

- Wszystko się powiedzie. - Wstąpił w niego bojowy duch. - Szkoda, że nie zmienisz stanu cywilnego, ale uratujemy Sandersa. To się musi udać - uśmiechnął się, chcąc dodać jej otuchy.

- Wiem, Paul, jesteś najlepszy. Ufam ci. - Podeszła i pocałowała go w policzek. Przytuliła się mocno, a potem nagle odsunęła się energicznie.

- Lubisz mnie trochę, Lukrecjo?

- O, jakie kobiece pytanie - droczyła się. - Skupmy się na akcji.

- Dobrze. Jak chcesz. - Obyś nie żałowała - dodał w myślach.

Przyszła pani McKenzie rzeczowo kreśliła plan.

- Karetka więzienna przywiezie Phila tuż przed ceremonią. Nie będziemy się mogli przywitać ani dać żadnego znaku. Ja będę w pobliżu, w limuzynie, nie mogę się z niej ruszyć. Phil nie zna naszej koncepcji i przypuszczalnie nie do końca domyśla się, o co chodzi, ale wiem jedno - najgorsze, co mogło go spotkać, to pobyt w twierdzy. Jest otwarty, podejmie każde wyzwanie, będzie wolał umrzeć, niż zawrócić.

- Współczuję mu. Nie wie, kto jest przyjacielem, a kto wrogiem, przez przypadek może zniweczyć nasze wysiłki.

- Zorientuje się. To najinteligentniejszy facet, jakiego w życiu znałam. - Szkoda, że tak uważała.

- Więc?

- Wszyscy goście, wśród nich ty i Philip z obstawą, będą czekać w kościele. Musisz od razu znaleźć się w jego pobliżu. Najlepiej przed wejściem, a najpóźniej przed przysięgą małżeńską ktoś do niego strzeli, używając tłumika. Na jego ubraniu pojawi się krew. Ludzka, ale nie jego, to będzie sfingowany postrzał. Wtedy ruszysz ty, w zamieszaniu będziesz wzywał pomocy i sam mu jej udzielał. Jeżeli upadnie, wyciągniesz go z kościoła, ewentualnie wyprowadzisz. Ludzie na pewno wezwą ambulans, ktoś z naszych też to zrobi. Wsiądziecie do niego i odjedziecie do szpitala. Na miejscu wszystko jest zorganizowane. Będzie umieszczony w sali chorych, ty zostaniesz pod drzwiami pokoju. W zależności od wersji, o której na miejscu zdecydują nasi tamtejsi przyjaciele, Phil wyjedzie w przebraniu i charakteryzacji lub zostanie zabrany na salę operacyjną, a stamtąd do kostnicy. Dalej już się tym nie interesuj. Philip będzie bezpieczny. Lepiej, żebyś nie wiedział gdzie, ja sama na razie tego nie wiem. Mamy zaufanych stronników, to wystarczy.

- Musielibyśmy mieć ich bardzo wielu, a ja nie wiem o żadnym. Mówisz szalone rzeczy, Luki. Chcesz do niego strzelać z paintballa?

Skąd inaczej sztuczna krew? Przecież on się tego nie spodziewa, pograży nas, jeśli zachowa się inaczej niż przewidujesz, czyli nie zacznie symulować. Ja bym na przykład zwiewał. A jego straż? Tak po prostu uwierzą i pozwolą nam wyjść? No i tam ktoś będzie na niego czekał z wyrokiem śmierci. On też się rozmyśli i pozwoli zabrać Sandersa do szpitala?

- Twoje zadanie jest stosunkowo proste, Horn. - Odnotował, że zwróciła się do niego po nazwisku. - Udzielisz pomocy rannemu człowiekowi i doprowadzisz do tego, żeby opuścił kościół, a najlepiej w ogóle do niego nie wszedł. Zyskasz sławę i nikt nie będzie mógł się przyczepić do twojego policyjnego dobrego imienia. Inni są tu ważniejsi, a ich nagroda będzie mniejsza niż twoja. Jak to w życiu. - Anna była zła.

- Jeszcze kilka wyjaśnień, Luki. Kto do niego strzeli? Jeśli wolno wiedzieć.

- Miła, młoda kobieta. Chyba jej nie znasz. Nazywa się Sisi.

- Ach tak. Rozumiem, że to jej prawdziwe imię.

- Tak samo prawdziwe, jak twoje. Sisi strzeli też do ochroniarzy. Z innego pistoletu. I do kogoś jeszcze, jeżeli będzie trzeba.

- A więc opieramy resztę swojego życia na jakiejś snajperce, oby tylko nią była.

- Nie zamartwiaj się aż tak. Będą tam też inni. Ja tam będę.

- Strzelająca panna młoda? Kabura przy podwiązce?

- Tak, oczywiście, nie ironizuj.

- To jest wyjątkowo słaby plan, Anno. Rozumiem, że liczysz na zamieszanie, ale to nie może być nasz główny sojusznik. Koniecznie trzeba uprzedzić Sandersa, inaczej wszystko weźmie w łeb. Wierzysz, że po latach rozłąki nadal czytacie sobie w zakochanych myślach? Strasznie to głupie, Luki, nie obraż się, ale nie zamierzam jutro zakończyć mojego cennego życia ani pójść do pierdła razem z Sandersem na resztę życia. Tajny agent, który bez powodzenia pomaga w ucieczce z więzienia niebezpiecznemu zdrajcy, tak chcesz mi załatwić awans na szefa SAW? Wybacz, nie zauważyłem wcześniej, że jesteś szalona.

- Bo nie jestem. - Pogłaskała go po twarzy. - Masz rację, Paul, trzeba będzie strzelić do pułkownika naprawdę, żartowałam tylko z tym erzacem krwi. Strzelimy w ramię, jednocześnie może uśpimy, a ty go wyciągniesz z kościoła. Załóż pod smoking kamizelkę kuloodporną.

- Strzelimy do Sandersa? My? Pozostało kilka godzin, a ty jeszcze nie wiesz, czy go uśpić? Zamierzasz potraktować go jak dzika? Albo raczej jelenia, tak jak zdaje się, mnie. - Jak mogła być tak głupia i nieprzygotowana? Zgubi ich.

- Sisi strzeli.

- Coś wymyślasz. Nie wierzę w żadną Sisi. Kto naprawdę dokona zamachu? Powiedz, do jasnej cholery.

Zaczęła się z nim całować. Poczuł, że się rozplywa.

- Wszystko jest pod kontrolą, nie chcesz znać szczegółów.

Owszem, chciał. Od tego zależało jego życie. Poza tym sam opracował kilka alternatywnych rozwiązań, w które na razie jej nie wtajemniczył. To pani Litewski nie musi o wszystkim wiedzieć. Niech się dzieje.

- Dziś jeszcze nie jestem mężatką. - przylgnęła do niego mocno całym ciałem.

- W kamizelce kuloodpornej pod smokingiem będę wyglądać niezgrabnie.

- Za to teraz wyglądasz bardzo zgrabnie... Wyluzujmy trochę...

Cóż, była piękna, a Horn łatwy. Wprawdzie nie podobało mu się, że chce w ten sposób tylko rozładować napięcie, tak po męsku. Zresztą, co za różnica. Pachniała oszałamiająco, była namiętna. Kochali się w zapamiętaniu, krótko i gwałtownie, jakby to były ostatnie chwile świata. Zatrzymali się, zawisli w powietrzu, przeniknęli sobą, każde na innej planecie. Zobaczył w jej oczach czułość i to mu dało ostateczną satysfakcję. Była jego. Nieważne, w co grała.

Tulił ją i kołysał, napięcie opadało, powoli docierała do nich niefortunność tej sytuacji, trzeba ją było przerwać. Zapytał więc z głupia frant:

- Hej, Luki, kto będzie twoją druhną? Przecież ty nie masz żadnych koleżanek?

- Co ci przyszło do głowy? Mam koleżanki, jestem normalną dziewczyną.

- Sprawiasz wrażenie nienormalnej... I wiesz co? To jest w tobie piękne. I jeszcze to... i to... Dziś jest twój wieczór paniński.

- Dobrze, że mi przypomniałeś, wpadnę do Sisi. Muszę jej poszukać. - Jak gdyby nigdy nic ruszyła w kierunku drzwi. - Ta dziewczyna naprawdę by się jej teraz przydała, chociaż nie do aż tak poważnego zadania, jak nakłamała Hornowi. Cholera, że też gdzieś się akurat teraz podziela!

- Wyleciało mi z głowy. - Lukrecja cofnęła się na chwilę. - Zapomniałam ci powiedzieć, że zamówiłam kwartet smyczkowy. Będzie uświetniać uroczystość. Chcę mieć niebanalną oprawę muzyczną podczas wchodzenia do kościoła.

- OK - zrozumiał aluzję.

- Będą dla nas wsparciem, przejmą akcję. Bo wiesz, pogotowie ratunkowe i muzycy, trudno to powiązać.

- Nie pora teraz na zagadki, skoro tkwię w tym po uszy. Chcę wiedzieć, na czym będzie polegać ich rola. Ciągłe wyskakujesz z czymś nowym. - Za dużo niedopowiedzeń, nie spodobała mu się jej tajemniczość w ostatniej chwili. - I tak mogą nas spotkać niespodzianki, Anno, nie musisz generować własnych. - Irytowała go.

- Ich rola będzie polegać na grze na dwóch parach skrzypiec, altówce i wiolonczeli. To młodzi, niezwykle uzdolnieni ludzie, geniusze muzyczni grający w orkiestrze symfonicznej. Na wejście wybrałam *Kantatę 147*. Bacha, *Róże południa* Straussa nieco później. Klasyka w najlepszym wydaniu.

- Lukrecjo, po ich wciągasz w to gówna? Występy artystyczne na tej imprezie mogą im złamać karierę, jeśli nie życie, gdyby coś poszło źle. Zachowujesz się, jakby to miał być prawdziwy ślub.

- Bo będzie prawdziwy.

- Twoje relacje z narzeczoną...

- Jesteś pewny, że odbiegają na niekorzyść od średniej krajowej? - zachnęła się. - A gdyby coś poszło nie tak, to chcę, żeby muzyka była ostatnim, co usłyszę, co my usłyszymy, Paul.

Umysł tej kobiety i sposób doświadczania przez nią emocji fascynowały Paula i przerażały jednocześnie. Jutro zaryzykuje wszystko, żeby wydobyć z więzienia bliską osobę. Nie szacowała na głos ceny, ale mogła być ona najwyższa, to jasne. Zupełnie na zimno rozważała warianty postępowania, plany B i C, nie zdradzając ich nikomu. Zdawał sobie sprawę z tego, że zachowała dla siebie elementy, z którymi wołała, żeby jej nie kojarzył. Pistolet pod sukienką nie był żartem. Płatni mordercy wśród zaproszonych VIP-ów również. Z równym pietyzmem planowała detale związane ze ślubem, paplała jak podekscytowana dwudziestolatka, cieszyła się i przejmowała jednocześnie. I chyba się w nim podkochiwała, ale na to nie starczało już czasu. A może to on podkochiwał się w niej? Podobno ludzie pod wpływem stresu i wysiłku stają się bardziej podatni na swoje wdzięki. Czasem wystarczy na przykład razem nie dobiec do odjeżdżającego autobusu albo niechcący potrącić rowerem sąsiadkę uprawiającą jogging, a przecież nerwowe napięcia dwojga agentów były znacznie silniejsze. Horn czuł, że uzewnętrzniały się w tonie jego głosu, postawie, mimice twarzy. A u Lukrecji nie. Zupełnie nic. Po niej widać było tylko zmartwienie o to, czy tematycznie zaaranżowane stoły w pałacowej sali balowej spotkają się z aplauzem gości. I czy Albert się nie wycofa, ale do tego by się nie przyznała.

Pewnego razu, leżąc w ramionach Paula, rozpoczęła dziwaczną rozmowę.

- Czy wiesz, że Kornelia zrozumiała dowód na istnienie Boga?

Horn zorientował się już w niezwykle delikatnej relacji łączącej obie panie i w żadnym razie nie starał się wchodzić pomiędzy nie obcesowo, jednak sensacje związane z madame Huckelberry zawsze w jakiś sposób wytrącały go z równowagi.

- Wobec tego powinna go natychmiast opublikować w „Science” - odparł, automatycznie złoścąc się sam na siebie za niepotrzebną zgryźliwość.

- Nie o to chodzi - zaproponowała Lukrecja poważnie. - Ona go zrozumiała, nie odkryła.

- Tak czy inaczej jest wyjątkowa - stwierdził Paul polubownie, nie chcąc ciągnąć tego absurdalnego tematu.

- Zdaniem Kornelii dowód na istnienie Boga przeprowadzili mikrofizycy.

- A wcześniej inkwizytorzy. Cóż za wszechstronna kobieta - nie ustępował Horn. - Ciekawe, kiedy posiędzie sztukę sprzątanania kuchni. Może jeszcze w tym życiu, kiedy zdoła zgłębić wszystkie uczone księgi.

- Nie doceniasz jej - zapewniła poważnie Anna. - Czy wiesz, że świat cząsteczek mikro, tych mniejszych niż dotąd w ogóle sądzono, że istnieją, rządzi się zupełnie innymi prawami niż ten w skali makro, w którym żyjemy i który znamy?

- W tym mikro też chyba żyjemy, wbrew pozorom?

- Otóż to. Odkryto, że części składowe świata są nie tylko nieskończenie wielkie, ale i też nieskończenie małe, i już to opublikowano w „Science”, jeśli chcesz wiedzieć.

- Dzięki Bogu.

- Też tak myślę. Wyobraź sobie, że najmniejsze znane dotychczas elementy, te, o których jeszcze nas uczono w szkole, dzielą się na jeszcze mniejsze i znów mniejsze, i jeszcze. Nikt nie zna nieskończoności prowadzącej w tę maleńką stronę. Nie wiadomo, czy są jeszcze materią, czy już energią, a może czymś zupełnie innym. Na przykład duszą.

- Fizycy tak uważają?

- Nie, Kornelia.

- I co z tego?

- Właśnie to, że ona ma zasadnicze, podstawowe znaczenie, jest budulcem świata i materiałem, dzięki któremu możemy go zmieniać, za pomocą subtelnych energii, w sposób prostszy, niż myślimy. - Lukrecja nabierała rozpędu. Widać było, że jej okropna gospodyni zaszczepiła w niej jakieś obrazoburcze przekonanie,

które forsowała z siłą godną lepszej sprawy. Horn nie chciał się w to wtrącać, wolał mieć spokój niż rację.

- Przeprowadzono eksperymenty na tych najmniejszych cząsteczkach i okazało się, że właściwie nie można ich zbadać w ich pierwotnym stanie, gdyż oddziałuje na nie sam fakt badania. Tak jakby sam fakt prowadzenia obserwacji wpływał na ich wygląd i zachowanie. Oko naukowca wywiera skutki, których rozmiarów, nie mogąc uchwycić stanu pierwotnego, nie jest w stanie oszacować.

- Ciekawe - zgodził się Horn.

- Robiono też eksperymenty z cząsteczkami umieszczonymi w laboratoriach oddalonych od siebie o setki kilometrów. Do pomiarów wartości fizycznych zastosowano najczulsze znane przyrządy.

- No i?

- Okazało się, że oddziaływanie na jeden element wywołuje taką samą zmianę w jego bliźniaczym, pozornie niczym z nim niepowiązanym odpowiedniku. Bez najmniejszego opóźnienia. I bez względu na to, czy cząsteczki oddalone były od siebie o dziesięć, sto czy tysiąc kilometrów. Na przeszkodzie tej reakcji nie staje czas ani przestrzeń. Mówimy o delikatnym wpływie, tylko patrzeniu na przykład. Albo myśli.

- Znam wielu, których reakcje zmieniają się drastycznie pod wpływem wzroku innych.

- Nie trywializuj. Czy to nie fascynujące? Zdaniem Kornelii jest to dowód na sprawczość Boga w świecie i nasze na niego oddziaływanie, ogromny, boski pierwiastek tkwiący w nas. I nie mówię tylko o patrzeniu, postrzeganiu zmysłowym, wystarczy myśl, wystarczy we własnej głowie skierować uwagę na daną mikrocząsteczkę, podstawowe tworzywo naszych ciał, konstrukcji gwiazd, planet, mgławic, komet i czarnych dziur, ciemnej i białej materii i energii, żeby spowodować taką mikrozmianę. Czy nie z takich impulsów zbudowany jest cały wszechświat? I czy naszym największym ograniczeniem nie jest przypadkiem to, że nie zdajemy sobie sprawy z istnienia tych mikro-, mikro-, mikroelemencików, dzięki którym moglibyśmy przebudować, stworzyć naszą nową rzeczywistość, gdybyśmy tylko byli sobie w stanie je wyobrazić? Przez ten proces emanuje Bóg. Tak możemy też działać i my, dzieci Boga. Marzenia krystalizują się wykuwane naszymi wyobrażeniami i pragnieniami i biegną do nas ze swojej strony, trzeba się tylko z nimi spotkać.

- Ach, tylko. I o tym wszystkim opowiedziała ci twoja służąca?

- Pani Huckelberry nie jest służącą - oburzyła się lojalnie Anna.

- Widzę, że nie jesteś zainteresowany tym, co mówię.

- Ależ wprost przeciwnie. - Bliskość pięknej kobiety sprawiała, że kapitan był od dłuższej chwili zainteresowany czymś zupełnie innym. - Pierwiastek boskości. Wspaniała teoria.

- Opublikowana w najpoważniejszym naukowym czasopiśmie na świecie - powtórzyła Anna drocząc się z nim, nieco już rozbrojona. - Wiesz, Kornelia bardzo potrzebuje Boga - wyznała nadspodziewanie poważnie.

- Wszyscy go potrzebujemy - skwitował Horn, chcąc już naprawdę przerwać ten męczący wątek.

- Tak, ale ona bardziej.

- Ona jest zawsze bardziej - mruknął niechętnie kapitan, wtulając się w kark swojej słodkiej przyjaciółki.

- Jesteś niesprawiedliwy - odpowiedziała mu tonem, który z każdą mikrocząsteczką milisekundy stawał się coraz czulszy. - I wciąż popełniasz ten sam błąd - nie doceniasz Kornelii.

Gubernator Wiliam McGregory był pochłonięty zbliżającymi się wyborami. Kampania nabierała tempa, a on ze wzmożoną uwagą obserwował jej postępy. Można się było dziwić, że z jego pozycją i po tylu zdobytych kadencjach nie traci werwy ani ochoty do grzebania się w jej najdrobniejszych szczegółach, począwszy od wydawania dyspozycji druku ulotek po sprawowanie dyskretnej kurateli nad sponsorowanym od kilku miesięcy zachodnim skrzydłem miejskiego szpitala. Sir McGregory wiedział jednak doskonale, że ludzi, a zwłaszcza zwolenników, należy kontrolować, szczególnie w momentach newralgicznych dla rozwoju jego osobistej kariery. Ten niezniszczalny i bystry polityk gromił konkurencję i trwał na stanowisku, mimo licznych burz, dzięki wierności jednej prostej maksymie, którą obrał za drogowskaz na początku swojej politycznej drogi i która brzmiała: po pierwsze, ponad wszystko i po wsze czasy WIZERUNEK. Oddał mu całego siebie, poświęcił niebywałe pokłady energii, zdrowia, komfortu i pieniędzy, żeby na koniec stwierdzić: opłacało się. Sir William był najdłużej sprawującym władzę gubernatorem w historii okręgu. Przeciwnicy zarzucali mu co prawda, że nie zrobił wiele dobrego, ale zwolennicy z łatwością odpierali te ataki - z wyjątkowo jak na politykę czystym sumieniem twierdząc, że nie zrobił wiele złego. O swój image dbał jak o najukochańsze dziecko, perfekcyjnie dobierając skalę, jakość, rozgłos i natężenie aktywności stosownie do grup odbiorców, w których stronę je kierował, oraz sytuacji,

w jakich się znajdował. Najhałaśliwiej, z największym rozmachem, w świetle kamer i jupiterów działał w sierocińcach, szkołach, domach samotnej matki, obiektach sportowych, lecznicach dla bezdomnych, placówkach kulturalnych i świątyniach. Najciszej, najsubtelniej, przez długi i zagmatwany łańcuch pośredników – w tanich spelunkach, więzieniach, podejrzanych gabinetach przestępców udających biznesmenów i wszelkiej maści przedsięwzięciach o niejasnym statusie. Jako wytrawny gracz nie lekcewał żadnego głosu poparcia, a i wszyscy ci, którzy mu go udzielili, mogli się – oficjalnie lub incognito – spodziewać z jego strony wyrazów wdzięczności. Gubernator lubił myśleć, że obecną pozycję zawdzięcza wyłącznie własnej pracy, erudycji, słynnej kulturze osobistej, gruntownej niechęci do konfliktów, mistrzowsko rozwiniętej sztuce dyplomacji, a nade wszystko, obsesyjnemu wręcz – co chętnie podkreślał – umiłowaniu detali. Do ludzi odnosił się z sympatią i szacunkiem, nikomu nie odmawiał czasu i uwagi, wiele obiecywał, traktował jak starych, bliskich znajomych, gdyż nie zapominał ani na chwilę, że są to jego wyborcy. Wiedział też doskonale, że dla jednych z nich istotne będzie zapewnienie sprawnego transportu publicznego, dla innych sfinansowanie leczenia ciężko chorego dziecka, a jeszcze dla kolejnych kolor fantazyjnego szala, który z najwyższą precyzją dobierał do drogiego, eleganckiego płaszcza. I tym jakże różnym ludziom, w miarę swoich bynajmniej nieskromnych możliwości, starał się zapewnić to, na czym im najbardziej zależało. A przynajmniej dać im tego namiastkę. W ostateczności pozór namiastki. Ale nikt, dosłownie nikt przez trzydzieści ostatnich lat nie wyszedł z jego gabinetu z pustymi rękami.

Zdarzali się oczywiście niewdzięcznicy. O tych zresztą starał się najbardziej. Na przykład markiza Josephina Delphina di Orsini. Ileż to pieniędzy z miejskiej kasy poszło na jej wydumane zachcianki. A to dom weterana, a to bal na rzecz porzuconych piesków, wszystko z inspiracji tej nienasyconej jędzy, przekazywanych mu przez jej lokajów w formie dalekiej od grzeczności. Inwestycje okazały się nietrafione. Ta znacząca w kręgach magnaterii finansowej postać brylowała na salonach od niemal stu lat i choć była prawie zupełnie niesprawna, miała wielki wpływ na kształtowanie opinii w towarzystwie. Pozyskanie jej przychylności mogło wywindować sir Wiliama o wiele wyżej, ale o to nawet nie zabiegał, starając się jej po prostu nie drażnić. Na przyjęciach omijał z daleka nowoczesny wózek inwalidzki ozdobiony kosztownościami niczym tron. Starał się nie przyciągać wzroku małej, wysuszonej, pokręconej kobiety, o pomarszczonej twarzy

pokrytej brązowymi, starczymi plamami i siwych włosach ozdobionych diamentowymi spinkami i złotymi tiarami. Wszystkie dodatki, które w niemożliwych ilościach zakładała do prostych, czarnych sukien, utkane były z rubinów, szmaragdów i brylantów. Wydłużone ze starości uszy rozciągały dodatkowo w białe nie ciężkie, szlachetne kamienie. Nade wszystko ukochane perły oplatały chude ramiona, wiły się wokół szyi i palców, zwisały bezładnie z poręczy wózka. Wyglądała trochę jak wariatka i zapewne nią była, jednak gubernator musiał przyznać, że wariatka uginająca się pod stosem klejnotów to nie to samo, co wariatka w podartej sukience i kwiatkiem na głowie. Bał się jej jak ognia. Nie miała nawet tyle szacunku, żeby przywitać się skinieniem głowy, na jego publiczne ukłony machała tylko niecierpliwie ręką. Tytułowała go po prostu „Willy”, jak kamerdynera lub posłańca. Gubernator nie obrażał się o to jawnie, był na to zbyt doświadczonego politykiem. Wiedział, że osobiste animozje nie mają sensu i wypływają zawsze w nieoczekiwanym miejscu i czasie, przynosząc zbędne szkody. William Gregory nie mógł się już doczekać, kiedy z powagą i żalem odprowadzi Josephinę Delphinę di Orsini w uroczystym kondukcie do marmurowego grobowca, który zajmował ćwierć miejscowej nekropolii, i wygłosi na jej cześć patetyczną, wzruszającą mowę żałobną. Miał już ją nawet przygotowaną. I choć wydawało się, że to bliżej niż dalej, stara z uporem maniaka pokonywała kolejne lata, a na domiar złego z całości swego zrujnowanego zdrowia zachowała jedynie doskonałą pamięć. Pocieszające, choć przy tym okropnie denerwujące było natomiast to, że lekceważyła gubernatora tak bardzo, iż nie uważała za niestosowne zabawiać towarzystwo historiami z zamierzchłej przeszłości, gdy to rzekomo zajmował się najpierw końmi, a później samochodami jednego z jej kuzynów. Na domiar złego ubzdurzała siebie, że w owym czasie zginęła z pałacowego salonu inkrustowana cukiernica, jedyna pamiątka po jej włoskiej praprababce, równie niezniszczalnej i zasuszonej jak teraz ona. Było to głęboko krzywdzące i niesłuszne, gdyż młody student William zabrał sobie wówczas na pamiątkę jedynie komplet srebrnych sztućców i to tylko dlatego, że zachwycił go ich wzór i wygrawerowane ozdobne inicjały, tak że chciał w przyszłości odtworzyć je na własnej zastawie stołowej. Wystarczy zresztą zostać dzisiaj zaproszonym na jedną z eleganckich kolacji wydawanych w ratuszu, żeby przekonać się, że była to doprawdy wyjątkowa ornamentyka. Sir Gregory do dzisiaj odczuwa irracjonalną obawę, że markiza pojawi się przypadkiem na jednej z nich, na przykład jako osoba towarzysząca jakiegoś znamienitego gościa. I choć z biegiem lat

prawdopodobieństwo tego znacznie spada, a jedyne męskie towarzystwo, w jakim obraca się wiekowa dama, to jej sześciu dwudziestokilkuletnich, muskularnych opiekunów, zmieniających się ponoć co cztery godziny w ciągu doby, a takie osoby oczywiście na tego typu imprezach nie bywają. A jednak ta niemiła myśl wciąż tkwiła w zakamarkach głowy najwyższego urzędnika w okręgu. Dowodzi to tylko tego, że jako człowiek wyrafinowany nie potrafiłby niczego ukraść wprost, gdyż jest estetą, a nie złodziejem.

Ach, ile zmartwienia miał z tym wszystkim gubernator! I teraz jeszcze zaproszenie na uroczystość zaślubin kongresmana Alberta McKenziego z kobietą, którą - tak jak wiele innych swoich znajomych - wyróżniał mianem najdroższej, wyjątkowej przyjaciółki. Powinno właściwie sprawić mu radość i być jedną z wielu cegiełek pieczołowicie dokładanych przez lata do kunsztownej budowli jego image'u. Zdawałoby się taka zwyczajna okoliczność, a ileż trudnych do przewidzenia możliwych komplikacji! Zbyt wielu wyborców z kręgów, które na co dzień zwykł od siebie szczerze oddzielać, spotka się nagle w jednym miejscu. Nic dobrego nie mogło z tego wyniknąć, zwłaszcza na półmetku kampanii. Zaszczycić swoją obecnością czy nie? Tyle potencjalnych głosów... Chyba nie będzie innego wyjścia.

Gun szykował się do ślubu kongresmana niezwykle starannie. Miał nawet zamiar wybrać się tam w towarzystwie pewnej lady, wielkiej damy, pazernej na tyle, iż uznała za korzystne udawać, że Tao jest dżentelmenem. Poznali się niedawno na przyjęciu z okazji otwarcia wystawy pewnego modnego artysty, którą *padrino* dofinansował. Boss nie przepuszczał okazji do pokazania się w szanowanym towarzystwie, jednak tym razem prześladował go pech. Tuż przed ceremonią pokłócił się, tylko trochę, ze swoją towarzyszką, a ta głupia suka obróciła się na pięcie i wyszła bez słowa. Myślał, że tylko wypłakać się do toalety, ale zanim zdążył ochłonać, usłyszał odgłos odjeżdżającej taksówki, do której dama wsiadła nie niepokoiona przez nikogo. Chłopcy mogli oczywiście ją dogonić, wywlec za włosy i przyciągnąć tu z powrotem, ale Tao uznał, że nie jest tego warta. Na przyjęciu pozna z pewnością tuzin następnych przedstawicielek klasy wyższej i jako mecenas sztuki bez problemu zawojuje ich serca, tak jak i tamtej kretynki.

Przymierzając smoking, przypomniał sobie o McKenzim. Senator nadal dąsał się trochę, niby miał o co, ale trwało to już za długo. *Padrino* podkreślał wprawdzie, że rozumie przedślubne

napięcie, ale właściwie go nie pojmował, gdyż sam nigdy żadnego napięcia z tak błahego powodu nie odczuwał. Znajdując się akurat w wyjątkowo długiej fazie dobrego humoru, wziął jednak na nie poprawkę i postanowił Albertowi wybaczyć. Przeczłoğa go później.

Wychodząc z salonu, boss się potknął. Otaczający go goryle rzucili się do podtrzymania szefa, w ostatniej chwili chroniąc go przed upadkiem. Gun się zatrzymał. Był bardzo przesądny, jak cała jego rodzinna wieś. Czy to zły znak? Pozostało niewiele czasu, nie chciał się spóźnić, uważał, że na ślub, rozwód i pogrzeb nie wypada. Szofer na dole już otwierał drzwi limuzyny.

Ceremonia odbywała się w powolnym, dostojnym tempie. Zaproszonym dano czas i możliwość podziwiania każdego szczegółu. Muzyka klasyczna pobrzmiwała w tle. Zapach kwiatów - na przekór Lukrecja wybrała konwalie - intensywnie przesycił powietrze. Biskup w otoczeniu koncelebrujących kapłanów odzianych w odświętne, barokowe w swym przepychu szaty oczekiwał wewnątrz. Był tłum gości, chyba z trzysta osób. Twarze z pierwszych stron gazet i zupełnie nieznanie, tym kapitan przyglądał się z wytężoną uwagą. Rewia mody, ale stroje taktownie dobrane według zasady, że nie wypada przyćmić panny młodej. Zresztą, komu by się to udało!

Kątem oka dostrzegł potężną, szykowną damę w eleganckiej, zielonej sukni i fantazyjnym efektowniku na głowie. Jej szpilki od Lauboutina, w nieprodukowanym masowo rozmiarze 47, musiały kosztować więcej niż dwuletnia średnia krajowa. A niech to, pani Huckelberry! Wyraźnie wzruszona. Miał nadzieję, że nie maczała palców w przygotowaniu weselnego menu. Tao Gun w otoczeniu kolegów. Horn mimochodem poczuł ciarki na plecach. McKenzie właśnie się skończył. Krążyły pogłoski o zażyłości tych dwóch panów, ale to co innego niż goszczenie na własnym ślubie największego gangstera w regionie. O dziwo, Albert powitał go chłodno, bez zwyczajowo udawanej serdeczności, która powinna być tym większa, im okazalsza była po temu okazja. Przybył też gubernator w otoczeniu pochlebców. Sunął dostojnie, nie pozwalając się nie zauważyć, otoczony nimbem niespotykanej w dzisiejszych czasach kultury osobistej i rzekomej dobroduszości. Przystawał na nieco dłuższe chwile wyłącznie na tle ozdób komponujących się kolorystycznie z jego jedwabnym fularem. Mistrz - przebiegło przez głowę Hornowi - wirtuoz autoprezentacji.

Młody gladiator pchał przed sobą wózek inwalidzki,

wyposażony w funkcje zapożyczone z bolidów Formuły 1. Co najmniej kilkadziesiąt pożądlivych spojrzeń spoczęło na odświętnym zestawie biżuterii Josephiny Delphiny di Orsini i nie stały za tym bynajmniej czyste intencje. W pierwszej ławce zasiadła lady Sara McKenzie, spowita w głęboką, wdowią czerń, z gęstą woalką spływającą spod ronda kapelusza, mającą ukryć, jak trudno było jej utrzymać tego dnia zwyczajową obojętną powagę. Obok niej Theresa von Hochstein, bledsza niż zwykle, nie chciała tu przyjść, nie miała siły robić dobrej miny do złej gry, znosić wścibskich spojrzeń, odpowiadać uprzejmie na podszyte fałszywą troską uśmiechy. Uległa jednak posłusznie swojej niedoszłej teściowej i stanęła przy jej boku z podniesionym czołem, ze smakiem gorczy i upokorzenia w zaciśniętych ustach. Nie wystroiła się - prosta, skromna, również jakże niestosownie czarna sukienka wyrażała cały jej stosunek do tego rozgrywającego się wokół tandetnego cyrku.

Poza tym wszędzie pełno było młodych, atrakcyjnych kobiet, córek polityków, przedstawicieli finansjery, świata nauki i sztuki. Która z nich to Sisi, prostytutka? Pewnie niejedna mogłaby nią być. A strzelec wyborowy? Tych jest tu wielu. W otoczeniu Guna, na celowniku policji, jawnie i w ukryciu.

Albert blady, dostojny, emanujący spokojem, finezyjnie elegancki, oczekujący na przybycie narzeczonej. Trzeźwy i „czysty”. Arystokratyczny. Niespodziewanie ujawniły się w nim szlachetne cechy jego znakomitego rodu. Horn pomyślał, że taka uroczyść, nawet fikcyjna, wyzwala w człowieku pokłady zalet. Może szkoda, że nigdy nie był żonaty? Eee, nie.

Zbliżała się ona. Lukrecja. Zjawiskowa w długiej, klasycznej sukni. Dopasowana góra na szerokich ramiączkach opadających w spiczasty głęboki dekolt, z gołymi plecami przeciętymi szerokim, prostym pasem materiału skrywającym luksusową bieliznę czekającą na niecierpliwe palce przyszłego męża. W talii średniej szerokości prosty pas zwieńczony z przodu symetryczną kokardą. Dół sukni rozszerzany, miejscami marszczony, z tyłu układający się w półzaokrąglony, dosyć skromny tren, dyskretne rozcięcie ukazujące zarys zgrabnej nogi i to wszystko. Prostota i jakość, w cenie, na którą nie stać arabskich księżniczek. Włosy upięte w gładki kok nad karkiem, okryte welonem, co Horn uznał za przesadę. Promieniejąca, uśmiechnięta, dumnie wyprostowana, a jednocześnie swobodna i pełna wdzięku. Najwłaściwsza żona dla arystokraty. Idealna panna młoda. Całości dopełniały świece i ornamenty, emanujące bogactwem.

Paul z potrojoną uwagą obserwował otoczenie. Jego wytężone zmysły napięły się do granic możliwości. Wychwycić każdy dźwięk,

każdy szmer w głośnej kakofonii muzyki, rozmów i śmiechów. Zaobserwować najmniejszy podejrzany ruch, niecodzienny grymas na jednej z setek odświętnych twarzy, nie przeoczyć niestandardowego elementu w zaaranżowanej niby zwykłej sytuacji. W bliskiej i dalekiej perspektywie. W każdej milisekundzie nadciągających dwóch godzin. Alternatywą była śmierć. Na placyku nieopodal katedry młoda Azjatka pilnowała synka jeżdżącego w kółko na małym rowerku. Dziecko odwróciło buzię w stronę agenta, a ten błyskawicznie zacisnął dłoń na rękojeści pistoletu. Przez mgnienie oka wydawało mu się, że widzi zakamuflowanego karła podszywającego się pod sielską, rodzinną scenkę. Przeszedł go nieprzyjemny dreszcz. W kolejnym ułamku milisekundy zganił się surowo za tak nierozsądną zapowiedź własnej, mogącej przynieść mu zgubę porywczosci. Muszę być bardziej opanowany – przestrzegł w duchu sam siebie. Mały miał na głowie luźną, czarną, długą kominiarkę, której przód zdobił biały wzór stylizowany na coś pomiędzy trupa czaszką a obliczem ducha z halloweenowej parady. Pokrzykiwał coś w niezrozumiałym języku do matki, a ona odpowiadała mu ze śmiechem. Jak można pozwolić dziecku założyć coś takiego? Chińczycy słyną z produkcji tkanin za ułamek juana, kolorowych, wesołych, coraz lepszej jakości. Bawią się nimi, eksperymentują, często zmieniają - niewiele tracą, bo niewiele są warte. Czyjeś małe rączki w Państwie Środka pracowicie utkały tę niby zabawną czapkę po to, żeby rodak, który miał więcej szczęścia i przedostał się z rodzicami do zachodniego świata, mógł ją dla zabawy założyć na równie drobnej główkę.

Głupia myśl. Ostatnia, która uciekła w bok. Koncentracja, przede wszystkim koncentracja. Gra o wielką stawkę. Gdzie Phil? Powinien już tu być. Pewnie specjalnie wprowadzą go z lekkim opóźnieniem, dyskretnie, unikając tłumu wlewającego się przez wrota kościoła. Może stoi przy bocznym wejściu? Kapitan wolał przejąć go na zewnątrz. Działał sam, a powinien mieć chociaż jednego współnika. To znaczy miał go, ale zauważył, że jego współnik właśnie poprawia sobie brylantową spinkę przy welonie. Znak? Zanim błysnęła ta myśl, dostrzegł zamieszanie i krzyk. Sisi? Sanders? Rzucił się w kierunku największego zamętu i dostrzegł Tao drgającego w kałuży krwi. Albert stał spokojnie z pistoletem w dłoni, niewzruszony i arystokratyczny.

Dalej wydarzenia potoczyły się błyskawicznie. Kolejny wybuch wrzasku i paniki. Kwartet smyczkowy w zupełnej rozsypce, połamana altówka. Rozpychając zdezorientowany tłum, Paul przedarł się w tamtą stronę. Sanders, przy nim Anna w poszarpanej, zakrwawionej sukni.

- Niech pan pomoże! - zawołała do kapitana. - On chyba umiera! Niech pan go stąd zabierze!

Dookoła był straszny hałas i tumult, ludzie zaczęli się tratować, wokół leżały ciała mężczyzn. Ochroniarzy Phila, gangsterów Tao, przypadkowych gości? Rzuciła mu się w oczy rozplątana na pół twarz o rysach neandertalczyka. Chryste, jak oni ich dobierają! Gubernator nierozumiejący, dlaczego nagle stracił audytorium, starający się wycofać bez oznak pośpiechu. Nie teraz.

Horn chwycił Sandersa pod pachy i odciągnął na bok. Słyszał przejmujący sygnał karetki. I kolejny strzał. Postać w białej sukni się przewróciła.

- Wsiadaj do karetki! Wsiadaj szybciej! - usłyszał.

U stóp kongresmana wiły się na kolanach dwie czarne postacie. Pierwsza dobiegła matka, rzuciła się, żeby przeszkodzić, nie zdążyła, podobnie jak obejmująca teraz jego nogi i nadaremnie próbująca go przewrócić Theresa. Twarz lady Sary była wykrzywiona grozą, pocięta nierównymi zmarszczkami, których nigdy na niej nie widziano. Nie do poznania. Mademoiselle von Hochstein, z przebijającym jakże w tej chwili niestosownym wyrazem satysfakcji, gdyby ktoś chciał jej teraz słuchać, zapytałaby zapewne:

- A nie mówiłam?

Albert podniósł pistolet po raz trzeci.

Na podłodze trwała reanimacja. Sanders dostał naprawdę, w szyję. Strzelała Lukrecja. Zgodnie z umową pułkownik miał przeżyć. A więc to był element planu, który przed nim ukryła. Horn nie mógł otrząsnąć się z szoku. Dlaczego? Co się właściwie stało? Nie dojechali do szpitala, Phil umarł w drodze. Paul w pierwszej chwili nie uwierzył w to, pewnie podali mu jakieś leki pozorujące zgon. Widocznie plan był o wiele doskonalszy niż zdradziła mu Anna, ale widział w życiu już wiele ran, ta była głęboka i śmiertelna. Mistyfikacja? Czy to możliwe? Nie odstępował Phila, białego kształtu okrytego prześcieradłem, pojechał z nim do kostnicy, czekał. Nie wiedział na co. Lukrecja strzelała, żeby zabić. W końcu to zrozumiał. To była jego jedyna rola, rola durnia. Największego w tej akcji, nie licząc tych, którzy nie żyją.

Rozdział 6

WŁADZA

Lukrecja usiadła przy oknie. Wyczerpana, ukryła na chwilę twarz w dłoniach. Czuła wielką satysfakcję pozbawioną radości. Tyle lat, tyle trudności. Po drodze człowiek wypala się, zniechęca, zmienia priorytety. Coś, co stanowiło sedno życia, wokół czego uporczywie krążyły myśli i pragnienia, ewoluje, zmienia się niepostrzeżenie, uspokaja w końcu i błędnie. Wszystko się przedawnia. Idea, niegdyś tak paląco żywa, od której odchodzimy, aby potem wrócić przyciągani niewidzialnym magnesem, pokrywa się kurzem. I kiedy w końcu, często dość nieoczekiwanie, osiągamy to, czego chcieliśmy, nie ma to już dla nas pierwotnego znaczenia. Zbyt długa droga potrafi za mocno wyczerpać. Pragnienia smakują najlepiej, kiedy spełniają się szybko.

Lukrecja, właściwie Anna, jeszcze piękna, zgorzkniała kobieta o zamkniętym sercu. Kiedy żyje się już jakiś czas, ma się możliwość zweryfikowania wyobrażeń na swój temat. Zakompleksiona, niekochana dziewczynka, niezauważana przez chłopców, zawsze gorsza. Jak i kiedy z chorobliwie nieśmiałej i przestraszonej nastolatki stała się bezwzględną, podstępną lwicą? Ta grzeczna istota, zbyt lękliwa, żeby pozwolić sobie na jakiegokolwiek niesforne zachowanie, zbyt wrażliwa, aby komuś sprawić przykrość? Ile pogrążona w letargu przetrwała porażek i upokorzeń, zanim wyciągnęła pistolet spod ślubnej sukni, żeby wymierzyć w szyję człowieka łudzącego się nadzieją, że ona go uratuje? Jak wielkie poniosła straty, na jak długo dobrowolnie usunęła się w cień, ustąpiła tym, których uważała za lepszych od siebie? Kiedy właściwie zorientowała się, że są w swojej próżności po prostu głębsi? Ile lat zajęło jej przekonanie się, jak wielkie wywiera wrażenie? Jak łatwo okręcić ludzi wokół palca? Co się zyskuje poprzez okazywanie empatii? Jakie korzyści płyną z prezentowania

się jako słaba, brzydka, nikomu niezagrażająca postać? Jak wielokrotnie zwiększoną moc ma rzadko okazywana siła? Jak niespodziewaną bronią jest skrzętnie ukrywana bezwzględność? Kiedy odmitologizowała miłość i przyjaźń, przestała ich chorobliwie, gorączkowo pragnąć, a w końcu odrzuciła jako niepotrzebne obciążenie?

Jej ciało. Osobny byt. Luźno powiązane z duszą. Gdyby naprawdę, jak mówią, człowiekiem rządził umysł, byłoby przecież piękne, zdrowe, silne i podziwiane przez innych. Sporo przeszło, zanim stało się wiernym sługą. Czy o to jednak chodzi? Rozczarowanie mamy i taty, gdy urodziła się dziewczynka, o czym jej nie wiedzieć czemu później powiedziano. Zabawna anegdota powtarzana do zdarcia na spotkaniach towarzyskich rodziców, aż zaczęła śmieszyć ją samą. Kilka poważnych chorób, przewycięzonych wbrew nadziejom. Zniechęcenie, wyrażone potajemnym cięciem przedramion żyłką. Bulimia i anoreksja. Dwa jakże wstydlive końce tego samego kija. Brak wiary we własne możliwości. Ciągły bunt, gdy przez lata uparcie odrzucało zasady, które Lukrecja próbowała mu narzucić. Przez długi czas podejrzewała nawet, że jest jej największym wrogiem. Dziecinada, na szczęście dawno minioną. Nikt nie zauważył, była sprytniejsza od dorosłych, doświadczonych znacznie ciężiej w wojnie, skrajnej biedzie, odrzuceniu i niezrozumieniu. Może to za miłąkę wobec ich przeżyć? Jak to możliwe, że nimi jeszcze mniej się zajmowano, a mimo to byli mocni i twardzi? Samodzielni w wieku kilku lat. W którym miejscu tkwił błąd we współczesnym wychowaniu i jakie miał znaczenie dla przyszłości dzieci? Dlaczego jeszcze niedawno prokurator nie ścigał matki sześciolatniej dziewczynki, która stojąc na stołku, gotowała zupę dla całej rodziny, a teraz, kilka lat później, poddałby ją sądowej kurateli?

Paradoksalnie Anna Litewski niemal od urodzenia czuła, że jest wyjątkowa. Poza okresem młodości, naturalnie ściśle uzależnionym od akceptacji grupy rówieśniczej etapem rozwoju człowieka, dla umocnienia poczucia własnej wartości nie potrzebowała przeglądania się w niczyich oczach. W głębi serca pozostała samotniczką. To pozwoliło jej samodzielnie, bez pomocy z zewnątrz przekuć jedno zaburzenie psychiczne w drugie, oceniane w dzisiejszym świecie jako korzystniejsze, bardziej wartościowe i pożądane. Czyż wszyscy osamotnieni, wzdragający się przed bolesnym i niewiele wnoszącym ekshibicjonizmem wymuszonym w wyliczonym czasie na kozetce obcego psychoanalityka nie powinni brać z niej przykładu? Potrzeba umiejętności, żeby wydobyć powalającą urodę własnego ciała. Lat ćwiczeń, aby

nabrało mocy i dawało zwierzęcą radość z nieokiełznanych możliwości. Dojrzałości, aby docenić potencjał drzemiącej w nim brzydoty, zrozumieć, jak użyteczną jest cechą i jak łatwo się za nią schować, kiedy wymaga tego sytuacja. Prawdziwe ciało. Zmarszczki wokół oczu. Założmy, że mimiczne. Zaszarżujmy, że powstały od śmiechu. Linia smutku od nosa do warg. Wyraz charakteru. Zbyt luźna skóra, to już trochę gorzej, ale kto to zauważy? Ktoś bliski, a takiego nie ma. W owal twarzy wkrada się wiotkość. Niewielka. Kilka systematycznych zabiegów i po sprawie. Może to rozwiąże kłopot na resztę życia, kto wie, ile ono potrwa. Na razie jest świetnie. Lepiej niż kiedykolwiek.

Ciało. Wszystko, co ma. Potencjał i broń. Priorytet, od którego zależy miejsce przebywania duszy. Nikt jeszcze nie odkrył, gdzie się tuła potem. Musi być w dobrej kondycji, bo gdy ostatecznie podupadnie, ona z niego uleci. Więc trzeba o nie dbać i nie obruszać się na ludzi, że zwracają uwagę przede wszystkim na nie, skoro własne najgłębsze ja porzuca je, gdy sypie się nadmiernie i odlatuje w inne – ponoć lepsze rejony. Młodszy kochanek. Nie jest zły, ale wołała starszych. Co prawda ci starsi zbliżali się już wiekowo do niebezpiecznej granicy stetryczenia i było ich coraz mniej, ale nadal najbardziej interesujący mężczyźni mieli więcej lat niż ona. Teraz gdy budzi się rano i nie chce jej się otworzyć oczu, może przynajmniej powiedzieć: mam swoje ciało. Jest wspaniałe. Widzi, chodzi, czuje. Kusi urodą. Nie wszyscy dostąpili takiego szczęścia. Jedyne, o co miała do niego żal, to, że nie dało jej dziecka.

- Może i lepiej. Prowadzisz zbyt awanturniczy tryb życia. Dziecko potrzebuje spokoju – pocieszała Kornelia.

- Gdybym je miała, żyłabym inaczej.

- Musiałabyś je urodzić w wieku dwudziestu paru lat, wtedy byś poszła inną drogą. Teraz jesteś tak uwikłana, że tylko byś je narażała.

- Ty swojego nie narażałaś, a przeżyłaś taką tragedię. Nie mogę o tym nawet pomyśleć. Zresztą z dziećmi są same kłopoty. Choroby, zarwane noce, problemy z nauką, przekora. Lepiej chyba w ogóle ich nie mieć, niż później stracić. Wybacz, że o tym wspomniałam, nie chcę rozdrapywać twoich blizn, ale tak pomyślałam, Kornelio.

- Lepiej mieć – odpowiedziała bez namysłu pani Huckelberry.

Kiedy była małą dziewczynką, często spędzała wakacje u dziadków na wsi. Szczęśliwe chwile, gdy dzieci biegały samopas i bawiły się od rana do wieczora, a dorośli zajęci pracą dbali tylko, aby je od czasu do czasu nakarmić, poza tym nie zwracając na nie większej uwagi. Czasem odwiedzali ją rodzice, raczej nie z tęsknoty,

ale dla zachowania pozorów troski o córkę i z poczucia obowiązku. Poczucie obowiązku było w tej rodzinie motorem większości podejmowanych działań. Innych motywacji nie znano lub nimi gardzono. Jej matka panicznie bała się myszy. Podczas żniw, gdy przrzucano snopki zboża w stodołę, niemal pod każdym znajdowało się gniazdo pełne maleńkich, łysych i ślepych, brzydkich, różowych stworzonek. Obok czekały dwa tłuste kocury, przejezione już, jednak niezamierzające się oddalać z miejsca nieoczekiwanej obfitości. Przerazona Anna na próżno próbowała je odganiać, zgarniała małe myszki do fartuszka garściami, aż był pełen tak, że materiał zaczął się rwać, i zaniosiła je do domu. Matka podniosła alarm, ale dziewczynka stała niewzruszona, zastanawiając się, gdzie znaleźć bezpieczne schronienie dla zwierzątek. Babka w milczeniu obserwowała tę scenę, z lekceważeniem przyglądając się panice synowej.

- Odnieś myszki do stodoły - poleciała mama. Była na Lukrecję wściekła, ale bała się do niej podejść.

- Nie, bo zjedzą je koty.

- Dziadek już je przepędził, poszły sobie.

- Ale mogą wrócić.

- Nie wrócą, zamkniemy drzwi.

- W deskach są duże szpary, kotki przejdą z powrotem - upierała się dziewczynka. Matka płakała. Lukrecja płakała.

- Odnieś myszki, bo tęsknią za swoimi mamami - wkroczyła babka. - Zabrałaś je z ich domków, chcą do nich wrócić.

- Ale ja nie rozróżnię, z których są gniazdek - zmartwiło się dziecko.

- Nie szkodzi. Ich mamy je rozpoznają i zabiorą ze sobą.

- One wszystkie są takie same.

- Dla matki każde dziecko jest inne. Teraz biegają przestraszone i wszędzie ich szukają. Pośpiesz się.

Babka chwyciła Lukrecję za ramię, uważając, żeby nie dotknąć dłonią zawartości jej fartuszka, i stanowczo poprowadziła w kierunku stodoły. Dziewczynka wyłożyła delikatnie wszystkie myszki na słomę i chciała poczekać, aż mamy po nie przyjdą, ale babka oświadczyła, że trzeba stąd wyjść, bo dorosłe myszy są dzikie i boją się podejść. Lukrecja czuła, że to nieprawda, ale nie śmiała się sprzeciwić. Na podwórku zobaczyła zmierzającego w stronę stodoły kota.

- Nie wejdzie tam - uspokoiła starsza kobieta i obie wiedziały, że kłamie.

Wróciły do domu.

- Trzeba uprać jej sukienkę - poleciała babka zdenerwowanej

matce. Więcej o tym nie rozmawiały. Po raz pierwszy w życiu, wbrew zapewnieniom dorosłych, Anna wyczuła, co się stało. Przez nikogo nie pocieszana przepłakała wiele dni. A później zaczęła słuchać wyłącznie swojego instynktu.

Nieszczęśliwe dzieciństwo wcale nie jest najgorszym, co może się człowiekowi przytrafić. Wręcz przeciwnie, zbyt sielankowe – któż zresztą takie miał? – bywa w dorosłości prawdziwą kulą u nogi. Te zobowiązania wobec bliskich, decyzje podejmowane lub wstrzymywane wbrew sobie, aby tylko nie urazić ukochanej babci, życiowe wybory ku zadowoleniu drogiego dziadziusia i cioteczki. Stopnie jego nieudania są zresztą względne. To, co dla jednych jest traumą, dla innych stanowiłoby spełnienie marzeń o spokoju i bezpieczeństwie. Każdy dorosły człowiek – skoro żyje – potrafił je znieść, nie ma więc dostatecznych powodów, aby zrzucić na nie odpowiedzialność za swoje porażki czy ograniczenia. Wyjątkiem są ci ostatecznie złamani lub zniszczeni, ale Lukrecja do nich nie należała. Dawno temu przekonała się, jak trudno jest polegać na samej sobie i z jak ciężkimi zawodami się to wiąże. Cóż dopiero wiara w innych, choćby formalnie mieli obowiązek stanowienia dla nas opoki. Modne tłumaczenia niepowodzeń przykrymi rodzinnymi incydentami, które wydarzyły się dwadzieścia, trzydzieści czy czterdzieści lat temu, Anna Litewski uważała za psychologizujący bełkot. Miała szacunek do swojego życia w każdym jego, nawet najmarniejszym i najwstydlivszym momencie. Wszystko, co przeżyła, ją ukształtowało. Zahartowało. Dało siłę.

Teraz będzie jeszcze trochę zamieszania. Ostatni akt. Niewiarygodne, jak mało jest potrzeba człowiekowi, żeby szczęśliwie żyć. Żeby nie był głodny. Żeby nie bolało. I żeby było ciepło. Tylko i aż tyle. Naprawdę.

Lukrecja spoglądała na drogę prowadzącą przez ogród. Wkrótce spodziewała się gościa.

A więc został wykorzystany i zniszczony. Ośmieszony do cna. Litewski odegrała całe to przedstawienie z wyciąganiem Sandersa z pierdła. Z kolei Twigg oddelegował go do tej akcji, żeby go wrobić. Z dużym prawdopodobieństwem brał pod uwagę, że w razie czego go poświęci.

Zacznę od niej, jest łatwiejszym celem. Aby do niej dotrzeć, nie trzeba sforsować setek zabezpieczeń i minąć kilkudziesięciu uzbrojonych funkcjonariuszy – zdecydował Horn, starając się stłumić agresję i wściekłość, które zalewały mu krwią oczy. Na

generała przyjdzie czas później. Wiedział, gdzie jej szukać, i spodziewał się, że go oczekuje. Po opatrzeniu niewielkiej rany i kilku szybko przeprowadzonych badaniach na własną prośbę wróciła do domu, obiecując lekarzom, że będzie odpoczywać i we własnym łóżku wracać do zdrowia. Zapewniła ich również, że nie znajduje się w szoku i że nie popadnie w załamanie nerwowe po niedawnych tragicznych wydarzeniach, zwłaszcza po samobójczej śmierci niedoszęłego męża, który trzecią kulę wpakował sobie w łeb, w co zdaje się, uwierzyli. Kapitan zahamował przed wiekową posiadłością z piskiem opon. Był pewien, że przygotowała dla niego jakąś nieprzyjemną niespodziankę i tym razem postanowił zachować czujność. Nie miała szans, chyba że wynajęła snajpera, który strzeli do niego z dużej odległości. Może słynną Sisi, o ile ta postać istniała w realu. Albo sama to zrobi, jeśli potrafi. Wtedy – trudno. W przeciwnym razie zapłaci za to, co uczyniła.

Wszedł do domu, sprawdzając, czy nikogo w nim nie ma. Siedziała przy oknie, nieruchoma i przybita. Musiała zauważyć go wcześniej.

Ścisnął w dłoni rewolwer. Anna nie miała szans. Popatrzyła zgazonym wzrokiem. Ciekawe, co tym razem chowała pod kiecką. Może granat?

- Daj spokój, Paul, powiem ci wszystko. Zyskamy oboje. - Grała na czas.

- Phil był twoim kochankiem, nie bratem. Peter cały czas się ciebie boi. Wie, że drążysz temat. Nie miałas wystarczających dowodów na niewinność Phila, ale nigdy nie przestałas ich szukać. Znałas jego małe, ambicjonalne świństwo, za które ten facet siedział w więzieniu. Nienawidzicie się, co? To dlatego skazał cię na tę misję. Liczył, że zginiesz. Miał cię wykończyć któryś z chłopaków Twigga albo Tao, albo jeszcze ktoś inny. Zresztą zginiesz i tak, podobnie jak Phil. Swoją drogą ten facet naprawdę miał pecha. Mógł przecież powiesić się w więzieniu albo zostać zadźgany nożem podczas bójki na spacerze. Mógł udławić się posiłkiem lub ciężko zachorować. A po prostu spotkał ciebie. Cały czas mnie oszukiwałaś.

- Pogubiłeś się, Paul - zdziwiła się.

- Jesteś zabójczynią, Lukrecjo. Ta cała mistyfikacja. Miałem być twoim kozłem ofiarnym.

- Wręcz przeciwnie Paul. Tylko ty to możesz osiągnąć. Nie istnieje bez ciebie.

- Peter nie jest bardziej winny niż pozostali, Anno. Ukartowałaś wszystko z Philem. On nie jest twoim bratem, nie wiem, jak to sfigowałaś, jak mogli cię nie przeświecić. Te wszystkie plotki.

Stary myślał, że to Tao je rozsiewa, nie podejrzewał ciebie. Oszukałaś ich obu. I mnie. Nie kłam już. Przykro mi.

Czuł, że najmniejsza chwila zawahania będzie go kosztować życie. Anna siedziała na krześle, całkiem bezbronna i dziwnie wykręcona, z wykrzywioną twarzą. Przemknęła mu przez głowę myśl, że w obliczu śmierci każdy chociaż na chwilę traci fason. Nawet ona.

- Żegnaj, *me amo*.

Ciemność i huk.

- Żegnaj, Paul. - Lukrecja wstała z krzesła.

Potworny ból. Sklejone oczy. Głowa oblepiona czymś, chyba krwią. Żebra też. Spróbował podnieść rękę. Bezskutecznie. Przesunął ją tylko lekko w bok i się poddał. Jeszcze jeden wysięk. Otworzyć oczy. Chociaż jedno. Małą szparkę. Jest. Mętne, czerwone światło.

- Budzi się. - Skądś znał ten głos, ale nie potrafił rozpoznać, czy należy do mężczyzny, czy do kobiety. Zapadł w czerń.

Kolejna próba. Boże, jak zimno. I wilgotno. Pić.

- Pić - wydawało mu się, że wydał z siebie głos, ale nie. Nagłe szarpnięcie. Ktoś ciągnął go za nogi. Nieprzytomny ból. Bezwzględnie zwalono jego ciało w jakimś twardym kącie. Udało mu się uchylić powieki. Boże! Pani Huckelberry.

Niekończący się czarny kondukt lśniących limuzyn ciągnął powoli, blokując ruch w całym mieście. Gdy z jednych pod cmentarzem wysypywali się żałobnicy, inne stały jeszcze w wielokilometrowym korku, a ich pasażerowie denerwowali się bezsilnie, że spóźnią się na ceremonię. Trudno było znaleźć księdza, który zgodziłby się ją poprowadzić. Arcybiskup i biskup wymówili się brakiem czasu, prałat właśnie wyjeżdżał, a kilku poproszonych o posługę kanoników dopadło ciężkie przeziębienie. Czyż jednak wszyscy nie jesteśmy dziećmi bożymi, jak powiedziałyby Kornelia Huckelberry? Duch Tao straszył nawet po śmierci. Ostatecznie chęć wyraził mało znaczący w kościelnej hierarchii proboszcz parafii na przedmieściach, o którym plotkowano, że utracił kontrolę nad karcjanymi długami. Nekropolia zarośla się od ludzi ubranych jak na najnowszy pokaz żałobnej mody. Najslabiej na tym tle wypadali podstawieni agenci różnych służb, trudno im było wtopić się w tłum w swoich o dziewięćdziesiąt procent tańszych marynarkach. Co ciekawe, wszyscy goście udawali, że się nie znają. Kobietom było łatwiej, ukrywały twarze za gęstymi, nieprzejrzystymi woalkami, aż

dziwne było, że cokolwiek przez nie widzą. Mężczyźni szli, symulując wielkie zamyślenie albo przypadkową tu obecność. Ot, podjechali rolls-royce'em pod cmentarny mur, żeby zapalić świeczkę na grobie kuzyna, aż tu nagle zostali otoczeni przez obcy tłum odprowadzający Tao Guna w jego ostatnią drogę.

Gangster spoczął w okazałej katakumbie, w sąsiedztwie dawnych znajomych, którym sam nierzadko pomagał przeprawić się na tamten świat. Sprawiedliwość śmierci, wyrównanie rachunków, równość wobec ostateczności. Mało kto w nie wierzy. Nadal traktowano go ze strachem, ale i z małą delikatnością. Przedstawiciele firmy pogrzebowej pracowali pośpiesznie. Gdy trumna z tępym łomotem uderzyła o dno grobu, wokół dało się odczuć odprężenie. Wielu nie wierzyło, że ten moment kiedyś nastąpi. Tak jakby nie mógł się wydarzyć. Grabarze szybko zaciągnęli ciężkie płyty i ułożyli stosy precudnych, ogromnych, pachnących wieńców ozdobionych szarfami z napisami: „Szlachetnemu Dobroczyńcy”, „Wielkiemu Filantropowi” czy „Nieodżałowanemu Przyjacielowi”. Dopełniło się przeznaczenie. Ludzie rozchodzili się z radością.

- Pozwól, droga przyjaciółko. - Twigg szarmancko podsunął jej krzesło. To był parszywy dzień. - Jak się czujesz? Podobno rana nie była groźna. Musisz być wyczerpana. Wykonałaś kawał dobrej roboty, gratuluję i - oczywiście - nie ominie cię awans. Jestem ci osobiście głęboko wdzięczny i doceniam wszystko, co do tej pory zrobiłaś. Osoba o twoich horyzontach i odwadze powinna mieć możliwość działania w szerszej skali. Poczekam, aż odpoczniesz, w pełni dojdiesz do siebie i załatwimy to później.

- Nie, załatwimy to teraz, Peterze.

- Jak sobie życzysz. Chodziło mi tylko o to, żebyś nabrała sił.

- Jestem wystarczająco silna, Pet.

- Dobrze. Widzę też, że jesteś zdenerwowana, co oczywiście jest zrozumiałe.

- Miałam szczęście. Albert nie był najlepszym strzelcem.

- No cóż, na tyle dobrym, żeby pozbyć się naszego największego kłopotu. Cały finezyjny plan z wyciąganiem od niego informacji o Tao poprzez żonę okazał się niepotrzebny. Przykro mi, że przesłaś przez to wszystko. Kto by pomyślał, że wystarczy porządnie wkurzyć senatora, żeby jednym pociągnięciem rozwiązał nasze wszystkie problemy? Dysponowaliśmy oczywiście jego profilem psychologicznym, nagraniami, zeznaniami świadków, a tu

proszę... Człowiek to jednak zagadka. Wydawał się tak prosto skonstruowany. I zryty przez narkotyki. Swoją drogą naprawdę nie wiem, w jaki sposób rozkochałaś go tak bardzo, że doszło do tego ślubu, omal doszło, ma się rozumieć. Są wprawdzie gotowe instrukcje postępowania w takich przypadkach, znają je wszystkie początkujące agentki, ale tu potrzeba było czegoś więcej. Prawdziwy majstersztyk. Jesteś naprawdę niesamowita, Anno, najlepsza. Aż strach! – generał się roześmiał.

- Nie wszyscy dali się przekonać. Kiedyś była u mnie w tej sprawie jego matka. Oględnie rzecz ujmując – nie ufała ci. Prosiła o interwencję.

- Znasz lady Sarę?

- Stare dzieje.

- Nieugięta kobieta. Kręgi towarzyskie byłego teścia?

Twigg przełknął złośliwość.

- Owszem.

- Też ci chciała płacić? Powiedziałeś, że mnie sprawdzisz? Że nam przeszkodzisz? Oszukałeś ją?

- Ale z prawdziwą przykrością. Jak wiesz, nie miałem innego wyjścia.

- Powinieneś mnie ochraniać.

- Ochraniałem. Mam nadzieję, że nie masz co do tego wątpliwości. Nie oczekiwałaś chyba, że przybędę osobiście do tego szemranego towarzystwa. Zepsułbym ślub i przy okazji swoją reputację, to przecież jasne. Ale moi agenci nie spuszcza cię z oka, Lukrecjo, to oni zlikwidowali ochroniarzy Sandersa, ubezpieczali cię skutecznie. Chyba mi wierzysz?

- Muszę coś sprostować, sir.

- Mianowicie?

- To nie był NASZ największy kłopot, tylko TWÓJ największy kłopot. Zarówno Tao, jak i Phil byli kłopotem dla ciebie, nie dla mnie.

- Chyba jednak nie do końca, skoro zdecydowałaś się osobiście zdjąć Sandersa?

- Nie miałam wyboru. Ktoś do mnie strzelał, Pet.

- Owszem, strasznie mi przykro. Twój narzeczony oszalał. Powiedz mi, co się właściwie stało. Pokłóciliście się, zdradziłaś go i on się o tym dowiedział? Ten sukinsyn Gun pomiatał nim przez cały czas, a on, chociaż naćpany i zeszmacony – to prawdziwy arystokrata. Widocznie odezwał się w nim honor przy okazji wstąpienia na nową ścieżkę życia. Ale do ciebie? Niepojęte!

Anna patrzyła mu w twarz pozornie spokojnie, chociaż buzowały w niej emocje. Była świetną aktorką, ale taki stary wyga jak Twigg

na pewno to dostrzegał.

- Wybacz niedyskrecję, Lukrecjo, ale chroniąc cię, musiałem być blisko. Kiedy byłaś w środku tego całego bałaganu, nie mogłem ryzykować twoim bezpieczeństwem ani przez chwilę. Nie chcę być wścibski. Doniesiono mi, że podobno sporo czasu spędzałaś z Hornem, chyba nawet nieco więcej niż wymagała tego sprawa i zasady bezpieczeństwa, niestety. Załatwialiście coś wspólnie w wieczór przed ślubem. - Generał uśmiechnął się ironicznie. - Czy to możliwe, żeby McKenzie się o tym dowiedział? Bo wiesz, doszły mnie słuchy, że on w ten sam wieczór urządził prawdziwą orgię, jak nigdy dotąd, i - co ciekawe - przeżył ją całkiem na trzeźwo. Nie myśl, że cię za coś obwiniam, senator był człowiekiem zmanierowanym i najwyraźniej aż tak bardzo mu na tobie nie zależało, ale to wielki pan, coś się w nim odezwało, może ambicja.

Lukrecja nie zamierzała dać się sprowokować. Z tych dwojga każde miało dziś do wygłoszenia własną kwestię. Popatrzyła mu w oczy z uwodzicielskim uśmiechem.

- Czekam, aż w panu odezwie się honor, generale. Przecież nie jest zarezerwowany tylko dla arystokratów.

- Proszę, niech pani wyjaśni, dlaczego chce mnie obrazić. Słucham.

- Ktoś mnie postrzelił. Na szczęście niegroźnie, chociaż nie wiem, czy pan również się z tego cieszy, generale. Tym kimś nie był Albert. Kula przeznaczona dla mnie nie pochodziła z jego pistoletu. Albert zabił Tao. Zobaczył, że grozi mi niebezpieczeństwo i w ostatniej chwili oddał strzał do mojego niedoszłego mordercy. Był świetnym strzelcem. Sermierzem. Pianistą. Doskonale jeździł konno. Władał kilkoma językami. Na końcu popełnił samobójstwo. Nie widział dalszego sensu. Nikt go nie doceniał. To druzgocące.

- I jakże ciekawe. Widzę, że sytuacja odcisnęła się na pani mocniej, niż pierwotnie przypuszczałem. Nagle wszyscy dostrzegają tyle zalet w Albercie McKenzim. Nie zamartwiaj się tak, to tylko wyrzuty sumienia, Anno. Szybko miną. Wiem, że to przykre, ale narzeczony strzelał do pani. Jest na to wielu świadków.

- Albert nie strzelał do mnie. Strzelił do kogoś, kogo zauważył za mną, kiedy tamten chciał mi zrobić krzywdę. Do jednego z pańskich ludzi, którzy mieli mnie ochraniać, sir. Chciał mnie pan wykończyć. A Albie mnie kochał.

- Och tak, tak, wielokrotnie już tego gratulowałem. Jest jednak pewien problem: żadnego z agentów nie dosięgła kula senatora. Tak na marginesie - badania balistyczne nie zostały jeszcze zakończone, skąd więc te dane? Brawura powinna mieć swoje granice, proszę pani, podobnie jak cynizm.

- Cynizm? Tak, postawmy mu granice. Proponuję...

- Chwileczkę. - Twigg przerwał jej stanowczo. Proszę sobie wyobrazić, że przy okazji tej sprawy wypłynęło kilka kwestii. Po śmierci *padrino* postanowiliśmy uporządkować i ostatecznie zamknąć jego akta - ciągnął generał.

- W życiu nie byłam na tak wystawnym pogrzebie. Dziwaczna atmosfera tam panowała.

- Tak, Gun miał wielu przyjaciół. Niejeden obawiał się, żeby do niego nie dołączyć jeszcze podczas uroczystości. Licho nie śpi. Dzięki temu my będziemy mieli zawsze pracę.

- Dla świata byłoby chyba lepiej, gdybyśmy mieli jej mniej.

- Ale nie usuniesz wszystkich, Lukrecjo, teraz to był fart, dzięki nieoczekiwanej pomocy twojego męża, która okazała się większa, niż zakładaliśmy.

- Nad grobem roilo się od agentów. Są zbyt ostentacyjni.

- Pozwól, że to ja będę oceniać ich postawy. Skoro wszystko tak dokładnie obserwowałaś, czy był tam Horn?

- Chyba tak. Nie zwróciłam uwagi.

- Nikt go nie widział.

- W każdym razie powinien być. Generale, zdaje się, że mamy teraz poważniejsze sprawy do omówienia.

Twigg podniósł dłoń w hamującym geście.

- Daj mi dokończyć. Wyobraź sobie, jakie było zdumienie śledczych, gdy okazało się, że brakuje części dowodów.

- Zdumienie? Powinni chyba odpowiedzieć dyscyplinarnie za bałagan w papierach?

- Obawiam się, że to nie bałagan, a sabotaż. Te dowody ktoś wykradł.

- Myślisz, że Gun miał wtyczki aż tutaj? To byłoby fatalne.

- Nie sądzę, Lukrecjo. I martwię się, że to ktoś znacznie ważniejszy niż szpieg Tao.

- Skoro patrzysz na mnie tak wymownie, to przypomnę ci, Pet, że ja nie mam dostępu do waszych archiwów i magazynów. Od wielu lat tu nie bywałam.

- Niczego takiego nie sugerowałam.

- Za to ja zasugeruję. A nawet powiem wprost. Jak wiesz, przyjaźniliśmy się kiedyś z Philem. Po swojej śmierci zostawił mi mały spadek. To tak à propos akt i dowodów.

- Spodziewałem się tego. Zdrajca ratuje się zawsze wszystkimi dostępnymi sposobami.

- Kogo nazywasz zdrajcą, Peterze?

- Dobrze, zmierzajmy do sedna. Co masz i czego w zamian sobie życzysz, Anno Litewski?

- Nie jestem taka skromna jak pułkownik Sanders. Ani taka pracowita. Nie mam też zamiaru zgnić w więzieniu jak on.

- Jeśli pozwolisz, przypomnę ci, że on nie zgnął w więzieniu. Mówią o tym ślady na twojej stylowej, ślubnej sukni.

- Dość, Peterze. Nie dam ci nawet chwili. Wyjdziemy z tego gabinetu żywi i zamienieni rolami. Ty zrezygnujesz ze stanowiska, a ja cię na nim zastąpię. To mój warunek.

- W przeciwnym razie...

- W przeciwnym razie ty mnie teraz zabijesz. Albo popełnisz samobójstwo. Albo wyjdziemy stąd, utrzymując *status quo*, i w tej chwili wszystkie gazety i stacje telewizyjne otrzymają twoje małe portfolio stworzone przez Sandersa. Decyduj.

Generał wzburzony i osłupiały prowadził w głowie szybką kalkulację.

- O to bym cię nie podejrzewał, Lukrecjo. Chcesz zostać szefową agencji? Po co ci to?

- A po co było tobie? Mnie jest po to samo.

Najchętniej by ją teraz zastrzelił. Jaka szkoda, że nie udało się podczas ślubu. Zabiłby ją nawet, gdyby miał za to pójść siedzieć, ale powstrzymało go widmo totalnej kompromitacji i zszargania swojego nazwiska. Już widział te nagłówki w gazetach przez następnych pięć lat!

- Mam wrażenie, że nie wiesz, z kim zadzierasza, Anno... Pułkownik Sanders długo utrzymywał się na szczycie. Małe prywatne zbiory danych na tak zwany wszelki wypadek to normalna sprawa. Ich się nie wykorzystuje, tylko się nimi straszy. Jak wiesz, twój mądry przyjaciel również nigdy ich nie użył. Wiedział, że tak się nie robi. Zazwyczaj groźba ma większą moc niż jej realizacja. On zdawał sobie z tego sprawę.

- A ja ich użyję, generale. I wiem też, że czasem urzeczywistnienie groźby ma większą moc, niż wyłącznie sugestie. Philip chyba wpadł na to za późno.

- Oszukałaś mnie, Lukrecjo.

- Oszukaliśmy się wzajemnie, generale, ale teraz jesteśmy wreszcie zupełnie szczerzy.

Generał nie poddawał się łatwo. To nie w jego stylu.

- Szarżujesz, droga przyjaciółko. Po dziesięciu latach chcesz grać na uniewinnienie Sandersa? Gdyby to było takie łatwe, to coś mi mówi, że pomimo ryzyka zdecydowałabyś się na to wcześniej. Przecież odważna z ciebie dziewczynka.

- Nie mówię, że to proste. Dokładnie wszystko opracowałam, nie widać luk. Przecież jesteś mistrzem.

Generał uśmiechnął się pod nosem.

- Nie bądź głupia. Chcesz go pośmiertnie zrehabilitować? Po co? Słaba z ciebie kobieta, tak w ciebie wierzył, ale chyba go zawiodłaś. A powtarzałem mu tyle razy: żadnych romansów w firmie.

Lukrecja przyglądała mu się chłodno.

- Nawet mistrzowie popełniają błędy i to dobrze. Przecież podobno na błędach najwięcej się uczą, więc mogą stawać się jeszcze większymi mistrzami. A nawet doszlifować umiejętności aż do nirwany, na przykład w znanej ci twierdzy.

- Mów, po co przysłaś.

- Po epitafium dla Cartera. Spójrz tylko: prawdziwe wyniki sekcji zwłok sędziego, dziwnie się przedłużała, pamiętasz? Nie wiedzieć czemu przystąpiono do niej z dużym opóźnieniem.

- Romowie zwlekają z pochówkiem bliskich. Mają nadzieję, że dusza się rozmyśli i powróci do ciała. Nie mogłem w to ingerować, brutalność w takiej chwili...

- Nie chrzań. Są nagrania z knajpy. Naprawdę nie wiedziałeś, że dzień wcześniej Rick założył kamery? Za często wpadali do niego ludzie Guna, w końcu się wkurzył. Niemożliwe, że to przeoczyłeś. Ty, specjalista od podglądu! Co za pech! Phil skrupulatnie udokumentował zeznania lokalnej jasnowidzki i asystenta sędziego. Lubił takie smaczki. Rozczarowałeś mnie. Krążyły na twój temat różne opinie, ale nie przypuszczałam, że jesteś pospolitym mordercą. Nie stać cię było na więcej czy to zbyt proste, żeby kojarzyć się z osobą równie wyrefinowaną jak ty? Tak to sobie wymyśliłeś? Co tak patrzysz, dlaczego nie żałujesz? Czyż wszyscy nie kochaliśmy Rasza Cartera?

Twigg zdumiał się. A więc źle ocenił sytuację. To nie Sanders i nie Gun stanowili największe zagrożenie. Pociuszający był fakt, że oni również mylili się w swoich diagnozach, nawet jeszcze bardziej, bo obaj gryźli teraz piach. A kto się myli w ocenie sytuacji, ten przegrywa.

- Wygrałaś, Lukrecjo. Powiedz mi jeszcze jedno. Dlaczego teraz? Trzymałaś dowody przez dziesięć lat. Po co? Mogłaś przecież uderzyć wcześniej.

- Nie mogłam. Ich odszukanie i skompletowanie trwało długo. Musiałam to rozłożyć w czasie. Wiecznie ktoś mnie śledził, ale o tym chyba wiesz... Zresztą Phil by mi nie pozwolił. Miał własne obliczenia. Musiała nadarzyć się okazja, żeby go usunąć. Twierdza była zbyt dobrze strzeżona, nawet jak dla mnie. Szczerze mówiąc, zaczęłam tracić nadzieję, że kiedykolwiek mnie poprosisz.

Twigg popatrzył na nią chłodno.

- Sanders mnie nienawidził. Zrobiłby przeciwko mnie wszystko.

Dlaczego miałby cię powstrzymywać?

- Chciał to rozegrać na własnych zasadach. To on miał wrócić w triumfie, nie ja. To był bardzo mądry człowiek, prawdziwy omnibus. Zawsze trochę go lekceważyłeś.

- Wręcz przeciwnie. Może tylko nieco udawałem.

- Ja też tylko odrobinę udawałam. Phil lubił trzymać wszystko w garści. Również mnie.

- Rozumiem, że przyznajesz się do tego, bo już się go nie boisz. Miał też coś na ciebie. Na wypadek, gdybyś zawiodła. Albo nie postąpiła zgodnie z jego planem. Miło jest wiedzieć, że coś takiego istnieje, Lukrecjo, chociaż to rzeczywiście nieładnie z jego strony, zważywszy na waszą wzajemną relację - roześmiał się. - A wiesz, że ja naprawdę myślałem, że załamawsz się po jego aresztowaniu? Wyglądałaś na taką zakochaną kobietę. I to przez tyle lat. Przekonująco odegrana rola.

Anna spojrzała na niego chłodno.

- Jesteś nielojalna - dorzucił - rozczarowałaś mnie.

- Jesteś śmieszny i żaloszny - odpowiedziała zjadliwie i zaraz potem zmieniła ton. - To coś, czego istnienie tak cię cieszy, już nie istnieje, sir. Nie ma sensu szukać. Rzeczywiście, moje wyrzuty sumienia były dzięki temu trochę mniejsze. Właściwie nawet nie wiem, jak smakują. Co to znaczy odczuwać wyrzuty sumienia, generale?

- Jesteś psychopatką, Lukrecjo. - Twigg ruszył w stronę drzwi. - Ale ty także popełnisz kiedyś błąd.

Zwalista postać. Bardzo silna i szybka. Za to twarz jakby młodsza. Spojrzała obojętnie, po czym wycelowała pistolet w obolałą głowę starszego agenta.

- Obudź się, Horn, najwyższy czas. Wstań i wychodzimy stąd.

O tym nie było mowy. Z największym wysiłkiem zgiął nogi.

- Nie mogę - wycharczał.

- Nie smakowała ci moja jajecznicą, to teraz nie masz siły. Trzeba było jeść - roześmiała się jak mężczyzna.

- Pomoże mi pani?

- Zależy, czy dasz radę iść.

- Jakoś jeszcze mnie pani nie zabiła.

- Ale zabiję. Chyba że sam uciekniesz.

- Nie czuję nóg.

- Wstajesz albo zostajesz. Koniec zabawy. Nie będę cię tu niańczyć.

- Nie dam rady.
- W takim razie przykro mi. Szczęknął zamek.
- Pomóż... mi.
- Dobrze. Nie będzie bolało.

Kornelia Huckelberry była oddana Annie bezgranicznie. Razem przeżyły wiele i z czasem zbliżyły je wydarzenia tak bolesne, że łączące je więzy zadzierzgnęły się nierozzerwalnie. Z biegiem lat stała się dla Lukrecji powiernicą i opiekunką, przelała na nią uczucia zmrożone osobistą tragedią, kiedy to dawno temu w niejasnych okolicznościach zaginął jej dwudziestoletni syn Emil. Pani Huckelberry szukała go wszelkimi sposobami, całe życie po stracie podporządkowała temu jednemu celowi. Dokonywała rzeczy irracjonalnych, wciąż była w ruchu, nie odpuszczała żadnej okazji. Ta niemłoda już kobieta żelaznymi ćwiczeniami wypracowała sobie kondycję komandosa, na wypadek, gdyby trzeba było syna wykraść lub odbić z rąk porywaczy. Studiowała informatykę, piekła ciasteczka i pilnowała opłacania rachunków za prąd i gaz oraz innych przyziemnych spraw wyalienowanych młodych cyborgów żyjących w wirtualnym świecie, w zamian za naukę hakerstwa, dzięki któremu spodziewała się odnaleźć cyfrowy ślad życia jej syna. Podejmowała prace jako służąca w domach ludzi, co do których wydawało jej się, że mogą mieć związek ze sprawą. Używała sprytu, podstępny, przemocy, ciężkiej pracy, nie bała się żadnego poniżenia. Wciąż parła do przodu, nie mogła ani na chwilę przestać, bo każdy moment zaniechania, biernego czekania niechybnie doprowadziłby ją do śmierci z rozpacz. Początkowo kontakty z agentką specjalną miały służyć zdobyciu informacji, przeniknięciu środowisk, które mogły coś wiedzieć o Emilu. Niepostrzeżenie mizerna resztką uczuć zamieszkujących potężną pierś pani Huckelberry w całości trafiła do Lukrecji, która przez całe życie wyalienowana, potrafiła to docenić i zaufać tej ogromnej, zdesperowanej kobiecie.

Anna zdawała sobie sprawę, że nie na świecie nie istnieje nic takiego, czym można by Kornelię przekupić, zastraszyć lub złamać, tak aby obróciła się przeciwko niej. Z czasem zostały najbliższymi przyjaciółkami, choć formalnie zachowywały dystans, nawet rzadko zwracały się do siebie na „ty”. Anna swoimi kanałami też szukała Emila i wkładała w to wiele wysiłku. Gospodyni nigdy nie zwątpiła w to, że syn wróci, i utrzymywała się przy życiu, aby móc wziąć go wtedy w ramiona. Reszta jej nie interesowała.

Niewiele z tego, co oferował świat, mogło poruszyć duszę pani Huckelberry. A jednak żal jej się trochę zrobiło tego młodego kapitana. Odniosła wrażenie, że jego i Annę łączy cieniutka, lecz

solidna niteczka damsko-męskiej fascynacji. Lukrecja od lat żyła jak zakonnica, w każdym razie w sferze mentalnej. Miewała wprawdzie mężczyzn, ale Kornelia wiedziała, że żaden z nich nie był prawdziwym kochankiem, ot, mniej lub bardziej wyszczerbionym szczeblem w drabinie do celu. Agentka wiele wycierpiała i pani Huckelberry chciała, żeby wreszcie pozwoliła sobie na przeżycie czegoś osobistego. Kiedy pojawił się Horn, po pewnym czasie dostrzegła, że nie są sobie z Anną obojętni. Tym bardziej zdziwiła się, gdy ta oznajmiła jej, że trzeba się go pozbyć.

Kornelia wiedziała, że o taką przysługę Lukrecja nie może poprosić nikogo innego. Zresztą przyszła prawie za późno, niedoszły lover celował jej przyjaciółce w głowę, jeszcze chwila i stałoby się nieszczęście. Oberwał solidnie. Trzeba go było szybko przetransportować w ustronne miejsce. W domu Anny za chwilę mogły pojawić się gliny. Z zupełnie niekobiecą siłą owinęła go w folię i wepchnęła do minivana. Wróciła do salonu, żeby posprzątać krew. Wiedziała, że jej śladów nie da się całkowicie wywabić, więc w miejscu, w którym upadł Horn, wywołała minipożar, niech się zastanawiają, co tu się stało. Jej chłodna głowa analizowała drobiazgowo, co jeszcze może zainteresować śledczych, nie było jednak czasu, żeby wszystko zatuszować. Może nie będą szukać. Emila zaczęli szukać dopiero po miesiącu.

Dojechali do szopy w lesie. Paul zaczął się wiercić i jęczeć z tyłu samochodu. Chwyciła go pod pachy i przeciągnęła na podłogę kryjówki. Od razu zemdlał z bólu, jego muskularne, bezwładne ciało było bardzo ciężkie. Kornelia, zdyszana i spocona, ciężko łapiąc oddech, czekała, aż znowu się ocknie.

- Wypuść mnie - poprosił.

- Wstań i chodź - odpowiedziała. - Za godzinę będą tu gliny.

- Jestem związany.

- Zawinęłam cię tylko w folię, żebyś nie pobrudził wszystkiego dookoła.

- Pić.

- Nie wzięłam wody.

Kornelia Huckelberry nie była morderczynią. Tym bardziej nie zamierzała dobijać rannego chłopaka. Ani go torturować, w zamieszaniu rzeczywiście nie zabrała ze sobą niczego do picia. To zresztą nie było konieczne. Potrafiła ocenić, w jakim jest stanie. Posiadła dość szeroką wiedzę medyczną, na wypadek, gdyby jej nagle odnaleziony syn okazał się ranny lub chory i trzeba mu było szybko udzielić pierwszej pomocy. Gdyby Paul Horn był w lepszym stanie, wypuściłaby go. Później jakoś by się z tego wykręciły. Pewnie nawet by ich nie oskarżył, sam jest za bardzo umocny, co

najwyżej szukałby zemsty, a tego akurat Kornelia się nie obawiała. Ponad wszystko była jednak osobą pragmatyczną. Tę prośbę Lukrecji spełniała nad wyraz niechętnie, ale wiedziała, że przedłużające się przebywanie w towarzystwie ciężko rannego agenta specjalnego ściąga niebezpieczeństwo na nie obie. Z każdą chwilą, od kiedy zorientowała się, że on z tego nie wyjdzie, ryzyko rosło nieubłaganie. Z drugiej strony zdawała sobie sprawę, że agonia potrafi trwać bardzo długo. Po raz kolejny zapakowała go do samochodu i odjechała, szukając bardziej oddalonego miejsca. I sprawa rozwiązała się sama. Kapitan zmarł.

Po dłuższym kluczeniu zatrzymała się na niezbyt głębokim skraju lasu. Wkrótce go znajdą i pogrzebią z honorami. O to chodzi. Nie zasłużył ani na taką śmierć, ani na tak marny pochówek. To tylko tymczasowo. Co prawda sam się w to wpakował, ale postawa Anny w tym przypadku ją niepokoiła i uwierała. Nie krytykowała jej jednak, bo czymże było to wszystko w obliczu tragedii, jaka dotknęła Emila. Pani Huckelberry nie traciła nigdy z oczu swojej życiowej misji. Ten młody agent... Jak oni wszyscy marnie kończą. Ułożyła starannie jego wysportowane, przystojne ciało. Lekko przysypywała ziemią tułów, ręce i nogi. Trzeba będzie kogoś szybko naprowadzić na ten ślad. Nie chciała, żeby dobrały się do niego zwierzęta. Przeżegnała się, zdjęta nagłym żalem. W myślach szeptała modlitwę za duszę kapitana, która jak zwykle przeistoczyła się w błaganie o odzyskanie syna. Na pożegnanie dotknęła jego twarzy, zatrzymała palce na skroni, po raz ostatni raz upewniając się, że nie wyczuwa tętna. Jego skóra była bardzo chłodna. Chłodna, ale nie zimna. Przyszła jej do głowy absurdalna myśl, że może jeszcze nie do końca uleciała z niego dusza. Piękna twarz, myślała, zakrywając ją gałęziami i liśćmi, celowo niestarannie.

- Zostawiam ci miejsce na ostatnie tchnienie - szepnęła, łkając.
- To, którego nie usłyszą już ludzie, nie stwierdzą lekarze. To, o którym wie tylko Bóg.

Nowa szefowa SAW przeszła do swojego gabinetu. Po odebraniu gratulacji i udzieleniu kilkunastu odpowiedzi na zwołanej *at hoc* konferencji prasowej chciała pobyc chwilę sama. Generał zrzekł się stanowiska i otoczony splendorem życiowych dokonań udał się z honorami na zasłużoną emeryturę. Idąc z duchem czasu, agencja postawiła na kobietę. Zresztą obiektywnie nie było lepszego kandydata. Wstrząsana skandalami SAW potrzebowała odnowy i świeżego podejścia. Uczciwość, rzetelność, prawość, błyskotliwość

i odwaga - oto cechy, których będzie wymagała od swoich współpracowników nowa szefowa, bez nich nikt nie ma tu czego szukać. W związku z powtarzającymi się plotkami o zaginięciach dowodów w kluczowych sprawach, a także niejasnościami dotyczącymi finansów i sposobu prowadzenia wybranych operacji, zaczęła od zlecenia kilku niezależnych audytów. Powołano nową komórkę wewnętrzną do wykrywania i zapobiegania nieprawidłowościom. Na taką osobę agencja czekała od dawna. Uzdrowić ją mógł tylko ktoś, kto zawsze stał po właściwej stronie. Ktoś taki jak Anna Litewski. Przed kamerami serdecznie podziękowała generałowi Peterowi Twiggowi za jego wieloletnią służbę i nieoceniony wkład w rozwój wywiadu i praworządności kraju, a on gratulował jej i życzył sukcesów w walce z przestępczością. Podkreślał też, jak wielką osobistą radością jest dla niego fakt, iż jego następczynią zostaje wieloletnia, wspaniała współpracownica, wybitna, zasłużona funkcjonariuszka i prawniczka. Nie wahał się użyć tego określenia - przyjaciółka. We wszystkich wstąpiła nowa nadzieja.

Anna usiadła przy wielkim biurku i pogładziła chłodny blat. Zmieni wystrój tego gabinetu, nawet postawi tu kwiatki, niech mają. Niech widzą w niej kobietę, zgodnie ze starą strategią przetrwania. Kobieta zawsze wydaje się słabsza, to dobrze, mało kto potrafi docenić siłę słabości. Sekretarki wydają się nieprzyjazne. Cóż, całymi latami podkochiwały się platonicznie w generale. Zwolni je za kilka dni, w ogóle zmieni politykę kadrową. Potrzeba tu reformy, zacznie ją właśnie od tego.

A więc to ma. Zdobyła. Jest jej.

Brakuje tu kogoś. Prawa ręka do małych, lecz ważnych zadań specjalnych. Sisi, gdzie ona się podziewa? Anna rozdmuchała jej legendę, była jej potrzebna, w dodatku wiedziała więcej, niż sama zdawała sobie sprawę. Umiejętnie przepytana mogłaby narobić kłopotów. Trudno, teraz gdy ma do dyspozycji dziesiątki agentów, łatwo będzie do niej dotrzeć.

Gdyby ktoś zapytał, kogo uważa za mężczyznę swojego życia, bez wahania odpowiedziałyby, że Philipa Sandersa. Tworzyli cichy związek, bez zbędnej czułościowości. Nie epatowali szczęściem, seksem ani wzajemnym oddaniem, choć to wszystko było. W agencji nie tolerowano tego typu relacji, pułkownik wymyślił więc, że rozpuszczą plotkę, jakoby są spokrewnieni. Znudzona prasa podchwyciła to, w niektórych tytułach robiąc z nich nawet rodzeństwo. Potrafili miesiącami trzymać się daleko od siebie, ale i tak wiedzieli, że są najważniejsi.

Czy aby na pewno? Historia z panią Twigg mocno zaboląła

Lukrecję, chociaż daleko jej było do zaborczości. Cały Phil, chłodny, zdystansowany, a momentami taki szalony. Sekundowała mu we wszystkich poczynaniach. Swego czasu jak we własnych, przyjęła realizowanie jego ambicji. Później się otrząsnęła. Wciągnął ją w misterne intrygi, na które początkowo wcale nie miała ochoty, a później wyjścia. Kiedy w białych rękawiczkach wykończył żonę generała, zaniepokoiła się. Czy gdyby mu podpadła, ona, jak twierdził, kobieta jego życia, podzieliłaby jej los? Czy uniknęłaby nagłego ciosu zadanego jego ręką? Niechętnie udzieliła sobie wstrząsającej odpowiedzi. Był tak mądry, że aż straszny. Jedyny mężczyzna, wobec którego miała kompleksy. Dlatego go kochała.

Zwrócił się do niej, gdy już wpadł. Nie była najlepszą powiernicą, ale nie miał innej. Wypracowali własne kody, dawno ustalone szyfry ukrywających się kochanków, dzięki nim zdołał jej przekazać karty wraz instrukcjami, jak nimi grać. Karty wzięła, wytycznych nie. Jej ukochany okazał się wielkim draniem. Była pod wrażeniem materiałów, które zgromadził samodzielnie lub niepostrzeżenie ukradł z archiwów SAW. Przeglądała je dokładnie, martwiąc się, że samo zapoznanie się ze wszystkimi zajmie jej zbyt wiele cennego czasu. Wyłaniały się z nich prawdziwe oblicza wielu spraw, o których ludzie myślą, że wyglądają zupełnie inaczej. Dlaczego sam ich nie wykorzystał? Z lenistwa? Strachu? Wolał czuć się cichym władcą stojących nad nim w hierarchii oficjeli? Tak, to chyba odpowiadało mu bardziej, niż osobiste zmagania z podobnymi sobie, którzy szybko stanęliby za jego potężnymi plecami, trzymając w usługnych dłoniach zardzewiałe noże zdrady. Przypadkiem dostała do ręki broń atomową, którą mogła rozwalić cały system lub - jeszcze prędzej - samą siebie. W tym momencie zrezygnowała z Phila. Chciała sobie tłumaczyć, że to z powodu jego zdrady, ale w głębi duszy wiedziała, że zrobiłaby to nawet, gdyby pozostał jej wierny jak pies. Czy można mieć do niej o to pretensje? Czyż nie wszyscy w firmie muszą wykazać się bezwzględnością, niezłomą potwierdzoną testami psychologicznymi, bez których zaliczenia żaden początkujący agent nie dostanie pracy w SAW? Czego tam jeszcze wymagali? Odporności? Odwagi? Cierpliwości? Jak widać, Anna zaliczyła wszystko.

Pedantycznie zarchiwizowane rzędy teczek, skatalogowane według zasad ustalonych przez Philipa. w ich ramach skoroszyty zostały oznaczone kategoriami: *Wykroczenia*, *Przestępstwa*, *Kompromitacja*, *Inne*. Niektóre pękały w szwach, inne były prawie puste, w każdej coś, co w odpowiedniej chwili da się umiejętnie wykorzystać. Kolejno ponumerowane dowody rzeczowe, zeznania świadków, wyniki obserwacji.

Killington. Znany prawicowy polityk, ultrakonserwatywny. W każdą niedzielę obecny na nabożeństwie ze swoją śliczną i skromną żoną oraz czworgiem dzieci: uroczymi córeczkami w sukienkach w kwiatki ozdobionych białymi kołnierzykami i synami, wybijającymi się uczniami wojskowej szkoły z internatem. Tradycjonalista i homofob. Szybko rozwijająca się kariera. Pękata zakładka *Kompromitacja*. Zdjęcia ostrych orgii z młodymi chłopakami, miłosne listy do efebów, okraszone płomiennymi miłosnymi zaklęciami. Śmieszne przebrania, makijaże, peniuary, pończochy. W zakładce *Przestępstwa* udokumentowana współpraca z mafią. Niektóre imprezy ewidentnie organizowane z inspiracji Tao. Lukrecja nawet nie chciała się domyślać, jakimi materiałami on dysponował. Później coś nie wyszło. Killingtona znaleziono martwego w jego ogrodzie, sposób egzekucji wskazywał jednoznacznie na mafijne porachunki. W mediach przedstawiono go jako ofiarę niezłomnej walki z przestępczością zorganizowaną i obrońcę tradycyjnych wartości.

War. Samorządowiec. Bez żadnych wątpliwości popełnił samobójstwo, znaleziono go powieszono we własnym gabinecie, rodzina potwierdziła postępującą od miesięcy depresję. W zakładce *Inne* przybijający obraz długotrwałego nękania i szantażu, wyciszone porwanie córeczki, wymuszanie szkodliwych dla lokalnej społeczności decyzji, rosnąca krytyka otoczenia, w końcu jedyna, desperacka nadzieja na ocalenie rodziny przed łapami *padrino*. Na marginesie dopisek: *Rozwinięcie w teczce Tao Gun, Przestępstwa*.

Osman. Tylko popatrzył na dziewczynę Tao Guna, jedną z wielu, właściwie zupełnie nieważną. Zatańczył z nią w dyskotecce. Nalewając drinka, położył dłoń na odkrytym fragmencie pleców. Chłopaki donieśli bossowi. Ten osobiście odrąbał mu głowę siekierą, nie zacierał śladów, narzędzie zbrodni porzucił niedbale obok zwłok jak podpis, goryle posprzątały, ale niedokładnie, nikt się nie przejmował, demonstracja bestialstwa i pogardy dla prawa miała zgodnie z zamiarem Tao odbić się szerokim echem w wielu kręgach, w tym policyjnych i rządowych.

Skorowidz chemikaliów wytwarzanych w laboratoriach SAW. Niektóre o zaskakującej recepturze i działaniu. Suche, dokładne fiszki. Bardzo ciekawa lektura.

Skorowidz używanej broni. Standard, kilka innowacji, w wielu punktach odesłanie do poprzedniego. Substancje najnowszej generacji, powodujące piorunujące zaburzenia krążenia, po kilkunastu godzinach rozkładające się w organizmie, praktycznie nie do wykrycia. Wolniej działające, powodujące liczne schorzenia, mylnie diagnozowane przez zdezorientowanych lekarzy,

postępujące osłabienie, aż do zapadnięcia w śpiączkę, bez szans na przebudzenie. Serum prawdy, skuteczniejsze od tortur. Po podaniu delikwent wyjawia największe tajemnice, nie może się powstrzymać. Materiały promieniotwórcze i wybuchowe. Toksyczne gazy: duszące, paraliżujące, stosowane prewencyjnie i w celu ostatecznej eliminacji przeciwników.

Carter... kochanek tłumów. Zakładka *Przestępstwa* pusta. W *Wykroczeniach* kserokopie dwóch mandatów - za nadmierną prędkość i złe parkowanie. W skoroszytcie *Kompromitacja* pojedyncza kartka A4 z odręcną adnotacją: *Szukać dokładniej*. W zakładce *Inne* prawdziwe, niesfałszowane wyniki sekcji zwłok, bardzo ciekawe. Szczegółowy, alfabetyczny wykaz dokumentów z odesłaniem do ich miejsca przechowywania w teczce *gen. P.T*, podteczce *Przestępstwa*, zeznania asystenta sędziego zdumionego niecodzienną uprzejmością generała usługującego im podczas roboczego lunchu. Tak, przynosił im porcje z bufetu, tak, to możliwe, że znalazł się z nimi poza zasięgiem ich wzroku. Owszem, w barze U Ricka panowało wtedy zamieszanie i spory tłok. Jak co dzień. Prawdziwe wyniki sekcji zwłok sędziego. We krwi śladowe ilości silnie toksycznej mieszanki. Łatwo dodać dwa do dwóch, ale sam numer wyjątkowo prymitywny. Wywody niejakiej Wasylisy (nazwisko nieustalone) upierającej się, że Taoś ma lepszy charakter niż Peter, gdyż wiadomo, czego się po nim spodziewać, a poza tym nie jest biedak winny, że się urodził chory. Z Peterem raczej podłość i zdrada, kulturalna i w miłej atmosferze, ale z tego się nie wyrasta. A Raszajek to anioł zesłany na ziemię, czego dowodził fakt, że widywała go w niebiańskiej poświacie (odesłanie do punktu 6. *Wpływowe osoby w życiu*, teczka *gen. PT*, skoroszyt *Kompromitacja*).

Jak ten Carter mógł sądzić - zmyśliła się Anna - skoro same służby usuwały w cień najistotniejsze dowody, do których pozyskiwania były z definicji zobowiązane?

Dalej akta znanych aktorów, głośnych dziennikarzy, wysokich rangą wojskowych, topowych polityków. Kopalnia wiedzy. Skarbnica szantażu. Anna zastanawiała się, kiedy Phil zdążył zgromadzić to wszystko. Że też starczało mu jeszcze czasu na normalne życie i pracę. Czy ktoś mu pomagał? Jeśli tak, gdzie zniknął? I kto to mógł być?

Czy pułkownik sporządził kopie? Nie. To były oryginały. Tylko w takiej postaci miały wartość, a im więcej duplikatów, tym poważniejsze prawdopodobieństwo, że dostaną się w niepowołane ręce. Najeżdżała się za nimi po całym kraju, symulując próby odwyku w klinikach uzależnień na zmianę z atakami dewocji

i wymuszonymi tym wizytami w sławnych świątyniach. Nie było łatwo przechytryć jej niemych towarzyszy, sama sobie przyzna za to kiedyś medal - planowała z uśmiechem. Pułkownik większość materiałów zgromadził w jednym, dosyć oczywistym miejscu, na tyle z nim kojarzonym, że nikt w nim nie szukał. Najważniejsze dowody pochował jednak w trudno dostępnych zakamarkach, przysłowiowych, a i całkiem dosłownych mysich dziurach. Najtrudniej było dotrzeć do Lawrence'a. Szukała go wśród bezdomnych na pewnym dworcu. Świadoma przyczepionego ogona cieszyła się nawet, że jest duża szansa, aby śledzący ją agent w cotygodniowym sprawozdaniu do jej mistycznych uniesień przepłatanych głębokimi spadkami nastroju doda jeszcze okresowe szwendanie się po śmietnikach, zwiastun zbliżającego się szaleństwa. Opisanego przez Sandersa mężczyzny nigdzie nie było. Rozpytywała tu i ówdzie, niepokojąc się coraz bardziej. W końcu podszedł do niej sam, dotarły do niego wieści o poszukującej go kobiecie, więc niestety zapewne nie tylko do niego. Znał hasło. Umówił się na spotkanie wieczorem i na tym kontakt się urwał. Po kilku dniach znalazła go, palącego ognisko pod mostem.

- Byliśmy umówieni.

- Nie znam cię, paniusiu.

Przypomniała hasło. Nie zareagował. Poczęstowała go papierosem, wypalili razem. Nie odzywał się.

- Załatwmy sprawę. - zaproponowała Anna, mocno zniecierpliwiona.

Lawrence zastanawiał się. Miał czerwoną, spuchniętą twarz i bardzo brudne paznokcie. Braki w uzębieniu, to, co zostało, straszło kolorem czarnym, najlepsze sztuki brązem. Ubrany w porządną, nową, ciepłą kurtkę, pewnie dostał ją w ramach pomocy charytatywnej. O dziwo, nawet nie najgorzej pachniał, chwalił się, że raz w tygodniu korzysta z dworcowego prysznica. W czwartki wpuszczają tam bezdomnych, wydają szampony i mydła, w pozostałe dni patrzą niechętnie, ale jest ogólnodostępny, z tym że nie będzie tam przecież chodził, gdy jest czysty. Nie chciało jej się tego słuchać. Po raz kolejny powtórzyła hasło.

- No to chodź, paniusiu - zgodził się nagle.

- Gdzie idziemy?

- Do mnie.

- Czyli?

- Tam - wskazał jeden z kilku mostów rozpinających się nad rzeką.

- Tam mieszkasz? W prześle mostu?

- Dokładnie.

Ruszyli.

- Ale wiesz co, paniusiu? Jest za widno. Aż w oczy razi. Przyjdź wieczorem - rozmyślił się nagle.

Anna chciała zaprotestować, ale nie miała wyjścia.

- Dobrze - zgodziła się, nie chcąc budzić jego podejrzeń. Najwyraźniej był bardzo ostrożny. Niestety odkładanie przekazania materiałów mogło zniweczyć cały plan. Do wieczora pozostało kilka godzin. Kto wie, co się przez nie wydarzy.

- Przynieść ci coś? - domyśliła się nagle.

- Wódkę. I papierosy - odpowiedział zdziwionym tonem, jakby to było oczywiste.

- OK, to do wieczora.

Jeśli teraz się nie uda, Anna odpuści. Jak tak dalej pójdzie, do Lawrence'a dotrą ludzie Twigga, cholera wie, co on przechowuje. Albo raczej, czy w ogóle coś.

Po zapadnięciu zmroku wspięła się na przęsło mostu. Z bliska było ogromny. Po metalowych, szerokich belkach i podestach można było swobodnie chodzić, w zaułkach tworzyły się ciasne, metalowe „mieszkanka”, nad głową huczało miasto. Wołała bezdomnego, w końcu z zakamarka wyłoniła się rozczochrana głowa.

- Nie drzyj się - powiedział obcy mężczyzna.

Anna wzdygnęła się odruchowo.

- Nie wiesz, gdzie on jest?

- Kto?

- Lawrence.

- Czego od niego chcesz?

- Byliśmy umówieni.

Mężczyzna popatrzył powątpiewająco.

- Tam mieszka - wskazał most oddalony o dobre pięć kilometrów. - Nie hałasuj tak. Ludzie śpią. Jeszcze kogoś zdenerwujesz.

Zrezygnowana Lukrecja bez przekonania udała się w stronę kolejnego mostu. Po drodze mijała góry śmieci, w których coś się roiło. Papiery, butelki, puste torby, połamane wózki i wszelkiej maści odpady dawały schronienie robakom i myszom, które urządziły w nich swoje królestwo. Wiatr przywiewał fetor rozkładających się resztek. Zdawała sobie sprawę, jak to wygląda. Mogła tylko liczyć na to, że nie wszyscy agenci SAW są wystarczająco pilni i sumienni. Niektórzy, zwłaszcza tacy, którzy przez wiele miesięcy nie zaobserwowali niczego ciekawego, wolą napisać w raporcie, że prowadzili obserwację, a w rzeczywistości siedzieć w domu albo po prostu zajmować się własnymi sprawami.

Na to liczyła.

Tym razem się udało. Lawrence odpoczywał w stosie koców i kartonów, ułożonych pracowicie pomiędzy rusztowaniami wielkiej konstrukcji. Tworzyły one kasetony przypominające małe mieszkania, jak się okazuje, licznie zasiedlone przez ludzi, którzy woleli to miejsce od państwowych noclegowni czy miejskich kanałów ciepłowniczych. Z zewnątrz nie widać było regularnej kombinacji przejść i labiryntów, korytarzy łączących poszczególne kwatery ani wymoszczonych gazetami zaułków dających schronienie rzeszom bezdomnych.

- Dlaczego mnie oszukałeś? Pokazałeś mi zły most.

- Ja? - zdziwił się kloszard. - Nigdy w życiu. Nie moja wina, że paniusia taka niekumata. Mylą się kieruneczki kobietce, co? - wyszczerzył ciemne zęby.

W górze nad ich głowami przejechał tramwaj. Zwielokrotnione dudnienie zagłuszyło ich słowa. Jak ktokolwiek może tu wytrzymać?

- Kończmy - zażądała Anna. - Gdzie to masz?

- W dobrym miejscu. - Lawrence stracił nagle ochotę na wyjawienie tajemnicy.

- Pokaż.

- Ty mi najpierw pokaż - wyszczerzył się znowu.

Brzęk odciąganego zamka ostudził jego zaloty. Lukrecja trzymała rewolwer wymierzony prosto w jego czoło.

- Dawaj - powiedziała. - Mam tego dość.

- Spokojnie, paniusiu. Co te kobity teraz takie nerwowe? - Lawrence zmiękł.

- Szybciej - warknęła - bo coś mi się wydaje, kurwa, że nic nie masz.

- Nie fatygowałbym na darmo takiej ładnej kobity. Najpierw to ty coś mi miałaś dać. - Zaskakujące opanowanie pod lufą pistoletu. Grał na czas. Kopnęła w jego stronę butelkę z alkoholem. Szkło zadźwięczało na metalu.

- No i potłuczesz - zmartwił się Lawrence. - Tam! Pokazał kupę szmat, na której wierzchołku siedział tłusty, wilgotny szczur.

- To mój pies, Melchior - wyjaśnił, widząc, jak się wzdrygnęła z obrzydzenia.

- Melchior, idź stąd, ustąp pani! - zwierzę z piskiem zerwało się i pobiegło przed siebie. Zwinnie wspięło się po pionowym, stalowym słupie i zniknęło im z oczu.

- Wytresowany - pochwalił się kloszard.

Anna, wciąż trzymając go na muszce, z obrzydzeniem rozgarnęła nogą śmierdzące gałgany. Na samym dnie leżała zatłuszczona papierowa torba, a w niej mała, szczelna skrzynka,

niewątpliwie najbardziej wartościowy przedmiot, jaki Lawrence posiadał.

W środku były akta Petera Twigga.

- Zabieram to - powiedziała Lukrecja niepotrzebnie, bo przecież i tak było wiadomo, że właśnie po to przyszła.

- Proszę bardzo - zgodził się uprzejmie gospodarz, zajęty odkręcaniem butelki z wódką.

Odchodząc, Anna zatrzymała się.

- Skąd znasz Philipa?

- Mieszkał tu.

- Kłamiesz.

Lawrence podniósł na nią wzrok znad opróżnionej już do połowy flaszki.

- Myślisz, że go dobrze znałaś, co paniusiu? Spieprzaj stad! - krzyknął nagle ze złością. - I nie wyciągaj pistoleciku, bo wyrwę ci go razem z ramieniem.

Wyglądał, jakby mógł to zrobić.

- No co się gapisz? - zdziwił się widząc, że agentka nie ucieka. - Zanim strzelisz, ja rzucę - ostrzegł lojalnie, i Anna nie zauważyła nawet, jakim sposobem w jego brudnej dłoni znalazł się długi, cienki nóż.

Wizyta dobiegła końca.

Czy szefowa agencji zamierzała przekazać odzyskane dowody tam, gdzie ich miejsce, czyli do depozytu SAW? Ależ skąd. Nigdy.

Przez całe lata wiedziała, że jej życie wisi na włosku. Musiała się przyczać i wykazać nadludzką cierpliwością i pokorą. Wychodzić do miejscowego sklepu, zionąc przetrawioną wódką. Robić skromne zakupy. Przytyć. Zaniedbać. Z nikim się nie kontaktować. Pokłócić z nieznanymi na ulicy. Stracić prawo jazdy. Wypuszczać na dziwaczne eskapady połączone z terapią w zamkniętych ośrodkach lub archaicznym nakładaniem włosiennicy w benedyktyńskim klasztorze. Założyć kartę u psychiatry i przekonać go o swojej depresji (łatwo poszło). Ten sam psychiatra po każdej jej wizycie z najwyższym wstrętem zmuszony był łamać tajemnicę lekarską. W imię postępów śledztwa o najwyższej klauzuli państwowej tajności relacjonował zatroskanym funkcjonariuszom szczegóły kiepskiego stanu pacjentki i jej postępującej niemocy. Cienie pod oczami musiały być autentyczne, broń Boże podrasowane charakteryzatorskim makijażem, wiedziała, że ci, którzy ją obserwują, nie są idiotami. Ważny był każdy szczegół. I czas, czas, czas. On najbardziej uwiarygodnia, na to liczyła. Gdyby urodziła się w Hollywood, na półkach powinna wygospodarować sporo miejsca na Oscary.

W zaciszu czterech ścian dbała o kondycję. Przyda się w akcji. Dźwigała ciężkie hantle i sztangi, wyciskała pompki, przysiady i brzuszki. Nie zwyczajne, jak na popularnych zajęciach fitness, lecz na jednej nodze, jednej ręce, w oparciu o krzesło, zwisając z masywnego stołu pełniącego rolę ławeczki treningowej. Zawsze przy zaciągniętych kotarach. Nieoceniona Kornelia i tu sprawdzała się lepiej niż najbardziej renomowany trener personalny. Podczas kąpieli zanurzała się w wannie i starała jak najdłużej wytrzymać pod wodą. Zwiększała pojemność płuc. Z oczywistych względów odpuściła sobie bieganie po lesie, zastąpiła je wyczerpującym biegiem bokserskim, nudnym, męczącym, stacjonarnym. Erzac wolnej aktywności na świeżym powietrzu. Udawało się. Kiedy miała wszystkiego dość, odcinała się, jakby nagle gasiła żarówkę. Zamykała się na kilka dni w domu i we własnym towarzystwie nadal była sobą. Przerabiała całe pokłady ukrytej beznadziei. Zawijała się w koc i godzinami martwo wpatrywała w sufit. Nie miała nawet siły podnieść się z łóżka. A potem szła dalej. Oczyszczała umysł i ładowała akumulatory. Walczyła. Poza tym wpisywała się w przyjęty scenariusz. Jakoś Twigg i tak się do końca na to nie nabrał. Dlaczego więc zachował ją przy życiu? Podejrzewała, że po to, aby jeszcze mocniej dręczyć Phila nadzieją, której nie była w stanie spełnić. Czy mogła oczyścić przyjaciela z zarzutów? Nie, tu generał dograł każdy szczegół. Z fascynacją obserwowała ich finezyjną, okrutną płataninę. Ale mogła dowódcę zaszantażować, już dawno. Tylko po co? Żeby pułkownik Sanders wrócił w glorii i chwale i panowie zamienili się miejscami? Gdzie by było wtedy jej miejsce? Czy nowy szef SAW nie pozbyłby się jej wówczas, jak niegdyś niewygodnej madame Twigg? Nie wątpiła, że byłby do tego zdolny. Tu wszyscy byli zdolni do wszystkiego. Jediną szansą dla kobiety było przewyższyć mężczyzn. Najlepiej dokonać tego z zaskoczenia.

Poświęcenie, praca i ryzyko było spore, więc i nagroda musiała być pokaźna. Nietuzinkowa. I taką Anna wyznaczyła sobie dziesięć lat temu.

Paul Horn. Najnowsza miłość. Przejawiał dyskwalifikujące go słabości, zwłaszcza przeświadczenie o ich braku. Pociąg do władzy, niepoparty racjonalnym oszacowaniem możliwości. Użyteczny. Sympatyczny. Przystojny. Namiętny. Wiązał z nią wielkie nadzieje. Przykre.

Ale skoro dała radę strzelić w tamte usta, nie uścisnąć tamtej chłodnej ręki, nie paść w ramiona Philipa po tylu latach rozłąki, nie pęknąć, mogła wszystko. Zrezygnować z małej, czarnej kawy, przynieszonej rano do łóżka w leciutkiej porcelanowej filiżance,

najbardziej aromatycznej i najlepszej na świecie. Taką potrafił parzyć tylko on, niech schowają się Włosi... Nie poczuć więcej jego ukradkowego pocałunku na szyi, parzącego jak żelazna pieczęć jeszcze kilka dni później. Szorstkiego policzka w samotnej ciemności. Nie doznać sekretnego porozumienia, niewyrażanego, a namacalnie obecnego w przestrzeni jak gęsty kurz. Nie zachłysnąć się radością po tym, jak stojąc za nią w tłumie, lekko zdmuchnie jej kosmyk włosów ze skroni. Nie będzie słuchała z niemym podziwem jego oszczędnych, trafnych słów. Nie pęknie z dumy, że oto jest jej mężczyzna. W pamięci zblakną scenki, kiedy siedziała mu na kolanach, z rękami oplecionymi wokół jego szyi, jak zwyczajna dziewczyna ze swoim chłopakiem.

- Jesteś moją dziewczęcą miłością - mówiła.

Śmiał się z tego. Wyciągał bloczki kartek, szkicował ołówkiem zarys jej twarzy, profil, wyraz oczu, zawieszona słowo, urwany w połowie ruch dłoni. Z kilku nieoczywistych kresek wyłaniał się jej obraz, za każdym razem inny. Nie podobały jej się, gniewała się.

- Na twoich szkicach jest we mnie coś złego.

- Maluję tak, jak cię widzę - odpowiadał. - Nie ograniczaj artysty.

Z nikim tak jej to nie cieszyło. Za nikim nigdy tak nie tęskniła. Już więcej nie będzie. Bo pociągnęła za spust... i wszystko stało się jeszcze mniej ważne.

- Żegnaj, kapitanie Horn. Naprawdę szkoda, że to musiało tak się skończyć. Fajny był z ciebie chłopak. Dziękuję za współpracę.

Mijały kwadranse. Lukrecja starała się celebrować triumf, pozwolić, aby to boskie uczucie przeniknęło każdą komórkę jej ciała. Oto nowa ona. Zdobyła szczyt. Poczucie dumy wypełniało ją i niosło. Pomyślała, że dla tej chwili warto było przedrzeć się przez wszystkie zasieki i przeszkody. A jeżeli niezupełnie, jeśli wkradną się wątpliwości lub wyrzuty sumienia, Anna zadba o to, aby je rozwiązać lub przynajmniej zepchnąć gdzieś głęboko. Życie jest krótkie. Nie sposób teraz oszacować, czy cena okaże się zbyt wysoka, to pokaże czas.

Zażyczyła sobie, żeby w gabinecie powieszono wielkie lustro. Stawała przed nim, kontrolując, czy wygląda nienagannie. Profesjonalny, elegancki, prosty strój. Włosy zaczesane w gładki węzeł. Kilka dodatkowych zmarszczek w załamaniach powiek, ciemne bruzdy biegnące od skrzydełek nosa do kącików ust. Jeszcze niedawno ich nie było. Teraz zaczną spełniać wszystkie jej życzenia. Obciągnęła rękaw granatowego żakietu, skrywał ślad po głębokim ugryzieniu. Kiedy Philip konał, ścisnęła zębami własny przegub, krew wypłynęła ciemnobordową strugą, ściekała po brodzie,

brudziła piersi, pomagała przetrzymać. Długo trwało, zanim wyciekła z niego dusza, jeszcze miała nadzieję, że tym desperackim zaciśnięciem szczęk przegryzie sobie żyły i odejdą razem. Ale tak się nie stało. Już się goi. Zostanie mała blizna, łatwa do przykrycia bransoletką.

Przed oczami przebiegały jej strzępy wspomnień, dzieciństwo, samotność, studia, pierwsze miłości, rozczarowania i sukcesy. Przypomniała się jej babka. Ta nigdy nie miała niczego, żyła skromnie, wręcz biednie. Nie posiadała wykształcenia ani wsparcia. W jej młodości dziewczyny traktowano jak służące, miały być posłuszne i użyteczne. Oczekiwali od nich tego rodzice, dalsi krewni i cała społeczność. Po Lukrecji też się tego spodziewano i długo była w tym świetna. Niewyobrażalny bunt, na jaki zdobyła się jej babka, sprowadzał się do ucieczki sprzed ołtarza w wieku lat szesnastu, podczas gdy narzeczony, narzucony jej przez rodzinę i swatów, miał ich wówczas czterdzieści dwa. W tamtych czasach miała odwagę pozostać wierną sobie, choć los sponiewierał ją za to okrutnie. Serca dziewczynce, dziecku jeszcze przecież nie okazali ani rodzice, ani sąsiedzi, ani rozsierdzony proboszcz, najwyższy autorytet moralny w okolicy. Musiała opuścić dom i tułać się nie wiadomo gdzie. Babka – jak zapamiętała ją Lukrecja – poważna i zasadnicza, wyszła później za męża, podobno bardziej z konieczności niż miłości, i urodziła czterech synów, których wychowała twardą ręką na despotów prawie równych sobie. Zawsze trzęsła całą rodziną i cieszyła się wielkim szacunkiem. Anna pamiętała, jak w dzieciństwie obserwowała ją bardzo już starą i fizycznie słabą, leżącą na ogromnych poduchach, do połowy sparaliżowaną i przykutą do łóżka, jak z jego wysokości wydawała polecenia w sprawie podziału znikomego majątku, koloru obrusa na stole i zakupu drewna do pieca. Nikt nie odważył się ich kwestionować. Anna zapamiętała stryjów zgromadzonych potulnie wokół jej łóżka niby wokół tronu. Nie lubiła ich, wydawali jej się nieprzyjemnymi, twardymi, niedobrymi ludźmi. Nie przepadała też za babką i bała się jej, chociaż jednocześnie podziwiała. Nie znała wtedy innych autorytetów. Nie mogła sobie przypomnieć, aby kiedykolwiek zaznała ze strony tej starej kobiety odrobiny ciepła i uwagi. Mówiło się, że babka uśmiechnęła się w życiu tylko dwa razy – kiedy otrzymała wiadomość, że jej syn wraca z wojny, i kiedy umarł jej mąż. Teraz gdy Lukrecja pod przymkniętymi powiekami przywołała w wyobraźni jej pomarszczoną twarz, dostrzegła, że babka uśmiecha się po raz trzeci. Do swojej nieodrodnej wnuczki.

Rozdział 7

RESZTA

Brzęk tłuczonego szkła słycać było aż na ulicy. Rozwalone witryny, poprzewracane fotele, kolekcja drogich alkoholi rozpryskująca się jak mydlane bańki. Ściekające po ściankach barku koniaki, bourbony i stare whisky tworzyły na podłodze najpierw kałuże, później spore jezioro. Dwudziesto- i trzydziestoletnie *Royal Salute*, *Chivas Regal*, *Elias Craig*, *Hennessy* i *Courvoisier* nie ucieszą podniebień zaprzyjaźnionych koneserów, w których towarzystwie lubił spędzać męskie wieczory. Generał z furią rzucał pamiątkowymi prezentami otrzymanymi od współpracowników w dniu odejścia na emeryturę, miał kwiaty wręczone w ozdobnych koszach i kopał nogi szafek i stołów. Pogieęte puchary i rozbite oprawy dyplomów taplały się w brunatnej cieczy.

Prowadząca dom pani Smith najpierw chciała wezwać policję, później pogotowie, nie zdecydowała się na to jednak, nie chcąc zaszkodzić swojemu pracodawcy. Nie miała odwagi wejść w drogę rozsierdzonemu szefowi. Zawsze życzyli sobie miłej nocy, a pan Twigg pamiętał, żeby poprosić, aby przekazała pozdrowienia mężowi, zatrudnionemu w jego willi jako ogrodnik. Dziś o tym nie pomyślał. Małżeństwo Smithów cieszyło się bardzo, że znalazło wspólną pracę u tak spokojnego i hojnego człowieka. Wynagrodzenie pobierali na czas, dodatkowo nierzadko otrzymywali premie. Z okazji Bożego Narodzenia pan Twigg wręczał im miłe upominki. Z panią Smith, pracowitą i sprytną, pomimo chorobliwej otyłości, żartował dwuznacznie, acz delikatnie, przez co uśmiechała się na samą myśl o generale, zwłaszcza gdy jej mąż zajęty był przycinaniem krzewów lub rekultywacją wypieczzonego trawnika. Idąc do pracy, z wielką starannością dobierała schludne, kolorowe stroje, bluzki z żabotami w wielkie kwiaty i przyciągające wzrok plisowane spódnice w geometryczne

wzory. Gdyby szef wszedł do kuchni, kiedy gniotła makaron lub zmywała naczynia, i tak wyglądałaby ponętnie. Martwiły ją tylko buty – opuchnięte stopy wymuszały noszenie obuwia ortopedycznego, a wolałaby szpilki, ale trudno, nie można mieć wszystkiego. Atak szału chlebobdawcy zupełnie wytrącił ją z równowagi. Takiego go nie znała. Przy drzwiach zawahała się jeszcze, czy powiedzieć „Do widzenia”, ale widząc jego czerwoną z gniewu twarz i oszalały wzrok, cichutko wymknęła się na zewnątrz.

Trzask zamykanych drzwi ostudził trochę generała. Rozejrzył się po salonie zmienionym w pobojuwisko. Musi poprosić Smithów o doprowadzenie go do porządku i wypłacić im gratyfikację za dodatkową pracę i milczenie. Otarł dłonią spoconą twarz. Włosy przykleiły się do czaszki. Serce biło szybko i nierówno.

- Zanim dopadną pana bandyci, zrobi to nadciśnienie – ostrzegał kardiolog. – W naszym wieku powinniśmy częściej robić badania. Zaleca się okresowe co pół roku, ale pan generał, z tego, co widzę, bywa u nas rzadziej.

- Poprawię się. Rozumie pan, doktorze, brak czasu. Ale przechodzę wszystkie testy wymagane przez agencję, w klinice nawet ostatnio mnie pochwalili na próbie wysiłkowej, więc chyba nie jest ze mną tak źle? – Twigg uśmiechnął się szeroko.

- Na razie nie – przyznał lekarz – ale występują pewne symptomy. Proszę dbać o siebie.

Powinien połknąć tabletkę i w ogóle przyjmować je regularnie, ale nie przykładął do tego większej wagi. Odkąd nie było przy nim Erdy, doświadczonej asystentki podsuwającej mu co rano wyciśnięte z blistrów lekarstwa, a do popicia schłodzoną do temperatury pokojowej herbatę z cytryną słodzoną miodem, sprawy zdrowia zeszyły na dalszy plan. Na pewno za troskę o niego Anna Litewski pobierze od tej kobiety haracz w postaci wcześniejszego odesłania jej na emeryturę. Przeklęta baba! Dlaczego nie pozbył się jej wiele lat temu? Miał wobec niej pewne plany. I słabość do wyjątkowych ludzi, cennych współpracowników i błyskotliwych towarzyszy. Poza tym gardził zabijaniem kobiet. Dziś tego żałował. Musiał szybko poszukać sprzymierzeńców. Agenci dostarczali mu raporty zaświadczające o jej posuwającej się degrengoladzie, ale czuł, że ta baba coś kombinuje. W najczarniejszych snach nie przypuszczałby jednak, że zadziała z taką odwagą i rozmachem. Przechytrzyć jego, wielkiego psa, jak nieświadomie komplementował go zawistny Tao. Jeżeli on był psem, a właściwie we własnym mniemaniu wilkiem, Sanders lisem, Tao hieną, a Rasz orłem, to kim była ona? Modliszką? Żmiją? Tak go upokorzyć.

Przerwać karierę.

Czuł, że ogarnia go duszność. Od unoszących się w pomieszczeniu oparów alkoholu można się było upić. Nie pomagało otwarte okno.

Sir Peter Twigg potrafił powiedzieć: pas, ale zawsze robił to w konkretnym celu i nigdy nie po to, żeby przerwać grę. Zostało mu jeszcze kilku wiernych przyjaciół, którzy chętnie zaangażują się w tę partyjkę. I kilku niechętnych. Zmuszonych. Na to samo wychodzi. Potrzebuje ludzi, gdyż teraz ma ich ona. Przejęła całą agencję. Zaraz dotrze do najgłębiej skrywanych tajemnic, rozbabrze zamknięte sprawy, nie każdemu na tym zależy. Będzie miał mocne wsparcie. Przegrał bitwę, nie wojnę.

Poczuł, jakby brało go przeziębienie. Usiadł w fotelu, żeby pozbierać myśli. Lewa ręka wydawała się dziwnie sztywna, po chwili dołączyła noga. Chciał się na niej wesprzeć, ale odmówiła posłuszeństwa. Ze zdumieniem spostrzegł, że nie może podnieść dłoni leżącej na podłokietniku. Prawa była w porządku, dotknął nią skostniałego policzka. Przejrzał się w odłamku szkła, lewy kącik ust opadał niesymetrycznie w dół. Postanowił przejść z salonu do kuchni, ale to nie było już możliwe. Niedowład postępował. Nie wiedział, na jak długo zapadł się w fotelu, mając nadzieję, że gospodyni zajrzy do pokoju i zaproponuje herbatę. W domu było dziwnie cicho. Telefon leżał daleko, zresztą zdrewniały język nie pozwalał na prowadzenie rozmowy. Gdy ogarnęła go obawa, że spędzi tak całą noc, zobaczył wąsatą twarz pana Smitha przyklejoną do przeszklonych, tarasowych drzwi. Ogrodnik wpatrywał się w niego z zaciekawieniem. Zdrową ręką wykonał gest przywołujący go do środka. Wszedł z ociąganiem i stanął naprzeciwko generała.

- Wezwij lekarza - polecił Twigg bełkotliwie, trudno go było zrozumieć.

- Co? - zapytał ogrodnik. Musiał widzieć, w jakim stanie jest sir Peter, ale nie kwapił się z ratunkiem.

- Wehzzffij lehhasza! - dokonał wielkiego wysiłku, żeby płacząc słowa, poprosić o pomoc.

Pan Smith nie reagował. Stał bez ruchu nad szefem, wpatrując się w niego jak w dziwowisko.

- Podrywałeś moją żonę.

- Co? - zapytał tym razem Twigg.

Smith milczał. Co za absurd! Gdyby tylko mógł wytłumaczyć temu poczciwemu człowiekowi, w jak wielkim tkwi błędzie. Pani Smith? Matko!

- Lecisz na moją żonę - powtórzył ogrodnik ze spokojną nienawiścią. - Zawróciłeś jej w głowie.

Stan generała pogarszał się. Nie, to nie mogło się tak skończyć. Gdyby pozwoliła mu na to sparaliżowana twarz, roześmiałyby się od ucha do ucha. Mógł już tylko patrzeć błagalnie i wyczekująco.

W końcu ogrodnik się przemógł. Niechętnie i bardzo powoli wyjął z kieszeni telefon komórkowy, z wahaniem popatrzył przeciągle na pracodawcę, wreszcie bez przekonania wybrał numer alarmowy.

- Pogotowie? Proszę przyjechać. Zaraz będziemy tu mieli trupa.

- Miał pan szczęście. - Profesor ścisnął generała za rękę. - Czuje pan?

- Tak. Teraz już tak.

- Wspaniale. Tym razem udało się panu, ale wyglądało to groźnie. Zostanie pan z nami kilka dni, musimy przeprowadzić szczegółowe badania.

Twigg nie protestował. Czuł się jeszcze słabo, niedowład ustępował powoli, nieprzyjemne mrowienie rozchodziło się po palcach dłoni i stopy, nie był pewien ich stabilności. Czas odmierzany rytmem kroplówek i białe, puste ściany szpitalnej sali sprzyjały myśleniu i snuciu planów.

Nie, nie da się wykończyć Lukrecji, niech na to nie liczy. A już o mały włos tak bardzo ułatwiłby jej zadanie! Na szczęście to nie był udar. Silna reakcja organizmu spowodowana nadmiernym stresem. Atak serca. Mikroniedotlenienie. Sygnał ostrzegawczy. Znak dymny. Nie może się powtórzyć drugi raz, bo wtedy będzie gorzej. Twigg o to zadba. Nigdy więcej utraty kontroli nad emocjami. Prawie się wykończył, a przecież ma po co żyć. Musi dopaść tę przeklętą kobietę, cicho i szybko. Zanim tamta zdąży narobić więcej szkód. Precyzyjna mapa działania. Generał uwielbiał je tworzyć, zmieniać fikcyjne rozkłady sił, dobierać optymalne kombinacje rozwiązań. Plan A, B, C i D. Któryś musi wypalić. Ogarnął go spokój i wdzięczność za wyzdrowienie. Kącik ust zdeformowany chorobą uniósł się w uśmiechu. Powróciło stalowe poczucie pewności siebie.

Na zarośniętym skrawku bezpieczeństwa gruntu na odludziu kapitan Paul Horn podniósł ciężkie powieki. Mgła, mokra i ciężka. Przebijające się blade światło. Patrzył w nie jakby przez gałęzie, liście, suche strzępki traw. Cienkie, rachityczne drzewka wyciągające się do mdłych promieni słońca. Krzaki, krzaczkę, kolczaste, czepiające się wszystkiego gałązki dzikich jeżyn. Nie mógł poruszyć rękami ani nogami. Nagle zdał sobie sprawę, że są przysypane. Odkrytą miał tylko twarz, schowaną częściowo pod

warstwą leśnej ściółki. Strach i rozpacz szarpnęły nim, poruszył głową, krzyknął. Rzucił się i wiercił na boki, robiąc sobie trochę miejsca. Ból był przeszywający, ale żaden ból nie jest silniejszy niż widmo śmierci. Na chwilę przypadł do ziemi. Wyteżył zasnuty cierpieniem wzrok. Po jego rękawie szła mrówka, dźwigając kilkukrotnie większy od siebie liść. Czarne nóżki przebierały miarowo, okrążyły tułów współpracował z głową, z wysiłkiem utrzymując równowagę. Mały przykład wielkiej determinacji.

Paul zebrał się w sobie. Ktoś go zranił, być może w swoim mniemaniu zabił i niechlujnie, płytko przysypał ziemią, okrył patykami, pozostawiając możliwość zaczerpnięcia oddechu. Wygrzebał się z niewyobrażalnym trudem i odgarnął gałęzie. Do zgrabiących rąk wracało krążenie. Spojrzał na nogi. Na jednej głęboka, zabrudzona rana, przez błoto i krew prześwitywała kość. Drugą dało się niemrawo poruszać. Adrenalina pozwoliła się powoli czołgać. Toczył walkę o życie. Próbował rozpoznać miejsce, w którym się znajdował. Las, zagajnik. Zabałaganiony, nieprzejrzysty. Wszędzie połamane pieńki, trzeszczące patyki, wystające kolce. A na skraju? Droga. Chyba. Byle tam dopełznąć, do ludzi, po pomoc. Nie zemdleć wcześniej. Stracił dużo krwi. Może ktoś zauważy, to jedyna szansa. Inaczej umrze tu w ciągu kilku godzin, nawet wcześniej. Czuł, że niedługo już wytrzyma.

Są takie miłości, które trwają latami, a jednak nigdy nie znajdują uzewnętrznienia. Tak kochają ludzie wrażliwi, zdyscyplinowani i dyskretni, którzy wiedzą, że się im kochać nie wolno. Ludzie, których uczucie z różnych powodów nie może zostać zdemaskowane. Wybuchy namiętności, tęsknota, lęk przed odrzuceniem, nagła nadzieja, szczęście i głęboka rozpacz, nienawiść naprzemiennie zastępowana wybaczeniem, całe to kłębowisko emocji przykrywa zwyczajny uśmiech, i tylko oni dwoje wiedzą. Czasami wiedzą na pewno, niekiedy dopadają ich wątpliwości. Obojętność, żal i zmęczenie szybko ustępują nowym falom uniesień. Wszystko, co mają, to urywane, ukradkowe chwile bliskości. W takich miłościach nie ma żadnego przymusu, żadnej zależności. Droga odwrotu dla obu stron pozostaje zawsze otwarta. Podtrzymują tę więź tylko dlatego, że jej pragną. Gdyby któreś z pewnych powodów nie mogło jej kontynuować, druga strona zaakceptowałaby to bez mrugnięcia okiem, bez widocznych oznak buntu. Co nie oznacza, że tego buntu by nie było. To dlatego takie związki trwają długo. I może jeszcze z takiego powodu, że przez całe lata pozostają w sferze idealnej, na jaką nie ma szansy żadna inna relacja, mierząca się z codzienną prozą i brutalnością życia. Są wyjątkowe, piękne, wzniosłe i w swoim zawieszeniu stabilne.

Tajemnica jest mocnym spoiwem. Stawka, którą można przegrać, okazuje się najczęściej zbyt wysoka.

- Przecież my się kochaliśmy, Lukrecjo - szeptał w malignie Paul. - Zależało ci na mnie.

Muszę wytrzymać - powtarzał w myślach Horn. Sunął dalej, centymetr po centymetrze. Wola życia. Wola zemsty. Anna Litewski skazała go na śmierć. Ostatniego świadka. Jedyne, który wszystko zrozumiał. Świat uważa, że nie żyje, ona też tak myśli.

Roześmiał się w duchu. Zdaje się, że w tym wszystkim zyskał przyjaciółkę. Pani Huckelberry. Jednak pomogła. Dała ostatnią szansę...

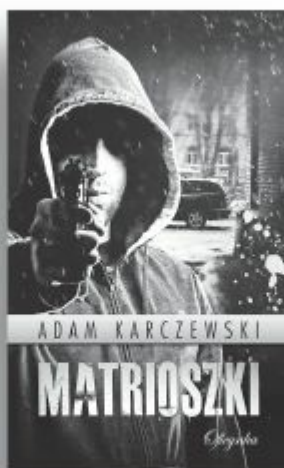
Dobrnął do przydrożnego rowu i stracił świadomość. Wydawało mu się, że w oddali widzi światła nadjeżdżającego samochodu, później przez mgłę usłyszał, jak się koło niego zatrzymuje. A więc gra trwa nadal.

- Nadchodzę, Lukrecjo!

OFICYNKA ZAPRASZA WSZYSTKICH MIŁOŚNIKÓW DOBREJ LITERATURY!

Znajdziecie Państwo u nas książki interesujące, wciągające, służące wybornej zabawie intelektualnej, poszerzające wiedzę i zaspokajające ciekawość świata, książki, których lektura stanie się dla Państwa przyjemnością i które sprawią, że zawsze będziecie chcieli do nas wracać, by w dobrej atmosferze z jednej strony delectować się warsztatem znakomitych pisarzy, poznawać siłę ich wyobraźni i pasję twórczą, a z drugiej korzystać z wiedzy autorów literatury humanistycznej.

POLECAMY



Księgarnia Oficynki www.oficynka.pl
e-mail: oficynka@oficynka.pl
tel. 510 043 387

